

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

• Krystian Lupa: Sztuka
jest niebezpieczna • Prof.
Zimmermann: Wstydzę się
za Dudę • Marzenia incela • Kto
spolszczy Kochanowskiego



WYSOKIE OBCASY
**Dziewczyna, z którą
się ożenie.** Historia
Marty Gajerskiej
i Marioli Dyńdo

wyborcza.pl

GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Mamusi i Tatusi

Z przykrością muszę Was poinformować, że
jestem trans (transgender). Z przykrością,
bo zawsze powtarzaście, że chcieliście
mieć chłopca i dziewczynkę. Wiem, że mam
wiele problemów i, że jeszcze wiele muszę
się o sobie nauczyć. Czuję to już od ponad
miesiąca, ale nic nie mówiłem, no może ciup
(pytając o chłopięce imię). Wiem, że będzie
to dla Was ciężkie a być może niemożliwe
do zaakceptowania, zrozumieć to i
postaram się przystosować. Już od dawna
chciałem też prosić o binder (taki jakby
stanik ukrywający biust), ale nie miałem
odwagi. Mogę też nie mieć odwagi przekazać
tego listu, bo jestem tylko idiotą, który
nie wie nic o sobie i nie ma na nic
odwagi. Wiem, że wiele muszę się o sobie
dowiedzieć ale mam nadzieję, że chociaż
wam mnie zrozumiecie, bo ja nie potrafię.

Jestem trans

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Adam Michnik:
Nie skreślamy Rosji.
Nie sprowadzamy jej
do Stalina i Putina



**Pokój, którego
nikt nie chciał**
Gebert: Z wrogiem chcesz
wygrać, a nie rozmawiać

**Zapomniany
władca Północy**
Dlaczego król Danii
i Szwecji uciekł do Darłowa

Mirostaw
Maciorowski



Największy upadek Andrzeja Dudy

W ciągu bez mała ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy byliśmy świadkami mnóstwa żenujących zachowań, nadużyć władzy, poniżania ludzi, politycznych oszustw czy zwykłych przestępstw. Szlak moralnego upadku wytyczają takie osoby, jak radny Kałuża, eurodeputowani Saryusz-Wolski i Czarnecki czy poseł Kowalski pod rękę z posłem Żalkiem. Peleton zdaje się nie kończyć i nie sposób wszystkich wymienić. Dopóki jednak tworzą go postaci tak mało istotne, jak wymienieni, jakoś można z tym żyć. W polityce nigdy nie brakowało polityków, którzy dla własnej korzyści zdolni są do każdej niegodziwości. Gorzej, gdy tym samym szlakiem, a nawet na czele peletonu, podąża głowa państwa.

Lista moralnych i politycznych upadków prezydenta Andrzeja Dudy jest długa – od żenujących wpisów w mediach społecznościowych, przez komentarze pod adresem mniejszości seksualnych, po ordynarne łamanie konstytucji. Można by wyliczać długo. Ale dla mnie skalę upadku prezydenta w sposób nie mniej jasrawy obrazuje coś zupełnie innego.

Od żenujących wpisów w mediach społecznościowych, przez komentarze pod adresem mniejszości seksualnych, po ordynarne łamanie konstytucji. I jeszcze coś

w dzisiejszej „Wolnej Sobocie” nie mam wątpliwości, że jest człowiekiem wyjątkowym, a już na pewno wyjątkowym nauczycielem akademickim. Profesor nie oszczędza Dudy, nie ma problemów z nazywaniem po imieniu „dokonań” swego byłego doktora. Krytykuje ostro, bezpardonowo i merytorycznie. Ale jednocześnie nie sposób nie zauważyć, ile w tym jest troski, a nawet rozpacz. Chwali Dudę z czasów studenckich i doktoranckich. Opowiada o ich rozmowach, spotkaniach (nawet na plaży) i szacunku, którym uczeń niewątpliwie obdarzał swego Mistrza. Z opisu profesora wynika, że była to relacja wyjątkowa i cenna dla nich obu. Prof. Zimmermann jest gotów w każdej chwili przyjść z pomocą dawnemu studentowi.

Andrzej Duda w ciągu ośmiu lat urzędowania podjął wiele niewybaczalnych decyzji, niektóre miały poważne konsekwencje, inne tylko żenowały. Ale moim zdaniem oprócz tych postępów o skali jego upadku świadczy równie mocno właśnie zrujnowanie tej relacji. Unieważnienie tego wszystkiego, co otrzymał od prof. Zimmermanna, i przehandlowanie tego za honor bicia podwładnym Jarosława Kaczyńskiego.

Ta refleksja nie ma oczywiście politycznego wymiaru, lecz czysto ludzki. Ale moim zdaniem dowodzi dobitnie, jaką klęskę Andrzej Duda poniósł, i to nie tylko jako polityk, ale też jako prawnik i człowiek.

• Rozmowa z prof. Janem Zimmermannem ► 14

Andrzej rysuje



A tymczasem w Kolumbii Dinozaur wbija do sejmiku



I przestrzega: „Nie wybieraj zagłady”. Tabliczkę z takim napisem trzymała osoba w kostiumie dinozaura, która pojawiła się w kolumbijskim sejmie podczas debaty o zmianach klimatycznych. Bogota, 13 czerwca 2023 r. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

CW15WLI

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 17.06.2023 r. do 18.06.2023 r.

Seks, kłamstwa i podatki



Donald Trump stanął przed sądem za przetrzymywanie rządowych dokumentów. Ale to niejedyny postęp przeciw byłemu prezydentowi USA. Przygotowaliśmy przegląd tych spraw. **Czytaj ► biqdata.wyborcza.pl**

FOT. ANDREW HARNI/AP

Po oskarżeniach o mafijne zasady i rasizm Złote Globy zmieniają właściciela

Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej – a to ono przyznawało te jedne z najważniejszych filmowych laurów – zostanie rozwiązane. Prawa do organizacji ceremonii przyznawania Złotych Globów od stowarzyszenia odkupiła telewizyjna firma producencka Dick Clark Productions do spółki z holdingiem Eldridge.

Nowi właściciele zamierzają założyć Fundację Złotych Globów i zarządzać przyznawanymi od 1944 r. statuetkami. Na razie zapowiedzieli, że 81. gala wręczenia odbędzie się 7 stycznia 2024 r. Nie wiadomo jeszcze, jak będzie się różniła od poprzednich 80 edycji. Wiadomo, że nowo powstała fundacja będzie zajmowała się również działalnością charytatywną.

Złote Globy zaczęły tracić znaczenie i prestiż, a to z powodu wymierzonych w stowarzyszenie oskarżeń o rasizm i brak różnorodności wśród jego członków. Wówczas nie było w tym gronie ani jednego czarnoskórego dziennikarza. Stowarzyszenie zostało też oskarżone o mafijne zasady i korupcję. „Los Angeles Times” i „Variety” dowodziły, że członkowie stowarzyszenia otrzymują drogie prezenty, co może wpływać na głosowanie. Wejście ko-



FOT. MATT SAYLES/AP

goś nowego do tej grupy było praktycznie niemożliwe.

Restrukturyzację zaproponował właściciel Eldridge Todd Boehly: miliarder, który kupił także magazyn „Hollywood Reporter” oraz prawa do biblioteki utworów Bruce’a Springsteena.

Od 2021 r. Boehly był tymczasowym dyrektorem generalnym Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej. Obejmując funkcję, ślubował m.in., że doprowadzi do tego, by wśród jego członków zapanała różnorodność, a zasady działania stowarzyszenia i członkostwa były przejrzyste. „Forbes” szacuje jego majątek na ponad 5 mld dol. •

Marta Górna

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Odloty szefów

Ludziom odbija nie tylko, gdy zostają szefami, ale też na przykład po zrobieniu habilitacji. Zaczynają się zwracać do niedawno jeszcze równych sobie współpracowników per drogi kolego. To samo zjawisko obserwuję w środowisku psychoterapeutów. Wszyscy zawsze i wszędzie jesteśmy na to narażeni. Na jakis taki narcystyczny stan umysłu. **Z psychiatrą Cezarym Żechowskim rozmawia Tomasz Kwaśniewski**





PATEK PHILIPPE

GENEVE

DAJ POCZĄTEK NOWEJ TRADYCJI



ZEGAREK PATEK PHILIPPE NIE NALEŻY TYLKO DO CIEBIE.

DBASZ O NIEGO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.

ANNUAL CALENDAR, REGULATOR STYLE DISPLAY REF. 5235/50R

W. KRUK

1 8 4 0

Europejski Boutiques · Hotel Raffles Europejski Warsaw
Krakowskie Przedmieście 13 · 00-071 Warszawa
Tel. +48 783 458 150 · wkruk.pl

FOT. PRZEMEK PACZKOWSKI



JA CHCIAŁBYM WYSPAWAĆ MOST

Cieszę się, że nie wydarzyło się to, co miało się wydarzyć. Dziś wiem, że mam jeszcze wiele do zrobienia, do opowiedzenia. Chciałbym, żeby młodszy ja, moje młodsze rodzeństwo, inne dzieciaki spojrzały na mnie i wiedziały, że się da

Z **ALIN SZEWCZYK**, OSOBĄ NIEBINARNĄ, AKTOREM, MODELEM, RYSOWNIKIEM I SPAWACZEM, A PRZY OKAZJI GWIAZDĄ WIELKIEGO HITU NETFLIKSA – „FANFIKA” – ROZMAWIA **ALICJA GARDULSKA**

Alicja Gardulska: Zostałeś już twarzą z billboardu? Bo tego się troszkę obawiałeś.

– Bywam rozpoznawany na ulicy, co jest całkiem niecodziennym uczuciem. Na szczęście nie podchodzą do mnie panowie, którzy chcieliby mi wytłumaczyć, jaki mam problem. Zazwyczaj to bardzo słodkie, roztrzęsione osoby, które utożsamia-

ją się z „Fanfikiem”, filmem, w którym zagrałem.

Wcielileś się w Tośka, transchłopaka, który poznaje swoją tożsamość płciową i zakochuje się w koledze z klasy.

– Ludzie czasem pytają, czy jestem Tośkiem. Albo piszą do mnie: „Tosiek, Kocham cię”. Staram się, żeby to jednak moje imię wybrzmiało. Tosiek to postać fikcyjna, a ja jestem prawdziwy Alin.

Trochę też czuję, że będę musiał się do tego ustosunkować, znaleźć sobie na to jakiś sposób. I możliwe, że mnie to będzie męczyć. Możliwe, że to jest coś, na co nie

jestem gotowy tak charakterologicznie, bo nie zawsze lubię być widziany tak bardzo.

Zanim zgłosiłeś się na casting, byłeś – jak opowiadasz – „niezadowolonym i zgnusniałym” 21-latkim. Dlaczego aż tak?

– To wynik wieloletniej, nieudanej próby wpasowania się w system. Wyprowadziłem się z domu przed maturą i musiałem sam na siebie zarobić. Czulem się w tyle za znajomymi, którzy byli w lepszej sytuacji ekonomicznej i mogli sobie na więcej pozwolić. Próbowałem studiować, co też mi nie wychodziło. Wiele rzeczy mi wtedy nie wychodziło.

1 RP



Trzeba było wpasować się w system, który mi zupełnie nie odpowiadał. By móc zapłacić za mieszkanie i jedzenie, znalazłem pracę przy aplikacjach. To korporacyjne środowisko, ale przyjazne młodym. W drugiej z korporacji udało mi się zrobić coming out jako osoba niebinarna i funkcjonowałem pod imieniem, którego teraz używam. To było fajne. Ale nie umiałem

pracować, czując, że ten mój wysilek niewiele wnosi. Do tego pracowałem w systemie zmianowym, więc kiedy znajomi wieczorami odreagowywali swoje zajęcia, ja siedziałem i klikałem.

To w ogóle nie był dobry czas. Trwała pandemia, PiS zaostrzył ustawę antyaborcyjną, prowadził brutalną kampanię przeciwko środowiskom LGBT+. Na ulice wychodzili wkurzeni ludzie.
– Tak, to był też czas zatrzymań wielu zaangażowanych osób queerowych. Nie byłem nigdy wielkim aktywistą, ale ruszało mnie to wszystko i angażowałem się dość aktywnie.

Mniej więcej wtedy pisałeś na Instagramie: „Odzywanie się i angażowanie jest teraz giga ważne”.
– To był post dla ziomali i bliskich, mój Instagram obserwowało wtedy może 600 osób. Zauważyłem, że poza tym bardziej aktywistycznym środowiskiem ludzie są całkiem obojętni. Milczą, nie chcą się opowiedzieć po żadnej ze stron. Uważają, że skoro nie ma dobrego rozwiązania, to nie warto się włączać. Nawet w najprostszych rzeczach, na przykład nie wrzucę wspierającej nakładki na Facebooku, bo to nic nie zmieni, a tylko pokaże, że ja jestem niby fajny i wspierający.

Rozumiem tę postawę i w przypadku takich nakładek się zgadzam, ale wiem, że gesty mają znaczenie. Na przykład wspierające napisy na ścianach albo flagi w oknach. Mnie to podbudowuje.

A Polska? Mówiłeś kiedyś, że to dla ciebie dom, ale tylko w takim lokalnym sensie, jeśli myślimy o domu, który tworzą bliscy ludzie i miejsca.
– Tak. Nie traktuję Polski jak domu, głównie z powodów społeczno-politycznych. Prawo w żaden sposób mnie nie chroni jako osoby transpłciowej, nie pozwala mi w godny sposób przejść tranzycji. I nie tylko mnie. Przecież nie bez powodu Polska po raz kolejny wypada w badaniach jako najbardziej homofobiczny kraj w Europie. To smutne, tym bardziej że mamy wspinała, oddolną umiejętność organizowania się, wspierania nawzajem, niesamowitą solidarność.

Kiedy jestem w Polsce, to czuję, że mieszkam w kraju, z którego najchętniej by mnie wyrzucono. W kraju, w którym nie jestem chciany i do którego nie pasuję. A mówię z perspektywy osoby uprzywilejowanej, która wychowała się w Warszawie. Może Ursynów nie jest specjalną osto-

ją otwartości, ale pewnie jest tu łatwiej niż w mniejszych miejscowościach.

Dodatkowo bardzo przykre wykluczenie spotyka osoby, które zostały oznaczone płcią męską przy urodzeniu. Mierzą się z niesamowitą przemocą, taką upokarzającą i odczłowieczającą. Ja jestem osobą, która została oznaczona płcią żeńską przy urodzeniu i przez to, zdaje mi się, jestem trochę bardziej niewidoczny w społeczeństwie. Wyglądam, tak jak wyglądam, więc łepok, który normalnie spuściłby mi wpier-nicz, raczej pomyśli sobie: „albo lesba, albo jakaś chłopczyca”. Nie mam passingu na chłopaka, więc trochę się rozmywam.

Nie znam osobiście nikogo, kto chociażby głosuje na Konfederację, a przecież poparcie dla nich wśród młodych rośnie.

A na ile ważny dla ciebie jest język?
– Bardzo ważny na wielu poziomach. Język kształtuje to, jak myślimy, i to, czy coś bierzemy na poważnie, czy nie. Z jednej strony jest cała nomenklatura queerowa, głównie po angielsku. To nazewnictwo pomaga opisać doświadczenia, pomaga zrozumieć, ale to ciągle tylko słowa, które można zastąpić, opisać inaczej. Myślę, że ważniejszy jest ten język, który kształtuje nasze postrzeganie płciowości i drugiego czło-

Nawet jeśli młode osoby nie są w pełni wyedukowane, to w ogóle nie szkodzi, bo mają otwarte głowy i akceptują to, że ludzie są różni

A twoja niebinarność? Jakie emocje wywołuje?

– Pojęcie niebinarności w Polsce to chyba wciąż raczkujący temat. Ludzie są skonfundowani, nie wiedzą, na czym to polega ani jak się do tego odnieść. Ale też nie wywołuje tak dużej agresji jak binarna transpłciowość. Jako osoba niebinarna częściej spotykam się z kpina i niezrozumieniem. A w tym trochę chodzi właśnie o zrozumienie. O to, by się zatrzymać na chwilę, pomyśleć, nie zakładać z góry i zapytać, być w kontakcie, w otwartości na drugą osobę.

To może nadzieja na zmianę jest w młodych, w dwudziesto-, trzydziestolatkach, bardziej otwartych na różnorodność? Może to starsze pokolenia mają potrzebę standaryzowania, trwania w binarnym podziale na kobiece i męskie?

– Mam nadzieję. Bo faktycznie większość młodych osób, które znam, jest otwarta. Nawet jeżeli nie są w pełni wyedukowane, to w ogóle nie szkodzi, bo mają otwarte głowy i akceptują to, że ludzie są różni. Ale obawiam się, że żyję w bezpiecznej bańce.

wieka, a nie samych zjawisk czy procesów. Czyli zaimki, neutratywy, osobatywy, język inkluzywny. Szczególnie zaimki pozwalają budować podmiotowość osób transpłciowych, niebinarnych czy interpłciowych, rozruszać skostniałe zwyczaje językowe, połączone z nieadekwatnymi wyobrażeniami i oczekiwaniami wokół konstruktów płci.

Sam używam męskich zaimków. Próbowalem używać neutralnych z -om, np. zrobiłom, byłom. Niestety musiałem zrezygnować, ponieważ ludzie słyszą to, co chcą; mówię zrobiłom, oni słyszą zrobiłam.

Mam też wrażenie, że jak żadna inna grupa jesteście publicznie zmuszani do dookreślania waszej tożsamości płciowej, czasem podawania naprawdę intymnych szczegółów z życia, opowiadania, „jak to z wami jest”.

– Osoby transpłciowe często są zmuszane do odsłaniania takich niewygodnych informacji na swój temat i to nie tylko w debacie publicznej. To się wydarza np. w gabinecie lekarza, który ma określać, czy ktoś jest naprawdę transpłciowy, zadając bardzo wkurzające i upokarzające pytania.

Madagaskar – kraj lemurów i baobabów

Białe piaszczyste plaże, drzewa baobabu i lasy deszczowe z ciekawskimi lemurami to urok tej afrykańskiej wyspy na Oceanie Indyjskim.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Antananarywy. Dz. 2 Przelot z Antananarywy do Tulear. Wioska rybacka Ifaty. Dz. 3 Ifaty. Dzień wolny. Wypoczynek na plaży. Dla chętnych wycieczka do lasu baobabów lub nurkowanie. Dz. 4 Ifaty – Isalo. Dz. 5 Park Narodowy Isalo. Spektakularne krajobrazy i lemury. Dz. 6 Isalo – Ranomafana. Park lemurów, lokalna wioska, warsztat papierniczy i winiarnia. Dz. 7 Park Narodowy Ranomafana. Wędrówka w poszukiwaniu lemurów. Dz. 8 Ranomafana – Antsirabe. Drewniane rzeźby i zwiedzanie miasta. Wizyta w wytwórni cukierków. Dz. 9 Antsirabe – Andasibe. Kameleony w Rezerwacie Peyrieras. Dz. 10 Park Narodowy Andasibe. Przygoda z lemurami. Dz. 11 Andasibe – Antananarywa. Zwiedzanie miasta. Dz. 12 Antananarywa. Podróż powrotna. Dz. 13 Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 22/02 2024

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!

Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: CW38

Spotyka nas to na każdym kroku. Ludzie chcą wiedzieć, co mamy między nogami, i z jakiegoś powodu oczekują odpowiedzi na swoje pytania od pierwszej lepszej napotkanej osoby transplciowej, zamiast doedukować się samodzielnie. Lub chcą nam powiedzieć, na co jesteśmy chorzy. Wielu nie widzi w nas prawdziwych ludzi, tylko wynaturzenie, które należy zwalczać lub obchodzić się jak z nowinką technologiczną.

W czasie przygotowań do roli Tośka przeszedłeś prawdziwą terapię.

– Cała ekipa filmu wykazała pełne zrozumienie, że pracuje z osobą, która z automatu ma ciężkie przeżycia za sobą. A reżyserka Marta Karwowska dbała, żebym miał wszystko, co trzeba do wykonania swojej pracy.

Dzięki terapii miałem też szansę zająć się ciałem. A nie tylko siedzieć i racjonalizować, do czego mam skłonność. Zazwyczaj czytam, edukuję się, a potem miałem wszystko w głowie. Warto poczuć też ciało. To jest dość trudne dla osób transplciowych, bo dysforia, którą niektórzy z nas odczuwają, odłącza nas od ciała. Wiem, że ciało to jest coś postrzeganego społecznie, że nie wygląda, jak bym chciał, więc z automatu zamuruję się w głowie. Dobrze jest wrócić do ciała, odzyskać je, poczuć.

W czasie pracy nad filmem musiałeś cofnąć się w czasie. Filmowy Tosiek jest na początku Tosią. To było trudne?

– Film załatwia to mniej więcej w trzy minuty. W życiu to był proces, rozłożony mocno w czasie. Nawet nie wiem, czy miałem taki jeden moment realizacji. Już jako dziesięciolatek czułem, że nie jestem dziewczyną.

Granie w „Fanfiku” łączyło się z pewnym dyskomfortem, głównie kiedy wcielałem się w Tosię, zanim się zorientowała, że jest transplciowym chłopakiem. Ale byłem bardzo dobrze przygotowany przez ekipę. Dużo rozmawialiśmy, wiedziałem, że będę używał żeńskich zaimków i nosił spódnice. Wybieraliśmy ciuchy wspólnie, bo inspiracją było trochę to, jak sam się ubierałem w liceum, kiedy byłem jeszcze w girl mode. To było w sumie budujące doświadczenie.

W ogóle produkcja obu filmów, a szczególnie „Jesteśmy idealni”, dokumentu, który powstał obok „Fanfika”, niesamowicie wpłynęła na moje życie.

Co ci konkretnie dała?

– Twórcy dokumentu, Marek Kozakiewicz i Anu Czerwiński zbudowali atmosferę, która pozwoliła na zadzianie się rzeczy pięknych. Widzisz, mam świeczki w oczach na samo wspomnienie. Anu był naszym przewodnikiem, osobą pierwszego kontaktu dla młodych, nieopierzonych, transplciowych osób, które nie ufają światu i niekoniecznie potrafią otworzyć się przed osobami cisplciowymi. Marek, choć jest poprawnym mężczyzną, ma w sobie wielką czułość i pokłady zrozumienia wobec osób trans, ale też w ogóle wobec świata. Oboje mają w sobie jakąś ogromną mądrość i ważne doświadczenia za sobą.

W filmie jest scena, w której rozmawiam z ojcem przez tele-

fon. Kilka zdań. W rzeczywistości rozmawialiśmy ponad godzinę, pierwszy raz od czterech lat, a tak szczerze to jeszcze nigdy. Nie wiedział, że to nagrywamy, powiedziałem mu później. Ta rozmowa była przełomem. Zmieniła jego rozumienie tego, kim jestem, zbliżyła nas. Zyskałem w nim sojusznika, którego myślałem, że nie miałem. Wcześniej, by chronić siebie, myślałem o sobie jako o człowieku, który nie ma rodziców. Musiałem się odciąć od potrzeby rodzicielskiego wsparcia, bo nie mogłem na nie liczyć. To spotyka wiele transplciowych osób.

Cieszę się, że mój ojciec mnie zobaczył. Zyskałem lepszy kontakt z nim.

W ogóle i film fabularny, i dokument, który powstał przy okazji castingu, mają inaczej niż zwykle rozłożone akcenty.

Przecież oprócz tych obrzydliwych, strasznych, smutnych, raniących, traumatycznych rzeczy przeżywałem swoje chwile radości, swoje chwile gender euforii, zakochania i pierwsze razy

Z reguły produkcje o interwencyjnej czy zaangażowanej tematyce – nieistotne, czy chodzi o uchodźców, o rasizm, czy o kwestie genderowe – są mocno dramatyczne, skupiają się na traumie. A tu jest duża dawka pozytywnych emocji, inne rozłożenie akcentów.

– To coś nowego, przynajmniej na taką skalę. Bo faktycznie zazwyczaj jesteśmy pokazywani jako ofiary opresyjnego systemu, a nasze opowieści to najczęściej opowieści przetrwańców. I to też jest bardzo potrzebne, bo buduje współczucie osób normatywnych i przybliża je do zrozumienia, przynajmniej na poziomie emocjonalnym, a przede wszystkim opowiada o tym, co nas spotyka, bo wiele z nas ma za sobą bardzo trudne przeżycia.

Powiedziałeś kiedyś, że próby samobójcze to „queer experience”.

– Takie mam obserwacje i potwierdzają to statystyki. Ciągle myślę o tym, że „Fanfik” miał premierę w maju. Cztery lata temu poszła w świat informacja o śmierci aktywistki transplciowej Milo Mazurkiewicz, która skończyła ze sobą 6 maja 2019. Nie była w stanie już unieść ciężaru, jaki niosła. Pisałem wtedy do szuflady teksty o niej i o innych

dzieciakach, które popełniły samobójstwa, bo nie mogły żyć takimi, jakimi są.

To jest realny problem. Mam wrażenie, że wielu ludzi tego nie rozumie i myśli, że możemy sobie poczeć do osiemnastki, do dwudziestki jedynki, sprawdzić się, „a może jak weźmiesz ślub, urodzisz dziecko, to ci się odwdzi” albo jakieś inne rzeczy. A to jest przecież tożsamość, coś, co określa ci wszystko!

A na dodatek dotyczy nastolatków, które każdego dnia przeżywają swoje końce świata. Większość transplciowych dzieciaków nie ma obok siebie wspierających dorosłych, którzy rozumieliby, jak grube jest to zagubienie, niezrozumienie własnej tożsamości.

Mnie to przerastało zupełnie. Cieszę się, że nie wydarzyło się to, co miało się wydarzyć. Dziś wiem, że mam jeszcze wiele do zrobie-

Ostatni rok to też dla ciebie wejście w świat wielkiej mody. Brałeś udział w pokazach Prady, Louis Vuitton, Valentino i wielu innych marek.

– Nigdy nie miałem takiej pozycji materialnej, by się interesować high fashion. Pewnie dlatego nie jest dla mnie wyznacznikiem czegoś wyjątkowego. Sam ubieram się w ciuchy, które szyją moi znajomi, i cieszę się za każdym razem, kiedy spodobają się któremuś z ważnych dizajnerów na castingach modowych. Traktuję modeling jako coś, co chciałbym sobie udowodnić. Jak to, że udało mi się pójść i w męskim, i w damskim Tygodniu mody. Wiem, że warto skorzystać z okazji, bo więcej mi się nie przytrafi. To jest branża, która raczej szybko się mną znudzi. To dla mnie głównie źródło zarobku, które pozwala mi robić inne rzeczy za darmo.

Kiedy myślę o sukcesie, to raczej o tym, co się wydarza wokół „Fanfika” i „Jesteśmy idealni”, albo o tym, że nadal robię komiksy. A największym sukcesem będzie dla mnie powrót do spawania.

Mówisz o artystycznych działaniach, tworzeniu instalacji?

– To pewnie dziś najbardziej dla mnie osiągalne, ale nie, ja chciałbym wypawać most. Mam kilka celów spawalniczych i jedno zobowiązanie, bo chciałbym po wojnie pojechać do Ukrainy i pomóc ją odbudowywać.

A ten most to...?

– Chyba rozsmakowałem się w tym, żeby stawiać sobie takie dziwne cele, z pozoru nieosiągalne. Jestem dobrym spawaczem, ale nie mam zbyt dużego doświadczenia. Musiałbym przejść przez te wszystkie ściany typu: „czy na pewno osoba taka i taka może zajmować się czymś takim według specjalistów w fachu”. Ale pewnie, że się da. Nie jestem fanem Elona Muska, ale wiesz, że jedną z jego pierwszych raket spawali z aluminium spawacze, którzy w życiu nie spawali rakiety?

Może to twoje powołanie: człowiek od budowania mostów, nie tylko w przenośni.

– Może...

Mieszkasz teraz w Holandii. Łapiesz tam oddech po dużej Polsce?

– Czuję, że nie muszę tu walczyć o to, żeby moja tożsamość była traktowana poważnie. Czuję się, jak jeden z ludzi, po prostu. Holendrzy też mają swoje problemy, bo nawet tu są plany ograniczenia praw osób transplciowych. Ale to w ogóle nie jest skala porównywalna z tym, co mamy w Polsce. Jestem tu za krótko, żeby pokusić się o głębsze analizy, ale wydaje się, że tu po prostu panuje taka liberalna, trochę powierzchowna kultura, w której każdy zajmuje się bardziej sobą niż innymi.

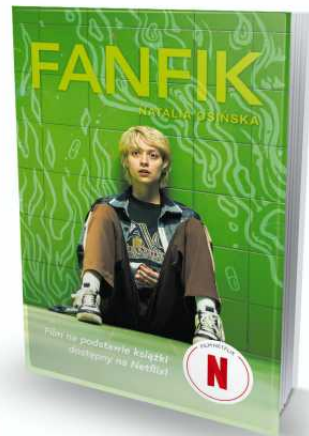
Domyślam się, że nie chce ci się wracać?

– W Holandii staram się żyć normalnym życiem. Ale do Polski muszę wracać, bo tam jest trochę roboty do zrobienia. Wydaje mi się, że powinienem wykorzystać rozpoznawalność, którą mam dzięki „Fanfikowi” i temu, co się wokół niego wydarzyło, i walczyć tę naszą walką.

Widzisz przestrzeń na zmianę w Polsce?

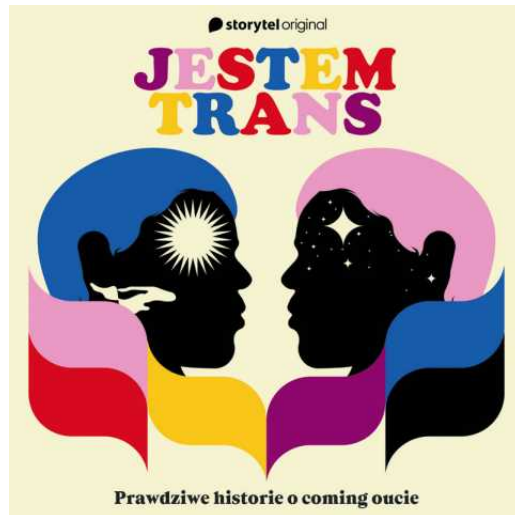
– Dużo się dzieje lokalnie czy na poziomie językowym, dynamicznie zmienia się też nasza społeczność, ale do zmiany muszą dojść wszyscy, a to moim zdaniem zajmie jeszcze kilkadziesiąt lat. ●

„Fanfik” – powieść Natalii Osirskiej, na podstawie której powstał film Netfliksa, dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Wyborcza jest partnerem akcji „Jestem trans. Prawdziwe historie o coming oucie”.

- Rozmów Ane Piżl z osobami transplciowymi i ich rodzicami można słuchać w aplikacji Storytel



Oddział ograniczonego zaufania

Sepsa, stan krytyczny i śmierć płodu? Zasięgnijmy jeszcze opinii

Wężyk

Narkoza to okropne doświadczenie. Leżysz w zielonej koszuli, bezbronna, ze świadomością, że zaraz zaczną cię kroić. Skalpel przerwie skórę, tłuszcz i mięśnie, poleje się krew, a potem, jak znieczulenie zejdzie, będzie boleć. Jak cholera. Ale najpierw cię uspią. Patrzysz w jarzeniówki nad głową, z kroplówki do wenflonu kapie płyn...

Totalna utrata kontroli i obietnica bólu – operacja to gwałt na instynkcie samozachowawczym. Ale się na nią decydujesz, bo ufasz lekarzom. Że naprawią to, co szwankuje, zszyją i wybudzą, a po rekonwalescencji będziesz w lepszym stanie niż przed zabiegiem. Ufasz ich kompetencjom, wiedzy, doświadczeniu i przyrzeczeniu, które składają: że będą służyć zdrowiu i życiu ludzkiemu i przeciwdziałać cierpieniu. I zazwyczaj nie masz powodu ani wątpić, ani żałować tego zaufania.

Ale na jednym oddziale jest go coraz mniej: ginekologiczno-polożniczym.

Dorota zaufała. Pewnie bardzo chciała zaufać: personel przecież zapewniał, że wszystko będzie dobrze, że ma duże szanse na zdrowe dziecko, tylko musi leżeć. Z nogami wyżej od głowy, to wody, które odpłynęły jej w 20. tygodniu, wrócą. O zagrożeniach bezwrodzia nie została poinformowana.

Nie jest łatwo zakwestionować autorytet lekarza. Doktor ma za sobą sześć lat studiów, specjalizację, praktykę. Dorota, choć czuła się coraz gorzej, choć antybiotyki nie działały, choć parametry stanu zapalnego rosły, zapewne wierzyła, że lekarze wiedzą, co robią.

Mniejsze zaufanie do własnych kompetencji mieli najwyraźniej ginekolodzy z Podhalańskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II w Nowym Targu. Kiedy po trzech dniach na oddziale stwierdzili u Doroty sepsę, stan krytyczny i śmierć płodu, czekali jeszcze dwie godziny na konsultację z wojewódzkim konsultantem ds. ginekologii. I dopiero po jego decyzji, że należy usunąć martwy płód razem z macicą, interweniowali. Za późno.

Roksana zaczęła mieć wątpliwości. Od trzech tygodni leżała w bydgoskim szpitalu, także z bezwrodziem oraz z diagnozą letalnych wad u płodu. Ale jego serce wciąż biło, więc lekarze czekali. Roksana usłyszała o śmierci Doroty i zadzwoniła do TVN. Powiedziała dziennikarce, że się boi, że jej historia też się tak zakończy i że osieroci rocznego synka.

Następnego dnia z kobietą skontaktowała się prawniczka Federy Kamila Ferenc. Mówi, że wiadomość od Roksany brzmiała, jakby podyktował ją szpital: „Opieka jest na najwyższym poziomie, lekarze mi wszystko wytłumaczyli, robią, co mogą w takiej sytuacji”.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie jest łatwo zakwestionować autorytet medyczny: od niego, po prostu, zależy nasze życie i zdrowie. Relacja między pacjentką a lekarzem lub lekarką nie jest symetryczna.

Zainterweniowały posłanki Lewicy i bydgoskie radne, temat podjęły kolejne media. Wieczorem ciąża Roksany została przerwana. Cesarskim cięciem. Najbardziej inwazyjną metodą, w zagranicznych klinikach niestosowaną na tym etapie ciąży. Ale najmniej przypominającą aborcję.

Szpital w oświadczeniu napisał, że „rozumie, że interwencje takie podej-

mwane są w dobrej wierze, jednakże powodują one zbędny niepokój społeczny z uwagi na wskazany brak pełnego obrazu sytuacji”.

Milena, pacjentka Uniwersyteckiego Centrum Ginekologiczno-Polożniczego im. Rydygiera w Łodzi, tak bardzo straciła zaufanie do lekarzy, że przestała przestrzegać ich zaleceń. Do placówki trafiła w 14. tygodniu ciąży. Odeszły jej wody i zaczęły się skurcze, ale płód wciąż miał tętno. Dostała luteinę na podtrzymanie ciąży, nospę na powstrzymanie skurczy i paracetamol na ból. Powiedziała lekarzowi, że boi się o swoje życie i nie chce osierocić synka. Usłyszała: „Takie mamy prawo”. Skontaktowała się więc z organizacjami kobiecymi pomagającymi pacjentkom w takiej sytuacji.

Federa poleciła Milenie, żeby zażądała aborcji na piśmie i domagała się pisemnej odpowiedzi. Personel odmówił jej jednego i drugiego, a ordynator poradził, żeby zamiast wiadomości w internecie poczytała książkę.

Aborcyjny Dream Team doradził, żeby przestała brać leki na podtrzymanie ciąży. Milena udawała więc przed pielęgniarką, że je połyka. Pacjentka ma prawo odmówić leczenia, ale o tym prawie trzeba wiedzieć. I wytrzymać presję.

W piątek badanie USG pokazało, że płód obumarł. „Tę ciążę straciłam. Kolejnej nie będzie. Nie w kraju, gdzie prosiłam lekarzy o aborcję, bo ciąża nie miała szans przetrwać, a jej kontynuacja zagrażała mojemu zdrowiu i sły-szałam, że to niemożliwe”.

Szpital „dla dobra pacjentki” nie komentuje sprawy.

Polki nie chcą rodzić, co widać w statystykach: w 2022 r. urodziło się niespełna 315 tys. dzieci, najmniej od II wojny. Także dlatego, że się boją, że ciąża je zabije lub okaleczy, bo jeśli coś pójdzie nie tak, priorytetem będzie płód oraz porządek w papierach. Kiedy chodzi o własne życie i zdrowie, często bardziej ufają aborcyjnym aktywistkom, osobom bez wykształcenia medycznego niż personelowi szpitala. Zapisują numer do Federy na wszelki wypadek. Nagrywają wizyty i przychodzą do gabinetu z wizytówką kancelarii.

Polskie położnictwo jest w głębokim kryzysie zaufania. A odpowiedzi dla-czego bardzo się różnią w zależności od pytaných instytucji.

Lekarze: to ze strachu.

Wyrok Trybunału związał nam ręce. Chcemy pomagać, ale prawo zabrania. Musimy czekać na bezpośrednie zagrożenie życia i/lub ustanie tętna płodu, inaczej poniesiemy odpowiedzialność karną. Klimat polityczny jest taki, że boimy się interweniować.

Ten zestaw argumentów pojawił się po śmierci Izabeli z Pszczyny i powtarzany jest przy każdej kolejnej tragedii na porodówce: śmierci Justyny z Wodzisławia Śląskiego, Marty z Katowic, teraz Doroty z Nowego Targu. Problem w tym, że niewiele mają one wspólnego z aktualnym stanem prawnym.

Wyrok TK skasował wyłącznie przesłankę wad płodu, pozostałe dwa wyjątki pozostawił bez zmian. Ustawa NIC nie wspomina o BEZPOŚREDNIM zagrożeniu życia, za to mówi, że terminację można wykonać w przypadku zagrożenia życia LUB zdrowia. Nigdzie nie jest też zapisany wymóg ustania tętna płodu. A więc wcale nie trzeba czekać, aż będzie za późno.

Co też robi ginekolożka Gizela Jagielska ze szpitala w Oleśnicy. – Tak, przerywam ciążę. Legalnie. Prawo jest, jakie jest, ale nie wiąże nam całkowicie rąk, pozostawia pole do działania. Nie wymaga też od nas udowodnienia, że zagrożenie życia jest bezpośrednie – powiedziała w TOK FM. Pytana, czy nie boi się konsekwencji, odparła: – Każde świadczenie, którego udzielam, jest zgodne z polskim prawem, więc za co miałby mnie prokurator ścigać?

Co do klimatu politycznego to za rządów PiS żaden lekarz nie został skazany ani oskarżony za przerywanie ciąży w szpitalu. A minister zdrowia Adam Niedzielski przypomniał, że każda Polka ma prawo do terminacji ciąży w przypadku zagrożenia zdrowia i życia, że są to przesłanki traktowane rozłącznie i że zdrowie obejmuje zarówno dobrostan fizyczny, jak i psychiczny. Zapowiedział też wyciągnięcie konsekwencji prawnych i finansowych wobec szpitala w Nowym Targu.

Jak widać, konsekwencje braku interwencji są dla lekarzy większe niż konsekwencje przerywania ciąży z przesłanek medycznych.

Co do klimatu politycznego, to za rządów PiS żaden lekarz nie został skazany ani oskarżony za przerywanie ciąży w szpitalu

Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników: to przez media.

W niedzielę PTGiP wydało oświadczenie. Nie ma systemu, czytamy w nim, który wyeliminowałby powikłania, ginekolodzy nie są wszechmocni, a ocenę postępowania medycznego należy pozostawić biegłym ekspertom. Podsumowując, Towarzystwo nie ma środowisku nic do zarzucenia.

Wiele miejsca poświęca to za mediom. Oskarża je o nagonkę, ferowanie przedwczesnych wyroków oraz emocjonalną dyskusję. „Burzenie autorytetu, bezpodstawne oskarżenia prowadzą do strat, które mogą bezpowrotnie zniszczyć relacje lekarz – pacjent i wpłynąć na efekty leczenia”.

Jak na zaufanie wobec lekarzy wpływa nieinformowanie pacjentek o zagrożeniach, stosowanie dawno uznanych za nieskuteczne metod w rodzeniu z nogami wyżej od głowy, czekanie z interwencją u pacjentki w stanie krytycznym na telefon do konsultanta, trzymanie pacjentki z bezwrodziem i płodem z wadą letalną przez trzy tygodnie na porodówce czy dawanie leków na podtrzymanie ciąży wbrew wyraźnemu życzeniu pacjentki? Towarzystwo się do tych kwestii nie odniosło.

Opozycja: to przez PiS i Trybunał.

Donald Tusk zaapelował, żeby o śmierć Polek na porodówkach „nie obwiniać lekarzy”. „To, co zrobił PiS z panią Przylębską, czyli taki, a nie inny kształt prawny przepisów i praktyki w odniesieniu do kwestii aborcji i w ogóle sytuacji kobiet w ciąży w Polsce, powoduje, że lekarze nie podejmują ryzyka. Te śmierci, te tragedie spadają na głowę pani Przylębskiej i spadają na głowę pana Kaczyńskiego”.

To też tylko część prawdy. Owszem, upolityczniony wyrok z 2020 r. ska-

zał kobiety na donaszenie ciąż z wadami letalnymi i wywołał tzw. efekt mrozący – ale, jak już ustaliliśmy, nie broni on lekarzom przeprowadzania aborcji dla ratowania zdrowia i życia. A za „taki, a nie inny kształt prawny przepisów i praktyki w odniesieniu do kwestii aborcji” odpowiadają wszystkie rządy i Sejmy od 1989 roku. Obowiązująca przez 27 lat ustawa była nie tylko jedną z najbardziej restrykcyjnych w Europie, ale też jej przepisy były notorycznie nadinterpretowane w kierunku jeszcze większych ograniczeń. I długo mało komu z polityków i polityczek to przeszkadzało.

Sam lider PO, który dziś jest – co mu się chwali – za aborcją na żądanie do 12. tygodnia, przez 20 lat bronił kompromisu aborcyjnego. Kiedy w 2006 r. LPR chciała zapisać zakaz aborcji w konstytucji, stwierdził, że „konstytucja powinna chronić życie od momentu poczęcia, ale z tymi wyjątkami, o jakich mowa w dzisiejszej ustawie”. Ba, nawet lewica nie ma czystego konta: rząd SLD na początku lat 2000 przehandlował liberalizację ustawy za poparcie Kościoła dla wejścia do UE.

Do listy odpowiedzialnych należałoby dodać, no właśnie, Kościół. Od początku III RP lobbował o, najlepiej całkowity, zakaz aborcji i odegrał kluczową rolę w uchwaleniu ustawy z 1993 r., czyli zakazu z raptem trzema wyjątkami. I to na nauczanie Kościoła powołują się lekarze wykorzystujący furtkę klauzuli sumienia do odmowy nie tylko przeprowadzenia zabiegu, ale choćby skierowania do innego specjalisty.

Kościół patronował też tzw. deklaracji wiary, którą w 2014 roku podpisały 3 tys. lekarzy i studentów medycyny, zobowiązując się m.in., że nie będą robić aborcji.

Nie jest zadaniem dziennikarki projektować jakkolwiek reformę. Ale jako kobieta mam listę rozwiązań, które mnie i, myślę, innym Polkom pozwoliłyby poczuć się bezpiecznie.

Po pierwsze, liberalizacja prawa. Na przykład przez uchwalenie projektu „Legalna aborcja bez kompromisów”, który rok temu w pierwszym czytaniu odrzucono. A przewiduje legalne przerywanie ciąży do 12. tygodnia bez podawania powodu, uchyla odpowiedzialność lekarzy i wprowadza sankcje dla placówek, które odmawiają zabiegów.

Po drugie, zniesienie klauzuli sumienia, najchętniej połączone z wymianą patronów szpitali na osoby świeckie.

Po trzecie, dostosowanie metod przerywania ciąży do standardów XXI wieku i wyszkolenie personelu medycznego. Dziś kandydaci i kandydatki na ginekologów nie uczą się na studiach przerywania ciąży, a szpitale nie oferują metody próżniowej, tylko tyżeczko-

wanie. I po czwarte, wewnętrzna reforma środowiska lekarskiego, w której znalazłoby się radykalne przestawienie priorytetów: uznanie, że pacjentką jest ciążarna, nie płód, to jej interes ma pierwszeństwo i to ona podejmuje decyzję.

Pierwsze jaskółki zmiany już są: stanowisko Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników wywołało w środowisku debatę. Jak podsumowała dr Jagielska, za dużo w nim było o lekarzach, za to nie było miejsca dla pacjentek. A młodsze pokolenie już nie uważa, żeby to była właściwa proporcja. ●



„Aborcja jest”

Katarzyna Wężyk – esej i raport w jednym – dostępna na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booka w Publio.pl

ILUSTRACJA HANNA PYRZYŃSKA

**Mogłam dostrzec znaki, że coś się dzieje,
ale kładłam wszystko na karb buntu młodzieńczego**

– mówi Justyna, nauczycielka
w szkole podstawowej w Chorzowie,
matka transpłciowego mężczyzny Tomka.

Rozmawiała Ane Piżl

Tomek miał 15 lat, gdy usłyszałaś od niego, że jest facetem. Jaka była twoja pierwsza myśl?
JUSTYNA: „Kurna, jeszcze to?” Padło niecenzuralne słowo, bo wtedy byliśmy jako rodzina w dosyć trudnym okresie. Myślałam, że mu przejdzie. Nie wiedziałam, co to jest transpłciowość, nie miałam pojęcia, z czym się mierzę.

Jak wyglądał coming out?

JUSTYNA: W tamtym czasie Tomek miał związane z dojrzewaniem problemy skórne, zamówiliśmy wizytę u dermatologa. Był nieletni, więc musiałam iść z nim. Pani doktor chciała obejrzeć plecy, ramiona, a on nie chciał się rozebrać. Zdenerwowałam się, fuknęłam na niego. Zdjął bluzę i zobaczyłam ślady po cięciach na ramionach. Aż się zapowietrzyłam z przerażenia. Jak wyszliśmy, to dość ostro naskoczyłam na dziecko, co wyprawia, co się w ogóle dzieje.

Byłam wściekła, że nie przychodzi do mnie z rzeczami, które są pewnie ważne, skoro doprowadziły do samookaleczenia. I dalej mamy rozbieżne wersje wydarzeń. Mnie się wydaje, że jeszcze tego samego dnia wieczorem powiedział mi, że czuje się obco w swoim ciele i że jest chłopakiem, jest mężczyzną.

TOMEK: Ja nie mam aż takiej wymienionej pamięci jak mama, ale wydaje mi się, że to było innego dnia niż wizyta u lekarza. Niedługo potem, namawiany przez partnera i przyjaciół, zebrałem się w sobie, żeby jej to powiedzieć. Cały się trząsałem, ale po prostu zacząłem mówić, że nie czuję się OK w moim ciele. Stresowałem się, bo to było moje być albo nie być. Nie wiedziałem, czy nie będę musiał uciekać. A mama powiedziała: „Ty jesteś moim dzieckiem, ja cię zawsze będę kochać”.

Pomimo tego okropnego strachu to dla mnie bardzo miłe wspomnienie, bo okazało się, że dostałem tę bezgraniczną miłość, na którą wszyscy zasługują.

A jaki był najgorszy scenariusz, który wyobrażałeś sobie, zanim przyszedłeś do mamy?

TOMEK: Miałem dwa. Pierwszy: to zostawić życie, które miałem w Chorzowie, i wrócić pod Opole do mojego biologicznego taty albo tulać się po znajomych. Bałem się, że w wieku 15 lat zostanę bez dachu nad głową, że mama będzie prześladować mnie za to, jakim jestem człowiekiem.

Stało się zupełnie inaczej.

JUSTYNA: Gdy słyszę na grupie o dzieciakach, które zostają bez dachu nad głową, bo rodzic nie akceptuje ich transpłciowości, to włącza się mój wewnętrzny pitbul, po prostu się gotuję. Przecież to jest to samo dziecko, ten sam człowiek, tylko płęć, z którą się utożsamia, jest inna.

Ja byłam zła, że nie przyszedł z tym do mnie wcześniej. Owszem, mogłam po drodze dostrzec znaki, że coś się dzieje, ale kładłam wszystko na karb rozwojówki, buntu młodzieńczego. Myślałam: „Taki ten głupi wiek, musimy to przecze-kać”.

Kiedy już okazało się, co i jak, popłakaliśmy obydwój, a potem zaczęłam się edukować. Troszkę pomógł mi Tomek, podsyłając do poczytania różne artykuły. Jeszcze w tym samym roku albo w następnym zdałam na psychologię. Pomyślałam, że skoro nie umiałam wyłapać problemów u swoje-

go dziecka, to może komuś innemu pomogę.

Psychologia pomogła ci w całej tej sytuacji?

JUSTYNA: Myślę, że tak. Pomogła mi troszeczkę siebie zmienić, wyciszyć się. Nawet jak słyszę jakieś bzdury lub coś, co mnie naprawdę bardzo denerwuje, potrafię wziąć głęboki oddech i zareagować spokojniej. Z uśmiechem na twarzy zapytać: „dlaczego?”, „po co?”. Na pewno studia pozwoliły mi zupełnie inaczej spojrzeć na mojego Tomka, na ludzi mu podobnych, na rodziców, którzy borykają się z transpłciowo-

ścią swoich dzieci. Bo wiem, co mogą przechodzić. Kończę teraz pracę magisterską o stresie rodziców dzieci transpłciowych.

W zeszłym roku ukończyłam Akademię Zaangażowanego Rodzica. To jest półroczny kurs dla rodziców dzieci spod wszystkich literek tęczy, podczas którego dowiadujemy się różnych fajnych rzeczy o sobie, o swoich dzieciach, jak reagować, wspierać się. Pojawił się tam tata – sam, bez żony, bo ona nie umiała zaakceptować sytuacji. Namówiliśmy go, żeby ją przyprowadził. Przyszła i zobaczyła, że nie jest sama, dzięki rozmowom przekonała się, że

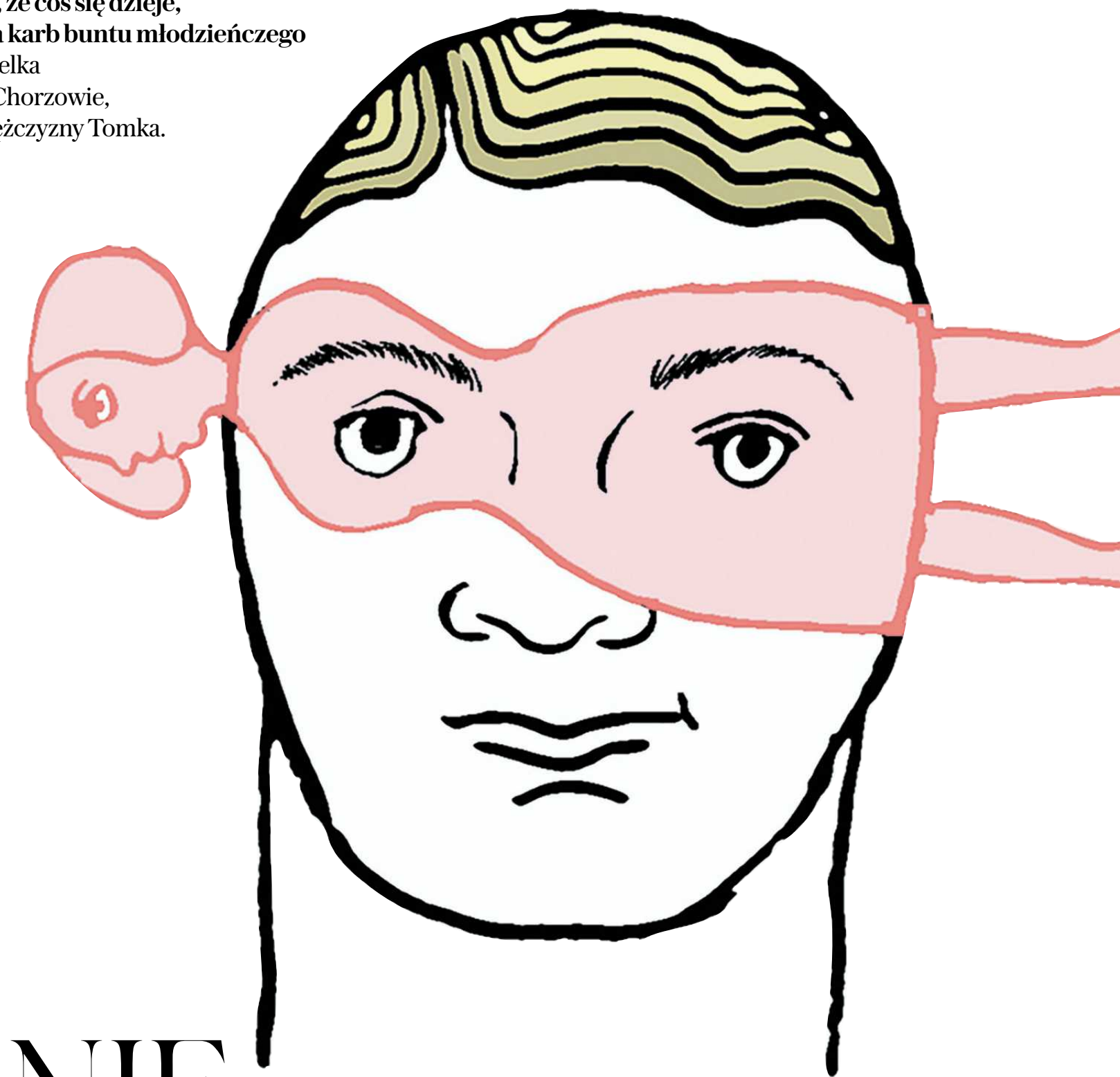
w tym nie ma nic złego, to jest po prostu coś, co się czasami zdarza.

Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba ojcom trudniej przychodzi akceptacja. I dostają na tę trudność większe przyzwolenie niż matki?

JUSTYNA: Tak, matka musi wszystko przyjąć na bary, a tacie pozwalamy być gdzieś z boku. To bywa krzywdzące dla ojców, którzy angażują się w życie dziecka.

Myślę, że genderowe stereotypy płci są krzywdzące dla wszystkich, bo nakładają na nas oczekiwania i nie biorą pod uwagę różnorodności. To nie sprzyja nikomu i jest, mam przekonanie, źródłem trans-fobii. Gdybyśmy trochę rozszczelnili binarne role, to łatwiej byłoby zaakceptować, że ktoś nie wpisuje się w jedną rolę albo utożsamia z inną. Słowa „rola” używam metaforycznie – wiadomo, że nie chodzi tu o proste ich odgrywanie. Gdyby udało się podważyć stereotypy dotyczące płci, łatwiej byłoby również rodzicom.

JUSTYNA: Życzymy sobie, żeby wszyscy rodzice byli od razu akceptujący i otwarci, ale dla wielu osób, szczególnie jeżeli nie mają wiedzy, to jest bardzo trudna informacja. Potrzebują wsparcia i czasu, żeby wszystko zrozumieć.



NIE MYŚLMY NA SKRÓTY

Tomku, jak na to, że jesteś face-tem, zareagowały inne osoby z rodziny?

TOMEK: Z bratem na początku szło opornie. Bardzo długo nie odzywał się do mnie moim wybranym imieniem. Jak byłem młodszy, bardzo mnie to frustrowało, teraz już nie. Widzę zresztą, że nie ma problemu, ile trzeba, wyjaśnił dzieciom.

Jak one do tego podchodzą?

TOMEK: Zwracają się do mnie po imieniu albo „wujku”, nie mają więc chyba problemu. Nie rozmawiałem z nimi na ten temat, bo to nie moja rola. Są jeszcze w podstawówce.

JUSTYNA: One poznały Tomka już jako Tomka. Zaczęły zadawać pytania, bo Marek miał w telefonie zapisanego Tomka jako „siostra”.

Rozmawiałam z nim o tym. I chyba dojrzał. Również dzięki partnerce zmienił nastawienie, traktuje Tomka normalnie, jak brata.

Jak wybrałeś nowe imię? Od razu wiedziałeś, że Tomek?

TOMEK: Na samym początku wziąłem pochodną od swojego imienia, mówiłem o sobie „Wiktor”, bo tak było najprościej.

JUSTYNA: Ja niestety często się myliłam.

TOMEK: Aż któregoś wieczoru mama zawołała do mnie: „Tomek, mam do ciebie sprawę”. Powiedziała, że jak była ze mną w ciąży, to planowała nazwać mnie „Tomek”, po pradziadku. Zapytała, czy pozwolę, żeby mnie tak nazywała, chciała ponownie nadać mi imię.

Wtedy to zbyłem, ale ostatecznie przybrałem imię „Tomasz”. Mój seksuolog lub terapeuta tłumaczył, że sytuacja, gdy rodzic wyraża chęć ponownego nazwania dziecka, świadczy o wsparciu i czułości.

Jesteś jeszcze przed prawnym uzgodnieniem płci, prawda?

TOMEK: Tak, ale wkrótce będę składać wniosek o pozew mojej kochanej mamy.

JUSTYNA: Pytał, co chcę na Dzień Matki. Odpowiedziałam: „złóż pozew”.

Na razie sytuacja jest taka, że jesteś mężczyzną, wyglądasz i zachowujesz się jak facet, a w dokumentach masz zapisane deadname i płeć żeńską. Masz w związku z tym trudności w codziennych sytuacjach?

TOMEK: Kiedy proszą mnie o dowód osobisty, pokazuję i czekam na reakcję. Śmieszy mnie, gdy ludzie patrzą to na dowód, to na mnie, porównują i próbują wyzaić, czy może moje nazwisko to jest moje imię, a mój deadname to moje nazwisko – mam nazwisko brzmiące jak męskie imię, więc czasem nie wiedzą, co robić.

Niedawno na szkoleniu BHP wpisałem swoje dane i czekałem. Prowadzący wywołuje: mój deadname i nazwisko. Zgłaszam się, ale on nie dowierza. Wyczytuje jeszcze raz. To samo. Z kolegą skrzęcaliśmy się ze śmiechu. Podchodzę już do takich rzeczy z humorem.

A powiedz – jeśli to dla ciebie w porządku podzielić się tym – jaką masz relację z ciałem?

TOMEK: Lepszą niż parę lat temu. Zawsze chciałem być szczupły. Długo byłem drobny, wątlý, więc ludzie często brali mnie za geja. Teraz trochę przytyłem. Zaakceptowałem, że mam brzuszek. Cieszą mnie włosy na dłoniach, na ramionach. Fajnie jest patrzeć, jak się zmienia ciało po hormonach, jak zmieniają się proporcje.

Ile lat jesteś na hormonach?

TOMEK: Prawie trzy i pół roku. Siódmego stycznia 2020 roku dostałem pierwszy zastrzyk. Panią, która robiła mi zastrzyki, kocham jak własną rodzinę. Mogłaby być moją babcią, cudowna kobieta.

Na jakie zmiany czekałeś najbardziej?

TOMEK: Na głos. Jak każdy, najbardziej czekałem, aż zniży się głos. To jest chyba najważniejsze, bo jeśli głos jest wyższy, to ludzie słyszą, że coś tu nie gra.

JUSTYNA: Tomek pracował wtedy w McDonald's i któregoś dnia wrócił do domu uchachany. „Mamo” – powiedział. – „Stałem w okienku na drive, podjechał samochód, klienci zerkali na mnie, a gdy się odezwałem, stwierdzili, że mam taki głos, że powinienem pracować w radiu”. Był taki szczęśliwy! A ja cieszyłam się razem z nim.

A czy jako mężczyzna jesteś inaczej traktowany niż wcześniej?

TOMEK: Tak, więcej mi wolno. Wychowywałem się jako udawana kobieta i wtedy nie mogłem robić niektórych rzeczy, bo dziewczynom nie wypada. A teraz, mam wrażenie, mogę funkcjonować trochę ponad prawem nawet.

Transpłciowy filozof Paul B. Preciado w „Mieszkaniu na Uranie” pisze, że w momencie, kiedy zmienił mu się głos, ludzie przestali mu przerywać. Też to zauważyłeś?

TOMEK: Ludzie zwracają większą uwagę, jak coś mówię, i rzeczywiście, nie przerywają. Tak jakby mężczyzny powinno się słuchać tylko dlatego, że jest mężczyzną.

A widzisz jakieś przykre dla ciebie różnice? Czytałam relację transpłciowego chłopaka o tym, jak wieczorem szedł ulicą, a idąca przed nim dziewczyna zaczęła przyspieszać, aż przeszła na drugą stronę ulicy. Zrozumiał, że po tranżycji stanął po stronie agresorów. Jak ty się z tym czujesz?

TOMEK: Miałem podobną sytuację. Szedłem do pracy na szóstą rano. Przede mną szła koleżanka. Ona nie wiedziała, że idę za nią, a ja nie wiedziałem, że to ona, bo mieliśmy zimowe stroje. Kiedy ją mijalem, zatrzymała się i mówi: „Boże, Tomek, to ty! Myślałam, że ktoś chce mnie zabić albo porwać”. Przyjałem to ze śmiechem, skwitowałem, że zawsze bym ją obronił.

Cieszę, że tak mówisz, ale patrzę na statystyki i rozumiem, dlaczego kobiety, idąc wieczorem ulicą, po prostu się boją. To mężczyźni są najczęściej sprawcami przemocy.

TOMEK: Dla mnie traktowanie jako agresora jest bardzo krzywdzące, bo przecież byłem po tamtej stronie i dałbym się pobić, żeby tylko dziewczyny były bezpieczne.

Justyna, a jakie ty zmiany zauważasz u Tomka?

JUSTYNA: Wyciszył się. Być może dlatego czasem lekceważy sprawy, które mnie wydają się ważne. Kiedy robił tranżycję, naciskałam: „idziemy, robimy, robimy, robimy, robimy, robimy”. Jestem zadaniowa i muszę działać. A on mówi: „Spoko, mamo, ja mam czas”. Na początku strasznie mnie to denerwowało, ale po Akademii Zaangażowanego Rodzica, gdzie opowiedziałam o tym głośno, zdałam sobie tam sprawę, jak to zabrzmiało. Dotarło do mnie, że to jego życie. „Weź się, kobieto, uspokój i daj mu przestrzeń” – powtarzam sobie. Choć cały czas cisnę w sprawie dokumentów. Bo działa opie-szale, jest w zawieszeniu, a ja wciążnie się boję.

Bo możliwa jest sytuacja, że zażądają od niego dowodu w ciągu albo w tramwaju – przed nim siedzi facet, a w dowodzie stare dane. Więc jeśli trafi się ktoś transfobiczny albo homofobiczny, to może być różnie. Konduktor może zareagować różnie, ludzie też. A ja chciałabym, żeby zawsze był bezpieczny. Kiedy dokumenty już będą takie, jak trzeba, to troszeczkę będzie luz.

TOMEK: To śmiesznie zabrzmiało, ale to opakowanie zawsze było dla mnie atrakcyjne, przemawiało do mnie.

A Justyna, dla ciebie, co to znaczy być kobietą?

JUSTYNA: To jest fajne pytanie, bo ja je zawsze zadaję na szkoleniach z nauczycielami. Jak mam takich, którym się nie da nic wytłumaczyć, to zawsze pytam: „Skąd pan wie, że jest mężczyzną?”, „Skąd pani wie, że jest kobietą?”. Wtedy rozbrzmiewa śmiech na sali. Tłumaczę: „No właśnie, po prostu to wiecie”.

To się wie, bo ma się w głowie. Jestem kobietą, bo tak czuję. Po prostu, no tak zostałam stworzona.

Co się musi zmienić w Polsce, żeby była lepszym krajem do życia dla osób transpłciowych?

TOMEK: Sądzę, że nie tylko dla osób transpłciowych, ale ogólnie dla młodych ludzi, to powinna zmienić się edukacja. Nie chodzi o to, jak bardzo obłożeni są uczniowie, tylko czego się uczą.

winniśmy robić. Myślę, że moja klasa ma pod tym względem super, bo skończyłam psychologię i na godzinach wychowawczych robię im zajęcia, gdzie rozmawiamy o ich emocjach. Prowadzę też szkolenia dla nauczycieli, to bardziej pogadanki, informacje o tym, co szkoła może zrobić dla osób transpłciowych, jak je traktować, gdzie szukać wsparcia.

To są przeważnie rozmowy. Wyświetlam parę slajdów informacyjnych i czekam na pytania. Jestem w szkołach przyjmowana dobrze, bo jako nauczycielka – wiem, z czym koledzy i koleżanki się borykają, co możemy, czego nie.

TOMEK: Najważniejszą sprawą są jednak uzgodnienia sądowe. Chodzi o to, żeby nie trzeba było pozywać rodziców, a samemu decydować, niezależnie, czy rodzicom podoba się to, czy nie. Niektórzy nie mają kontaktu z rodziną, bo zostali z niej wyrzuceni, i nagle muszą pozywać ich o uzgodnienie płci. A przecież to ich, nasz temat, a nie rodziców.

Czyli procedurę administracyjną uzgodnienia płci

Pomimo tego okropnego strachu to dla mnie bardzo miłe wspomnienie, bo okazało się, że dostałem tę bezgraniczną miłość, na którą wszyscy zasługują

Swoją drogą dla wielu sądowe uzgodnienie płci i zmiana PESEL-u są bardzo istotne. Podobają mi się, że Tomek pokazuje, że każda osoba przeżywa to po swojemu. Dajmy sobie do tego przestrzeń i prawo. Tomku, co dla ciebie znaczy być mężczyzną?

TOMEK: Na pewno nie to, że mam posadzić drzewo, spłodzić syna i zbudować dom. To jest po prostu... Osoba, można powiedzieć, przeciwnej płci.

Ale przeciwnej do kogo? Tomek: Do kobiety.

W takim układzie przeciwności pomijamy niebinarność. Tomek: Łatwiej mi mówić zero-jedynkowo, bo niebinarność też bardzo ciężko wytłumaczyć.

No dobra, to o co chodzi z tą męskością?

TOMEK: Dla mnie ważna jest estetyka. Mężczyźni mają inaczej zarysowane rysy twarzy, mięśni, inną budowę. Dla mnie – bardziej atrakcyjną. W środku nadal chcę być delikatny – grać w gry, interesować się sztuką, malować, dziergać. Ale wolę wyglądać jak mężczyzna. Nie pasują do mnie sukienki, nie chcę opiekować się ogniskiem domowym.

Kobiety też nie muszą opiekować się domem i nosić sukienek. To nie wymaga żadnych zabiegów hormonalno-chirurgicznych. Ale rozumiem, że estetyka jest dla ciebie ważniejszym elementem męskości.

Nie zabraniałbym lekcji religii, ale zamiast nich może lepsze byłyby zajęcia, na których dzieci rozmawiają ze sobą o różnorodności, normalnych społecznych rzeczach, niekoniecznie seksualności. Żeby dzieciaki zrozumiały, jak ważna jest tolerancja.

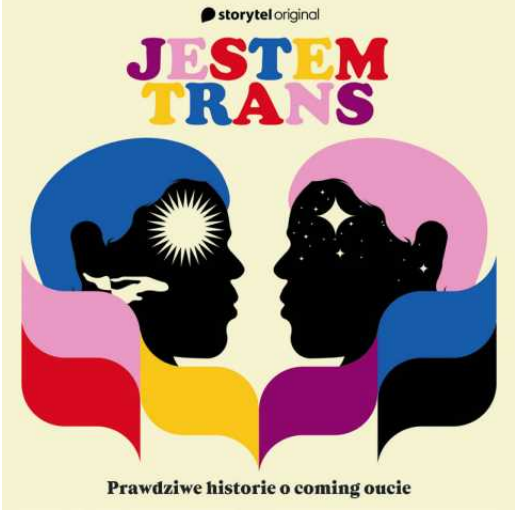
JUSTYNA: Zgadza się z Tomkiem, że za mało mamy zajęć o empatii, o uczuciach, o tym, co nam wolno w stosunku do drugiego człowieka, czego nie po-

z możliwością oznaczenia płci niebinarnej wpisujemy na liście spraw do załatwienia na cito. A co sądzicie o tym, żeby w dokumentach nie było w ogóle oznaczenia płci? Tak ma być w Belgii. Ja jestem sercem za tym pomysłem.

JUSTYNA: No właśnie. Przecież nie ma znaczenia, czy jestem literką K, M czy może O, N, P, B, Q, Z całą pewnością literki nie wpłyną na to, jakim jestem człowiekiem. ●

Wyborcza jest partnerem akcji „Jestem trans. Prawdziwe historie o coming oucie”.

• Rozmów Ane Piżl z osobami transpłciowymi i ich rodzicami można słuchać w aplikacji Storytel



PO CO KOBIECIE MĘŻCZYZNA

FOT. GETTY IMAGES



Powiedział mi, że marzy, aby budzić się obok kobiety, której włosy pachną rano szamponem.

Z PSYCHIATRĄ I PISARZEM
STEFANEM KRAKOWSKIM
ROZMAWIA **KATARZYNA TUBYLEWICZ**

Incel to skrót od wyrażenia „involuntary celibate”, czyli „niechciany celibat”, nazywani tak są mężczyźni, którzy czują się odrzuceni przez kobiety, czasem przez całe społeczeństwo. Spotykają się na forach internetowych, często łączą ich nienawiść do płci przeciwnej, ale pewnie nikt nigdy by o nich nie usłyszał, gdyby nie to, że pojedynczy zradkalizowani inceli dokonali w ostatnich 20 latach kilkunastu zamachów terrorystycznych. Jednak ogromnym uproszczeniem byłoby opisywanie tej grupy jedynie jako pełnej przemocowego myślenia subkultury internetowej. Właśnie dlatego książkę o nich napisał szwedzki psychiatra polskiego pochodzenia Stefan Krakowski. Pokazuje, że pojawienie się subkultury inceli jest częścią większego problemu samotności mężczyzn, którzy nie nadążyli za ogromną transformacją, jaką dokonała się w relacjach kobiet i mężczyzn.

FOT. GABRIEL LILJEVALL

Dlaczego wzięty psychiatra postanawia pisać książki?

– Moje marzenie o pisaniu było silne już w szkole podstawowej, ale pisałem tylko do szuflady. Pochodzę z domu, w którym dużo się czytało i sporo rozmawiało o literaturze. Byłem jedynakiem, ale też dzieckiem imigrantów, co miało wpływ na moje życiowe wybory. Moi rodzice nie byli surowi, ale i tak się ich słuchałem, a oni chcieli, żebym skończył porządne studia, które zapewnią mi pracę. Fakt, że rodzice byli uchodźcami, oczywiście ukształtował ich sposób myślenia. Zostałem więc zgodnie z ich życzeniem lekarzem i duża część mojego życia zawodowego upłynęła na uciekaniu od tej roli. Miotalem się pomiędzy różnymi innymi projektami. Byłem nawet cenzorem filmowym, pracowałem w Strasburgu jako szwedzki reprezentant Human Rights Committee. Robiłem to z ciekawości, ale też dlatego, że uważałem, iż bycie lekarzem mi nie odpowiada. Opisałem to w książce „W służbie psychiatrii”.

Czy rodzice, którzy chcieli, by syn miał pewną posadę, odnieśli w Szwecji sukces zawodowy?

– Niestety, nie do końca. Może kiedyś napiszę o tym książkę, dokładnie o moim tacie. W Polsce należał do wyższych sfer, jego ojciec był właścicielem fabryki, mieli w domu mnóstwo służby, a tata był jedynym synem,

więc, jak sam twierdził, dorastał jak książę. W czasie wojny był oficerem, został ranny i wzięty do niewoli. Przeżył i wyjechał do Szwecji, ale nigdy się w niej nie odnalazł. W przeciwieństwie do wielu innych uchodźców z Polski, dla których kraj po drugiej stronie Bałtyku stał się szansą na życie w społeczeństwie mniej hierarchicznym i mniej konserwatywnym, mój tata nie czuł się spełniony. Jego zgorzknienie odbijało się niestety na atmosferze domu, w którym dorastałem.

Zgorzknienie wydaje mi się cechą charakterystyczną inceli – nowej grupy społecznej, czy może międzynarodowej subkultury, o której napisałeś książkę. Czy zająłeś się nimi dlatego, że w dzieciństwie obserwowałeś męską frustrację?

– Nic z tych rzeczy. Zainteresowałem się incelami, bo poza byciem psychiatrą zajmowałem się też tematem terroryzmu i walki z nim. Skończyłem studia podyplomowe poświęcone przemocy politycznej na Uniwersytecie St Andrews i przez jakiś czas pracowałem w Wyższej Szkole Wojskowej w Sztokholmie. O incelach zaczęło się mówić w związku z kilkoma poważnymi atakami terrorystycznymi w różnych miejscach świata. Poza tym wiedziało się o nich bardzo mało. Zacząłem zgłębiać ten wątek i napisałem dłuższy esej o mężczyznach, którzy czują się odrzuceni przez społeczeń-

stwo i anonimowo szukają podobnych do siebie przed ekranem komputera. Mój tekst wywołał tak duże zainteresowanie, że uznałem, iż napiszę o tym książkę.

W esaju pisałeś: „Oblicza się, że w USA jest dziś 100 tys. inceli aktywnych na różnych stronach internetowych. W Szwecji jest ich kilkuset, ale to nieścisłe kalkule. Kiedy przyglądamy się bliżej tak zwanym samotnym wilkom, którzy dokonali ataków terrorystycznych, okazuje się, że w wielu przypadkach wcale nie ukrywali swoich planów”. Tak było na przykład z Elliotem Rogerm, jednym z najsłynniejszych inceli, który, czując się odrzucony przez kobiety i nierozumiany przez świat, dokonał w Kalifornii ataku terrorystycznego, w którym zginęło 7 osób, łącznie z nim, bo popełnił samobójstwo.

– Są inceli, którzy uważają, że nie był jednym z nich, bo zbyt dobrze wyglądał, oni zazwyczaj uważają, że są bardzo brzydki. Roger miał też inne neuropsychiatryczne diagnozy, między innymi zespół Aspergera, więc było mu trudno odczytywać społeczne kody. Na pewno to właśnie jego postać spowodowała, że o incelach zrobiło się głośno. Ale warto pamiętać, że większość z nich nie jest przemocowa i nie zagraża innym, za to często myśli o samobójstwie. Chciałem

o nich napisać, ale pod warunkiem że uda mi się nawiązać z nimi osobisty kontakt. Chodziło o to, by napisać tę książkę nie jak humanista czy reprezentant nauk społecznych, który zbiera fakty i wyciąga szybkie wnioski. Reprezentuję przecież nauki przyrodnicze, chcę rzeczy badać i weryfikować. Dlatego zrobiłem coś, czego nie zrobił wcześniej żaden inny reporter – spotkałem się z wieloma szwedzkimi incelami twarzą w twarz. Ponieważ chciałem też nawiązać kontakt z incelami, którzy nawołują do przemocy, zdecydowałem się pracować jak dziennikarz wcieleniowy (undercover) i przez dwa lata na stronie internetowej inceli amerykańskich udawałem jednego z nich. Było to bardzo wymagające psychicznie. Ale najważniejsze były moje prywatne spotkania ze szwedzkimi incelami, fakt, że zyskałem ich zaufanie.

Jak to zrobiłeś? Opowiedzieli ci wiele intymnych, zawstydzających historii. Jak chłopak, dla którego pójście do lekarki, która dotknęła jego ramienia, było tak silnym erotycznym przeżyciem, że się popłakał i musiał uciec z gabinetu.

– Jako psychiatra wiem, jak skłaniać ludzi do opowiadania rzeczy, które są dla nich trudne. Poza tym incle są bardzo podejrzliwi wobec mediów, nienawidzą dziennikarzy, a ja byłem dla nich nie tylko autorem, lecz także lekarzem. Nie czuli się przede mną oceniani, więc dobra opinia na mój temat rozniosła się w tych kręgach. W środowisku inceli istnieje też ogromne pragnienie opowiedzenia swojej historii, oni czują się zmarginalizowani, odrzuceni, niesprawiedliwie potraktowani i są przez to strasznie nieszczęśliwi.

A nie było pociągające dla ciebie jako psychiatrę, żeby zacząć ich jakoś leczyć?

– Było dla mnie raczej niesamowicie ważne, żeby moje dwie role zawodowe były rozdzielone. Najtrudniejsze w tym wszystkim było to, że kiedy kontaktowałem się z incelami na forach internetowych, udając jednego z nich, często czytałem o ich myślach samobójczych. Kilka razy zdarzyło się, że ktoś zegnał się z grupą, bo zamierzał się zabić. Nie mogłem być wtedy zbyt empatyczny i ingerujący, bo to ujawniłoby, że nie jestem jednym z nich. Próbowałem jednak jakoś argumentować, odwozić od chęci odebrania sobie życia. Incele, z którymi rozmawiałem jako psychiatrę, nigdy nie pytali, czy mogą stać się moimi pacjentami.

Czy internetowa grupa nie daje im poczucia, że ktoś podobny ich wspiera? Że są przez to mniej samotni?

– Nie, oni utwierdzają się wzajemnie w poczuciu, że wszystko jest bez sensu i nic nie da się z tym zrobić. W najlepszym razie potrafią do siebie napisać: „Welcome to hell, it’s over”. To ludzie zrezygnowani i pozbawieni nadziei.

Jednym z głównych problemów inceli jest brak seksu. To prowadzi ich czasem do radykalizacji. Przywódzi mi to na myśl poglądy Wilhelma Reicha, psychiatry i seksuologa, ucznia Freuda, który w latach 30. zeszłego wieku pisał, że wyparcie seksualności to główne źródło faszyzmu i wszelkich autorytarnych wypaczeń. – Czasem pojawia się pytanie, dlaczego dla inceli seks jest aż taki ważny? A jest dla nich tak samo ważny jak dla innych ludzi. Seks to dla człowieka potwierdzenie, że jest wystarczająco atrakcyjny. Poza tym incle chcą po prostu żyć normalnym życiem. Któryś powiedział mi, że marzy, aby budzić się obok kobiety, której włosy pachną

rano szamponem. Oni nie są zafiksowani tylko i wyłącznie na seksie, ale jeśli go nigdy nie doświadczyli, to rozwijają obsesję na ten temat. Czują się niechciani i przegrani także dlatego, że nieustannie o seksie słyszą, pełno go przecież w sieci i w przestrzeni publicznej.

A oni są mężczyznami, którzy nie mają szans na bycie z kobietą. Najczęściej uważają, że to z powodu ich odrzucającej powierzchowności, ale rzecz jest bardziej skomplikowana.

– Kiedyś było tak, że młody rolnik brał sobie za żonę dziewczynę z sąsiedztwa i już. Żona była zależna finansowo od męża i to było złe, ale wiele rzeczy upraszczało w kwestii łączenia się w pary. Obecnie rośnie i będzie się powiększała grupa kobiet zarabiających lepiej od mężczyzn. Jednocześnie nawet w tak równościowym kraju jak Szwecja kobiety mają tendencję do wybierania partnera, który ma takie wykształcenie jak one lub wyższe od nich i chętnie lepszą pra-

cę, a mężczyźni często wolą kobiety, które reprezentują mniej niż oni, na przykład mniej zarabiają.

No dobrze, ale wracając do wyborów uczuciowo-erotycznych kobiet: może te odnoszące największe sukcesy będą jednak szukały mężczyzn opiekuńczych, potrafiących gotować, ciepłych i niekoniecznie starszych i bogatszych? W końcu szwedzka królowa kryminalów Camilla Läckberg od lat jest z mężczyzną o 10 lat młodszym i zdecydowanie mniej zamożnym.

– To prawda! Ale nie wiem, czy to jest wyjątek, czy przyszłość.

Na pewno mężczyźni młodszego pokolenia są w stanie zaakceptować, że kobieta w związku zarabia więcej od nich. Ale czy są to w stanie zaakceptować same kobiety? Nie jestem pewien. Obserwujemy, że robiące kariery kobiety, które nie mają partnera, decydują się na samotne macierzyństwo. Niemal połowa pań w kolejce do in vitro w Szwecji to

Niemal połowa pań w kolejce do in vitro w Szwecji to singielki.

Jednocześnie na całym świecie jest coraz więcej samotnych mężczyzn przed ekranem komputera

singielki. Jednocześnie na całym świecie jest coraz więcej samotnych mężczyzn przed ekranem komputera. Nie chodzi tylko o inceli. W Japonii jest hikikomori – 1,2 mln młodych mężczyzn żyjących w izolowaniu, na utrzymaniu rodziców.

Ale jak to?!

– Kiedy analizuje się to, z kim ludzie biorą ślub, to nieustannie powtarza się schemat, że w większości związków mężczyzna jest trochę starszy, jakieś 3-4 lata, niż kobieta. Te trzy lata sprawiają, że partner już trochę dalej zaszedł w karierze. Chłopak, który nie radzi sobie w szkole i nie zdobędzie wykształcenia, staje się nieatrakcyjny na rynku pracy, a to z kolei czyni go nieatrakcyjnym na rynku randkowym.

Już od dłuższego czasu więcej kobiet niż mężczyzn kończy studia. Na przykład wśród Szwedów urodzonych w roku 1977 wyższe wykształcenie uzyskało 39 proc. kobiet i 23 proc. mężczyzn.

– A w roku 2022 naukę po liceum zdecydowało się kontynuować aż 52 proc. kobiet i 39 proc. mężczyzn. Kobiety także coraz więcej zarabiają i generalnie lepiej sobie radzą w większości dziedzin. Przytłaczający jest na przykład rozmiar męskiej samotności. Właśnie pojawiły się badania, z których wynika, że aż 17 proc. mężczyzn w Szwecji nie ma bliskiego przyjaciela. W dbaniu o relacje to także kobiety są lepsze. Po prostu wyprzedziły mężczyzn w wymiarze zarówno społecznym, jak i ekonomicznym. Kiedy mówi się, że to nieprawda, bo przecież to nadal mężczyźni mają najwyższe stanowiska i rządzą światem, wskazuje się na małą grupę mężczyzn, na elitę. Statystyczny mężczyzna światem nie rządzi. Incele uważają, że 20 proc. mężczyzn uprawia seks bardzo intensywnie, a inni, ci mniej przystojni, mniej atrakcyjni, mający mniej pieniędzy i niższy status, tego seksu mają znacznie mniej albo wcale. I mówiąc szczerze, jest to prawda. Podobnie jak prawdą jest, że jeśli mężczyzna nie jest atrakcyjny fizycznie, to o randkach z Tindera naprawdę może zapomnieć. Inna rzecz, że incle, których spotyka-

dzy chłopcami a dziewczynkami istnieją różnice biologiczne, które sprawiają, że dziewczynki szybciej dojrzewają niż chłopcy. Chłopcom jest trudniej wysiedzieć w ławce. Trudniej analizować. Szkoła musi się zmienić, także dlatego, że odgrywać będzie coraz większą rolę w przeciwdziałaniu radykalizowaniu się uczniów. Kiedy jestem pytany, co mnie niepokoi w związku z tym, że grupa inceli nie maleje, ale rośnie, odpowiadam, że jest to rosnące ryzyko zamachów terrorystycznych w szkołach. Mówilem o tym także przeszło rok temu na wykładzie dla SÄPO, szwedzkiej policji bezpieczeństwa. Tydzień po moim wykładzie doszło do zamachu w szkole w Malmö, w którym osiemnastoletni uczeń zabił dwie nauczycielki. Ten chłopak był incelem. Coraz ważniejsze jest więc wcześnie identyfikowanie młodych ludzi, którzy nie czują się dobrze wśród rówieśników. Szkoła, ale także rodzina i przyjaciele mają tu do odegrania bardzo ważną rolę, bo właściwie po każdym zamachu terrorystycznym dokonywanym przez nieprzystosowaną jednostkę okazuje się, że byli ludzie, którzy wiedzieli, że ten, który w końcu stał się terrorystą, miał przemocowe myśli i plany.

Skoro mowa o przemocy, to muszę wspomnieć, że niedawno wywołałeś sporo zamieszania stwierdzeniem, iż w szwedzkiej prasie pogarda wobec mężczyzn staje się normą. Że mężczyźni jako grupa są stygmatyzowani.

– Uważam, że nie ma nic specjalnie kontrowersyjnego w tym, co napisałem, i jak na razie nikt nie odpisał, że nie mam racji. Osoby, które się ze mną nie zgadzają, piszą raczej, że mężczyźni powinni nauczyć się znosić stygmatyzowanie, bo teraz im się to należy. Widzę od dawna wyraźny trend, rodzaj kolektywnego myślenia bazującego na przekonaniu, że w mężczyzn jako grupę można i należy kopać. „Bo przecież wszyscy mężczyźni są przemocowi”. Moje pytanie brzmi: czy pragniemy wojny płci? Czy to jest dobry i konstruktywny sposób komunikowania? Dobry początek rozmowy? To przecież demonizowanie całej grupy, połowy społeczeństwa. Uważam to za niebezpieczne, debata jest wystarczająco spolaryzowana.

Jednocześnie nie chcę też robić z mężczyzn ofiar, musimy się dostosować do naszej nowej roli. Żyjemy w nowej rzeczywistości, nie chodzi już o to, żeby być głównym zarabiającym. W Szwecji rośnie liczba rozwodów ludzi po sześćdziesiątce i to najczęściej kobieta wychodzi z inicjatywą rozstania. Nie jesteśmy już od siebie zależni ekonomicznie i ta 60-latka czasem myśli sobie: a co ja mam robić z tym workiem na kartofle przez kolejne kilkadziesiąt lat? Nie chcę, żeby największym wydarzeniem w moim życiu było gapienie się w telewizor, a on nie chce ze mną podróżować, chodzić do teatru, nic mu się nie chce. Mężczyźni muszą wziąć za siebie odpowiedzialność, incle też. Mentalność ofiary nikomu nic dobrego nie daje. Zdarza się, że jako lekarz mówię jakiemuś pacjentowi, który nie radzi sobie z emocjami i poczuciem pustki: „Masz dwadzieścia lat i całe życie na to, by wypełnić je poczuciem sensu”. I jeśli on odpowiada, że i tak chce zniknąć i nie widzi sensu istnienia, dodaję coś, czego nigdy nie mówią moi szwedzcy koledzy: „To pomyśl, czy nie mógłbyś zrobić czegoś dla innych. Może w życiu nie chodzi tylko o ciebie? Może mógłbyś zrobić coś dla tych, którzy cierpią i są w potrzebie?”.

I jak na to reagują pacjenci?

– Są w szoku, bo nikt im wcześniej czegoś takiego nie powiedział. *(Stefan Krakowski śmieje się i choć rozmawiamy po szwedzku, to wydaje mi się w tym momencie przekorny w bardzo polski sposób).* ●



Ewa Ruszkiewicz (Piszemybajki.pl)

Leśne sprawy Misia Adwokata

Przepięknie ilustrowana książka dla dzieci. To ogromny plus dla Naczelnej Rady Adwokackiej, że jej członkowie myślą o edukacji najmłodszych. Dzieci śledzą losy misia adwokata, który ma rozstrzygać sprawy zwierzątek w lesie.

Właśnie wilk wpadł w pułapkę, a był niesłusznie oskarżany o bardzo wiele rzeczy. I in-

ne zwierzątka chcą go uratować. Miś adwokat im pomógł, tłumacząc różne zawiłości z zakresu prawa. Powiedział też, że wilk nie zasłużył na złe traktowanie i trzeba mu pomóc.

Główny bohater zadaje dzieciom pytanie, czym się zajmuje adwokat, jak się nazywa jego strój, co to jest żabot.

Dowiadujemy się, w jakich sprawach można zwrócić się

do adwokata i co zrobić, żeby zostać adwokatem.

Wspaniała opowieść o zawodzie, którego przedstawiciele ostatnimi czasy sami znajdują się w różnych trudnych sytuacjach, a ludzie tym bardziej liczą na ich pomoc.

Wstęp do tej książeczki napisał mec. Przemysław Rosati, prezes Naczelnej Rady Adwokackiej.

Ilustracje:
Zuzanna Kledzik

Dla przedszkolaków i uczniów edukacji wczesnoszkolnej

Jak zdobyć:
Sklep.adwokatura.pl

Wydawnictwo:
Naczelna Rada Adwokacka

Agnieszka Tomasik

Konstytucja dla dzieci

W jaki sposób chroni nas konstytucja? Jest ona prawem, które dotyczy obywateli, ale też – w pewnych obszarach – inne osoby, które mieszkają w Polsce.

W książeczce znajdziemy różne, bardzo ciekawe zadania i łamigłówki. Trzeba na przykład narysować ulubioną zabawę, jest fragment, który bardzo dobrze nawiązuje do Misia Adwokata z poprzedniej książeczki, a mianowicie, że każdy ma prawo do sprawiedliwego procesu i rozpatrzenia swojej sprawy.

Trzeba rozwiązać intrygujący rebus, no i oczywiście poznamy role adwokata, prokuratora i sędziego. Inne zadania dla dziecka – musimy wpisać w dymki, jakie są dla niego ważne pytania dotyczące konstytucji, albo znaleźć ukryte wyrazy: szacunek, wolność, prawo dzieci itd.

Autorką tekstu jest Agnieszka Tomasik, dyrektorka zespołu szkół ogólnokształcących z Gdańska. To wspaniała, niezwykle kreatywna osoba, organizuje fantastyczne spotkania z młodzieżą, wie, czego potrzebują najmłodsi.

Książeczka jest też gotowym scenariuszem lekcji – trzeba np. zaprojektować kartę wyborczą na wybory gospodarza klasy.

Pomysł i realizacja:
Kreatywna Pedagogika
(kreatywnapedagogika.wordpress.com)

Ilustracje:
Magdalena Buda

Dla przedszkolaków i uczniów edukacji wczesnoszkolnej

Jak zdobyć:
Książeczka jest rozdawana na przystankach tegorocznej edycji Tour de Konstytucja (Tour-de-konstytucja.pl) oraz w sklepie Tour de Konstytucja na Patronite.pl

Wydawnictwo:
Kongres Obywatelskich Ruchów Demokratycznych



KSIĄŻKI, KTÓRE POMOGĄ DZIECIOM ZROZUMIEĆ

Hanna Machińska, prawniczka, nauczycielka akademicka, w latach 2017-22 zastępczyni rzecznika praw obywatelskich i laureatka nagrody Człowiek Roku 2023 „Gazety Wyborczej”, poleca książki dla dzieci, które będą pomocne w rozwoju poczucia obywatelskiego, świadomości prawnej, pozwolą dzieciom być lepszymi ludźmi. Każda z nich ma swoje mocne przesłanie, wydobywa energię, daje elementarną wiedzę. Wreszcie każda pokazuje, że wielcy tego świata zderzali się z ogromnymi trudnościami, ale dokonali wielkich czynów.

Te książki powinny być lekturą obowiązkową i czekać na uczniów w każdej szkolnej bibliotece.

Tekst: Waldemar Paś, zdjęcia: Adam Stępień / Agencja Wyborcza.pl

Justyna Ziółkowska, Krzysztof Galasiński

Ola i Borys idą do szkoły / Оля і Бориско йдуть до

Tę wspaniałą książeczkę, która jest napisana po polsku i ukraińsku, zobaczyłam na tegorocznym Tour de Konstytucja. To opowieść o różnych sytuacjach, z którymi w polskiej szkole może się zetknąć dziecko ukraińskie, np. w klasie może czuć się gorzej traktowane, bo nie mówi po polsku.

Dowiemy się, co polskie dzieci powinny robić, aby włączyć do zabawy koleżankę/kolegę z Ukrainy, jak im pomóc w nauce.

Tekst, oparty na rzeczywistych sytuacjach, z którymi spotykają się dzieci ukraińskie, opracowali psychologowie z Wydziału Psychologii – Uniwersytetu SWPS we Wrocławiu i Uniwersytetu Wrocławskiego.

Przywołam opowieść ukraińskiej, czarnoskórej li-

cealistki na debacie zorganizowanej przez marszałka Tomasza Grodzkiego w Senacie. Dziewczyna przyznała, że ma duże wsparcie zarówno ze strony polskich nauczycieli, jak i koleżanek i kolegów z klasy. Ale poza szkołą przestaje się czuć bezpiecznie. Nigdzie w Ukrainie nie spotykała się z tyloma oznakami nienawiści, co na ulicy w Warszawie.

Krzyczano do niej, aby wracała do Afryki, a gdy tłumaczyła, że jest Ukrainką, to że ma wracać do Ukrainy.

Łzy płynęły nam z oczu, kiedy mówiła, że marzy, aby wojna się skończyła i mogła wrócić do siebie, bo tam na ulicy czuła się bezpiecznie. Skoro takie złe rzeczy dzieją się w miejscach publicznych w Warszawie, to powin-

no być dla nas alarmem, czerwona kartka.

Mam przesłanie do polskich dzieci: co byście zrobili, gdybyście znaleźli się w takiej sytuacji jak wasze koleżanki i koledzy z Ukrainy, którzy z powodu wojny zostawili wszystko i musieli uciekać za granicę?

Chciałam też zwrócić uwagę na bezduszość Ministerstwa Edukacji i Nauki. Jak dziecko, które kończy szkołę podstawową, a języka polskiego uczy się od kilku miesięcy, ma zdawać po polsku egzamin ósmoklasisty? To są jakieś opresyjne metody, które mogą wywoływać niechęć do polskiej szkoły. A wiele szkół jest niezwykle otwartych i stara się sprostać trudnym sytuacjom związanym z przyjmowaniem dzie-

ci nieznających języka polskiego.

Przywołam tu przykład szkoły z warszawskiego Targówka, niezwykle, powiedziałabym, innowacyjnej, która w rankingach jednak sytuuje się gdzieś na samym dole, uchodzi za złą szkołę. Ale to szkoła fantastyczna, bo obok polskich uczą się w niej dzieci z Białorusi, Rosji, Ukrainy, Indii i innych państw – nie znają języka polskiego, ale starają się to nadrobić. Świetni nauczyciele, bardzo kreatywni, ale oceny z języka polskiego są znacznie niższe. A więc w ogólnym obrazie szkoła nie może równać się z innymi placówkami, które nie mają podobnych problemów.

W różnych państwach Unii Europejskiej istnieją sprawdzone metody asymilacji dzie-

Marek Michalak, były rzecznik praw dziecka

Opowieści o tym, co w życiu ważne, opowieści o tym, co daje moc

Dwie niezwykle książki napisane przez Marka Michalaka. Na przykładzie zachowań własnych dzieci Michalak pokazuje różne aspekty działania czy funkcjonowania świata dziecięcego. Do każdej opowieści są dołączone cytaty ważnych i znanych osób, porusza np. temat miłości, która sama w sobie jest nie do pójęcia, ale dzięki miłości możemy

pojąć wszystko. Młodzi ludzie dowiadują się, kim był Mahatma Gandhi, Lucy Maud Montgomery czy ksiądz Józef Tischner. To są, zdawałoby się, banalne, ale jednak pogłębione historie z życia. Scenki sytuacyjne w tramwaju, na podwórku pokazują, czym jest przyjaźń, solidarność. Mowa jest tu o nadziei, współczuciu, radości życia. Do tego piękne ilustracje, fantastyczna jest hi-

storia o życzliwości opatrzona rysunkiem Ireny Sendlerowej. Dowiadujemy się, że patriotyzm polega na odwadze, miłości, nadziei, życzliwości. To cechy, które powinny nam towarzyszyć w życiu. I każda jest opisana poprzez sytuacje prosto z życia. Co się dzieje w domu, co się dzieje w szkole, co się dzieje na ulicy. Fantastyczne.

W drugiej części są historyjki związane z atakiem mrówek, relacjami z rodzicami albo opisem twarzy Mony Lizy. To książeczka dla jeszcze starszych dzieci – dowiadujemy się, do czego dziecko ma prawo, co to jest mowa nienawiści, czym jest solidarność. I tutaj również na końcu są różne piękne cytaty wybitnych myślicieli, postaci, polityków. ●

Ilustracje:
Katarzyna Sadowska

Dla dzieci w wieku:
od 9 lat

Wydawnictwo:
IBIS, do kupienia na stronie wydawnictwa

Świat



Maciej Wojtyszko

Bromba i polityka

Książkę otrzymałam w prezencie od prof. Marka Safjana, który w laudacji na tegorocznej gali Człowieka Roku „Gazety Wyborczej” przytoczył wiersz z tej książki. Gdy nadchodzi czas ponury, Czas prostackiej dyktatury, Gdy nikt nie jest już gościnny, Gdy jest winny każdy inny, Gdy cię straszą ciągle, bo Chcą byś widział wokół zło, Gdy w ich słowach sensu brak, To zaśpiewam tobie tak: Nie wmówią mi, nie wmówią mi, Że władza wie, co robi! Nie wmówią mi, nie wmówią mi, Że ufać mam rządowi! Nie wmówią mi, nie wmówią mi, Że to jest sąd normalny! Nie wmówią mi, nie wmówią mi, Że jestem nielegalny! To wszystko wielka bzdura, Utopia rzecz ponura! A władza nie ma racji, Gdy braknie demokracji!!!

Przenosimy się w świat fantazji. Bromba, adeptka studiów mierniczych, wędruje w bardzo różne miejsca. A my, czytelnicy,

dowiadujemy się o wartościach, których każdy człowiek powinien w życiu przestrzegać, jeśli chce żyć w państwie demokratycznym. W bajkowej opowieści dowiadujemy się, na czym polega łamanie demokracji, kiedy państwo przestaje być demokratyczne i jak ocalić demokrację, wolność słowa, wolność wyborów itd. Gdy czytałam Brombę, przypomniała mi się opowieść z dawnych czasów o Sójce – miała problemy z wyrobieniem paszportu, którego w tamtych czasach nie można przecież było mieć w domu. To był absolutny hit czytelniczy, bo czytając między wierszami przygody Sójki, otrzymywaliśmy boleśnie realistyczny obraz PRL. Mam wrażenie, że „Brombę i politykę” dorośli będą czytać w podobny sposób. Książka przestrzega przed ginięciem demokracji, pokazuje, jak temu zaradzić.

Ilustracje:
Maciej Wojtyszko

Wydawnictwo:
Ezop, książka do kupienia na stronie wydawnictwa

Marek Michalak

Wielcy przyjaciele dzieci

To historia tych osób, które otrzymały Order Uśmiechu, ale również są szczególnie zasłużone dla dzieci. Niektórzy wielcy już odeszli, ale wszyscy mają ogromne zasługi. Na przykład Hilary Koprowski, który wynalazł szczepionkę na polio, albo piłkarz filantrop Jakub Błaszczykowski; Maria Łopatkowa, Nelson Mandela, Janina Ochojska, Steven Spielberg czy Sylwia, królowa Szwecji. – Nawet my, dorośli, nie znamy różnych aspektów życia tych ludzi – zwraca uwagę Jerzy Owsiak, jeden z bohaterów książki. Autor przytacza mnóstwo anegdot, wprowadza też słowniczek ważnych wyrażań i ma należyte przygotowanie, bo był rzecznikiem praw dziecka i jest doktorem nauk społecznych. Zawsze z dziećmi i dla dzieci. Ale przede wszystkim ma świetne pióro i potrzebę pisania dla najmłodszych. Książki Marka Michalaka rozwijają dzieci intelektualnie, wzbogacają ich słownictwo, prowokują je do refleksji nad wielkimi postaciami, o których być może wcześniej młodzi nie słyszeli. Dobrze, że są takie książki.

Ilustracje:
Ewa Olejnik

Wydawnictwo:
Dwukropek, do kupienia na stronie wydawnictwa

ШКОЛИ

ci, nauki języka i przygotowania do życia w innym kraju, w innej kulturze. Przywołam doświadczenie mojej rodziny, która znalazła się w Szwecji. Dwie dziewczynki nie znały szwedzkiego. Ale nie straciły z tego powodu roku szkolnego – w czasie lekcji siedziała przy nich asystentka i pomagała im opanować materiał. W tej chwili obie znają doskonale język szwedzki. Państwo powinno pomóc dzieciom na samym początku procesu edukacyjnego, a jeżeli nie umie tego zorganizować, to oczywiście je wykluczamy. Mówimy o szkole, ale przecież na Uniwersytecie Warszawskim i w wielu innych placówkach szkolnictwa wyższego studiują młodzież z różnych państw. Prowadząc zajęcia na wydziale prawa, staram się indywidualizować wymagania wobec stu-

dentów, których znajomość języka polskiego jest bardzo ograniczona. Nauczyciele, z którymi się zetknęliśmy, są bardzo zaangażowani, chcieliby dużo zrobić, ale napotykają barierę ograniczeń finansowych. Nauczycielka mówi, że nie ma nawet papieru do ksero, sama musi kupować przybory, bo szkoła nie ma na to pieniędzy. Do tego dochodzi wyobcowanie dzieci ukraińskich, zbyt mało kontaktów, zabaw z polskimi rówieśnikami. W czasie „Gadki senackiej” zapytaliśmy młodzież ukraińską, jak często przychodzą do domów polskich koleżanek i kolegów – na przykład na niedzielny obiad. Miłczenie było zawstydzające. Dzieci są bardzo wdzięczne za pomoc otrzymaną w Polsce, ale widzą też, że nieliczni Polacy uczą się ukraińskiego.

Ukraińcy wtopili się w nasze społeczeństwo i znów stali się przezroczystości jak przed 24 lutego ub.r. Żyjemy obok siebie, ale osobno, nie ma wymiany kulturowej między Polakami i Ukraińcami. Tym samym rozmieniamy na drobne ten wielki kapitał wdzięczności i zaufania, którym w ubiegłym roku obdarowały nas ukraińskie uchodźczynie i ich dzieci. A niestety coraz częściej, zamiast słów refleksji, wsparcia, słychać słowa niechęci wobec Ukraińców. Mam nadzieję jednak, że wytworzyło się sporo mocnych przyjaźni i one zaprocentują. Dlatego tak ważne są publikacje takie jak „Ola i Borys idą do szkoły”. Tak bardzo ważne są inne publikacje przyjazne dzieciom, które rozpoczynają naukę w polskiej szkole.

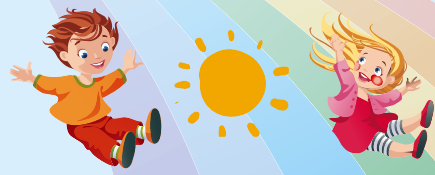
Tłumaczenie na ukraiński:
Olga Makarowa
Ilustracje: **Elisabeth Bristow**
Dla uczniów szkół podstawowych
Wydawca: **Instytut Heweliusza**

OGŁOSZENIA

PARTNER AKCJI



ORGANIZATORZY AKCJI



**PRZYWRÓĆMY
DZIECIOM UŚMIECH**

wyborcza.pl **wysokieobcasy.pl**

3425/441

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wstydzi się pan za Andrzeja Dudę...?

– Wstydzę się. Wstydzę od początku jego prezydentury, gdy podjął pierwsze antykonstytucyjne kroki, ulaskawiając Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Przez te lata konstytucję, delikatnie mówiąc, nieustannie lekcewał. Tylko czasami odwoływał się do niej, jako do fundamentu państwa prawa, ale według mnie była to tylko hipokryzja. Muszę powiedzieć, że gdy doszło do wojny w Ukrainie, miałem dla niego uznanie, bo reagował bardzo poprawnie. A teraz wszystko zniszczył podpisem pod „lex Tusk”. Także swoją karierę. Nie wiem, jakie były na niego naciski, ale składając jeszcze tę nowelizację do ustawy, zupełnie się zaplątał. Sam podważał jakikolwiek swój autorytet.

Jest mi więc wstyd za niego, ale też i po ludzku, w jakiś sposób trochę żal, bo przecież przez długie lata był moim asystentem i byliśmy zaprzyjaźnieni, bywał u mnie w domu towarzysko. To były dobre lata. Jak poszedł w politykę, całkowicie się zmienił. Teraz brnie i zabrął tak, że nie widzę dla niego przyszłości w Polsce ani w świecie. Przecież na UJ nie wróci, w świecie nie ma czego szukać. Nie wiem, co będzie robił po prezydenturze.

Czyli nie był zbyt pilnym słuchaczem na studiach?

– Ależ wręcz przeciwnie. Był bardzo dobrym studentem i doktorantem, dlatego został zatrudniony jako asystent w katedrze, w której pracowałem. Według ówczesnych przepisów musiał w ciągu 8 lat zrobić doktorat. I go zrobił. I muszę przyznać z czystym sumieniem, że to był porządny doktorat, nie mam do niego zastrzeżeń. Opublikował go w książce, jest cytowany do dziś. Mogę więc powtórzyć: jego praca doktorska jest co najmniej dobra. To nie oznacza, że jest dobrym prawnikiem, skoro nie widzi, że łamie konstytucję. Składał ślubowanie prezydenckie, ale też doktorskie, że będzie trwał przy prawdzie. A to, co robi teraz, z prawdą się mija.

Co cechowało go jako studenta i doktora?

– Pracowitość, poważne podejście do przedmiotu, bardzo interesował się prawem administracyjnym. Na pewno też duża elokwencja i... duża odwaga, co ważne u studentów, którzy zgłaszają się do odpowiedzi i nie wstydzą się tego, że mogą udzielić błędnej. I duża sympatia. Andrzej Duda był sympatycznym człowiekiem. Moja córka była potem jego studentką i mówiła, że bardzo dobrze prowadził ćwiczenia.

Patrząc na te blisko 8 lat prezydentury Andrzeja Dudy, trudno uwierzyć w odwagę jako cechę jego charakteru...

– O tej odwadze mówiłem, charakteryzując tylko jego postawę na uczelni. Śmiało zabierał głos na ćwiczeniach, seminariach. Jego głos się wtedy liczył.

Gdy został politykiem, stawał się coraz mniej odważny. Nie jestem psychologiem, ale mam wrażenie, że stał się człowiekiem słabym, podatnym na wpływy innych.

Gdy był podwładnym u Zbigniewa Ziobry, potem Lecha Kaczyńskiego, a po katastrofie smoleńskiej – Jarosława Kaczyńskiego – wszyscy po kolei mieli wpływ na niego, a on mu się poddawał. A im ten polityczny wpływ był silniejszy, tym stawał się bardziej posłuszny. Przecież jak popatrzy się na jego prezydenturę, to owszem, czasami coś zawetował, wybijał się na samodzielność, ale za chwilę podpisywał następną szkodliwą ustawę. I choć w sprawach Ukrainy zaczął zachowywać się jak mąż stanu, to podpisem pod „lex Tusk” wszystko znowu podeptał. Tu już o żadnej odwadze nie ma mowy. Nie powiem, że jest tchórzem, bo byłoby to wobec niego nie w porządku, ale jest człowiekiem słabym i uległym. I nie potrafi sobie z tym poradzić. Współczuję mu po ludzku, bo całkowicie się zapętlił.

Przecież w drugiej kadencji Andrzej Duda nie musi starać się o reelekcję i wieszczono, że to dla niego szansa na wybicie się



JESTEM SKŁONNY PODAĆ MU RĘKĘ

Nie sędzę, by Andrzej Duda był człowiekiem nieuczciwym, cynikiem. Jest w nim jakaś wartość.

Ale uwikłał się, wpadł w bagno i szamoce się w nim

Z PROF. JANEM ZIMMERMANNEM* ROZMAWIA JAROSŁAW SIDOROWICZ

na samodzielność. Skąd więc ta chwiejność prezydenta?

– Duda takim jest człowiekiem. Słabym, nie poradził sobie. Jak jest telefon z Nowogrodzkiej, to robi to, co mu mówią, jak mu coś prezydent Biden powiedział, to z kolei co innego robił, żona zapewne też ma mu coś do powiedzenia. Jest pod ostrzałem. Zrobił się chwiejny, za słaby, stąd te jego próby: krok do przodu, potem dwa kroki w tył. Ciągłe taka chwiejność. Nie widzę, by mógł się z tego wypłatać. Do tego nie potrafił sobie dobrać ludzi. Co zresztą charakteryzuje całą ekipę PiS, brakuje tam ludzi na poziomie.

Gdy stanął do pojedynku o prezydenturę z Bronisławem Komorowskim miał pan dylemat, na kogo głosować?

– Nie, nie miałem. Głosowałem na Komorowskiego, choć też miałem do niego zastrzeżenia. Pomyślałem sobie tylko: „To niesłychane, nasz asystent nam na zebraniach herbatę podawał i zmywał szklanki. Nasz Andrzejek lubiany będzie teraz prezydentem Polski?”

Przecież znałem Andrzeja Dudę bardzo dobrze. Moja żona traktowała go troszkę z dystansem, mówiła mi: „Popatrz, jak on ci się podlizuje”. Może i tak, ale ja go lubiłem. Kiedyś stanął samochodem pod naszym garażem i tak zatarasował wyjazd, że jak żona wyjeżdżała, otarła o drzwi bok samochodu, bo nie mogła inaczej skręcić. Na drugi dzień Andrzej przyszedł w uniformie majstra, ze skrzynką narzędziową. Do dziś mam drzwi garażu obite wtedy przez niego gąbką, by już to się nie powtórzyło. Przepraszał, że zwróci koszty naprawy samochodu. Taki to był sympatyczny chłopak. Kiedy był jeszcze pracownikiem uniwersytetu, zadzwonił do mnie w wakacje z pytaniem, czy ja nie mam nic przeciwko temu, że zatrudni się u Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości. Zaskoczył mnie, bo przecież nie musiał mnie pytać, co ja miałem mieć przeciwko, jeśli tylko się uczelnia zgodzi. To był przecież jego wybór. A on jeszcze potem zadzwonił do mnie i powiedział, że będzie tam podsekretarzem stanu.

My naprawdę się przyjaźniliśmy. Wspieraliśmy się, gdy komuś w rodzinie pogorszyło się zdrowie. Jak byliśmy na wakacjach nad morzem w sąsiednich miejscowościach, to umawialiśmy się na plaży. Ja szedłem 2 km, on 2 km. Przynosił mi kolejny rozdział pracy doktorskiej, ja mu dawałem przeczytany przeze mnie. Zaprosił mnie wtedy raz do siebie w tej miejscowości, byli jego rodzice, obiad.

Długo nie mogłem uwierzyć, że „nasz Andrzejek” został prezydentem. Długo komentowaliśmy to w katedrze. Wtedy, w tych pierwszych tygodniach jego prezydentury, nikt nie rozważał, czy to dobry wybór, czy zły, jaka będzie ta prezydentura, czy Duda będzie sprzeciwiał się Kaczyńskiemu. Byliśmy oszołomieni samym jego wyborem. Wtedy jeszcze do mnie dzwonił, czasem nawet w nocy, konsultował się, radził. Zresztą w przemówieniu inauguracyjnym, wymienił mnie z nazwiska, dziękował, że u mnie studiował...

A potem, jak skrytykowałem go pierwszy raz w wywiadzie dla TVN w sprawie ulaskawienia Kamińskiego i Wąsika, przestał dzwonić. Zablockował mój numer. Nie mamy więc kontaktu, nawet życzeń świątecznych. Gdy dwa lata temu zmarła moja żona, nie przysłał mi nawet kondolencji, choć znał moją żonę bardzo dobrze.

Przykre...

– Przykre, bo tych związków było więcej. Przecież Kingę, córkę Andrzeja Dudy, pamiętam, jak była jeszcze małą dziewczynką. Ba, zresztą też była moją studentką i to bardzo dobrą. Była na wszystkich moich wykładach. Zdała egzamin na czwórkę plus, chciałem nawet dać jej piątkę. Był to egzamin pisemny, i jak ktoś chciał lepszą notę, to miałem dyżur, jeśli ktoś się nie zgadzał z oceną, to negocjowaliśmy ją. To bardziej chodziło o studentów, którzy dostali dwóję. A tu nagle pani Kinga przyszła. Mówi, że ma wątpliwości co do jednego pytania. Wyjaśniłem, że

źle odpowiedziała. Zaczęła tłumaczyć, jak to rozumie, odpowiedziała prawidłowo. Uznałem, że w takiej sytuacji zasługuje na piątkę, ale ona zaprotestowała i powiedziała, że zasłużyła na cztery plus i żeby taką ocenę ostatecznie wpisać. Bardzo ładnie się zachowała. Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś też był moim magistrantem. Jeszcze niedawno pisał u mnie świetną pracę maderską, jego egzamin maderski był efektowny. To, co teraz robi, jest nieakceptowalne.

Apelował pan osobiście do Andrzeja Dudy, by wetował ustawy demolujące system sprawiedliwości. Nie posłuchał...
– Namawiano mnie, bym nawet napisał do niego list otwarty. Teraz zresztą, przed „lex Tusk”, też. Ale uznałem, że to nie ma sensu.

Dlaczego, pana zdaniem, prezydent tak szybko podpisał „lex Tusk”? Miał przecieć czas na zastanowienie.
– To niepojęte, bo to raptem dwa dni. Już w niedzielę jego przedstawiciel w programie „Kawa na ławę” stwierdził, że decyzja już wkrótce będzie. Nazajutrz włączam telewizor i nie wierzę w to, co widzę.

Myślał pan, że prezydent zawetuje ustawę?
– Liczyłem, że pewnej granicy nie przekroczy. Bo to, co zrobił, jest nie tylko bezprawne, ale nieetyczne i niemoralne. Niegodne prezydenta. A potem to już czysta hipokryzja. Ta jego nowelizacja jest zwykłym pozorem. To wszystko się rozmydli. Przecieć nie wiadomo, czy marszałek Witek wprowadzi do porządku obrad Sejmu nowelizację prezydenta. Widać, jaki stosunek do niego ma kierownictwo partii. Myślę, że on to czuje, to jest upokarzające dla niego. Czuje to w swojej słabości, czuje, że jest pomijany, ale nie potrafi się przeciwstawić.

Analizował pan „lex Tusk”. Prawnicy wskazują, że jest tam co najmniej 13 naruszeń konstytucji.
– Myślę, że nie ma znaczenia, czy to jest trzynaście czy kilka przykładów naruszeń. Wystarczy jedno. To jest coś tak kardynalnego... Tam konstytucja w ogóle nie istnieje. To nie jest ustawa czy akt prawny. Z punktu widzenia legislacyjnego to zupełne zero. Patrząc na ten twór i muszę powiedzieć, że demokratycznego państwa prawa nie ma, nie ma demokracji. Te eufemizmy, które słyszę, że zmierzamy do końca demokracji albo że jesteśmy na drodze do autorytaryzmu, nie oddają rzeczywistości. My już nie mamy demokracji. Demokracja to był marsz 4 czerwca. Po stronie władzy nie ma żadnej demokracji. My mamy autorytaryzm.

Prezydent na drugi dzień podniesionym głosem próbował uzasadnić swoją decyzję...
– Bardzo podniesionym głosem. Bo się boi. To było zupełnie puste. Myślę, że poczuł, że zrobił źle i chciał się wycofać i wytłumaczyć, ale nie umie tego. Dlatego miota się i pozostaje tylko krzyk.

Próba wycofania się jest nowelizacja?
– To żadna nowelizacja, z punktu widzenia legislacyjnego to nawet nie jest poprawna forma ustawy. Te trzy zmiany, które proponuje prezydent w stosunku do pierwotnej wersji, niczego nie ratują. Pierwsza, że w komisji nie będą zasiadać posłowie. Ale przecieć PiS może wprowadzić do komisji swoich ludzi. Znajdzie sobie 9 osób. Mówiło się o Kurskim, Cenckiewiczzu. Więc to nie ma żadnego znaczenia, że to nie będą posłowie. Poza tym najważniejsze jest to, że członkowie komisji dalej nie podlegają żadnej odpowiedzialności.

Jeśli chodzi o cofnięcie środków zaradczych: zamiast tego jest postanowienie komisji, że dana osoba nie daje rękojmi należytego postępowania w sferze publicznej. To wilczy bilet. To skazanie, bo ogromna większość przepisów mówi, że osoba zaangażowana w służbie publicznej ma być nieskazitelnego charakteru i dawać gwarancję uczci-

wego działania. Jak się go takiej rękojmi pozbawi, to jest jeszcze gorsze niż wcześniejsze wykluczenie na 10 lat. Bo to stempel na zawsze.

Teraz ma przysługiwać odwołanie do sądu apelacyjnego, a nie administracyjnego, jak w pierwszej wersji ustawy.
– Pozornie to może dobra zmiana. Duda, jako specjalista od prawa administracyjnego wiedział, że sąd administracyjny nie będzie zajmował się kwestiami merytorycznymi i że taka ochrona sądowa byłaby iluzoryczna. Stąd przeniesiono to do postępowania cywilnego. Tyle że taka sprawa może trwać nawet latami, na razie wilczy bilet będzie działał. I jeszcze jedna kwestia: poza wyjątkowymi sytuacjami, w 95 proc. decyzja administracyjna nie jest zaskarżana do sądu powszechnego. A w nowelizacji ciągle nazywa się orzeczenie komisji decyzją administracyjną.

Tego w nowelizacji prezydent, przecieć znawca prawa administracyjnego, nie zmienił. A komisji tej nie można nazwać przecieć organem administracyjnym, bo ten powinien mieć konkretną kompetencję do administrowania. I tylko do tego. Doktor prawa administracyjnego powinien wiedzieć, co to jest administrowanie. A ta komisja została nazwana organem administracyjnym, ma wydawać decyzje administracyjne. Tylko czym ta komisja ma administrować? Z punktu widzenia nauki prawa to zasadnicza wada.

Liczyłem, że pewnej granicy nie przekroczy. Bo to, co zrobił, jest nie tylko bezprawne, lecz także nieetyczne i niemoralne. Niegodne prezydenta. A potem to już czysta hipokryzja. Ta jego nowelizacja jest zwykłym pozorem

Mówimy o sędzie kapturowym?
– Można tak powiedzieć. Bo oczywiście jest, że cała ta komisja wymierzona jest w opozycję, o czym świadczy choćby ten nagły pośpiech w jej powołaniu przed wyborami.

Część komentatorów przestrzega, że prezydencka nowelizacja może być pułapką, podobną, jak w przypadku zawetowania dwóch z trzech ustaw sądowych. Po tej decyzji masowe protesty opadły.
– Być może taki był przebiegły zamiar, ale mam wrażenie, że autorem nie jest raczej Andrzej Duda. Myślę, że motywacja była inna: że prezydent jednak zadziałał pod wpływem różnych opinii, w tym Amerykanów. Ale to i tak kosmetyczne zmiany, bez większego znaczenia. Bo jest jedna istotna jeszcze rzecz. Sąd powinien zbadać zgodność działań z prawem materialnym. Ale tu nie ma prawa materialnego. Bo co to znaczy „wpływy rosyjskie”, na czym tu się oprzeć? Czy jak pójdę na koncert Czajkowskiego, to jestem pod wpływem rosyjskim? Jak żartobliwie powiem „aluzju poniał” to też? Czy nie należy czytać Dostojewskiego czy Puszkina? To oczywiście przesada, ale to wszystko pokazuje, że sformułowanie o wpływach rosyjskich nie ma znaczenia w świetle prawa materialnego. Sąd byłby bezradny w ocenie ewentualnej winy. Bo nie ma czego badać, gdyż od strony materialnej nie wiadomo, co to jest wpływ rosyjski.

Może ustawa jest celowo tak napisana, by nie mieć konkretnego punktu odniesienia?
– Oczywiście. I to może dotyczyć każdego, nie tylko Tuska.

Prof. Krystyna Chojnicka, była dziekan Wydziału Prawa UJ, niedawno w wywiadzie dla TVN 24 stwierdziła, że Andrzej Duda nie jest już nawet prawnikiem.
– Z profesor Chojnicką akurat bym się nie zgodził. Formalnie jest prawnikiem, doktorem prawa. Dostaję maile z pytaniami, czy po tym wszystkim mogę go pozbawić doktoratu. Nie pozbawię, bo to przede wszystkim nie moja kompetencja, a poza tym ten doktorat zrobił dobrze. Więc jest prawnikiem, tylko takim, który zszedł na złe tory.

Sąd Najwyższy cofnął właśnie sprawę Kamińskiego i Wąsika do sądu okręgowego. Czy ten wyrok powstrzyma prezydenta przed pokusą dalszych działań demolujących prawo?
– To oczywiście, że nie. Nie sądzę oczywiście, by był człowiekiem nieuczciwym, cynikiem. Jest w nim jakaś wartość. Ale uwikłał się, wpadł w bagno i szamoce się w nim. Tyle, by zupełnie nie utonąć. I będzie powoływał się na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego. Zresztą orzeczenie TK to osobny temat. Trybunał miał rozpatrzyć spór kompetencyjny. Spór może być negatywny lub pozytywny. Pozytywny jest wtedy, gdy dwa organy uznają się kompetentne do ula-

dzy. Tych elementów charakterystycznych dla demokratycznego państwa.

Czemu PiS tak łatwo, mimo wszystko, udało się zdemolować system praworządności w Polsce?
– Bo przeciętnych ludzi niewiele to obchodzi. To obchodzi prawników, dziennikarzy, trochę inteligencję. A przeciętny Kowalski ma inflację, drożyznę, widzi, jak działa służba zdrowia. W sądzie interesuje go przede wszystkim, czemu tak długo trwają sprawy. A czy to jest zgodne z konstytucją, czy respektowane są orzeczenia trybunałów europejskich? To oczywiście błąd elit, że nie tłumaczyły wcześniej znaczenia prawa, sądownictwa. Czego więc oczekiwać od ludzi mniej wykształconych?

Tusk na marszu mówił o rozliczeniu jako jednym z pierwszych działań po przejęciu rządów przez opozycję. Czy Andrzej Duda powinien stanąć przed Trybunałem Stanu?
– Oczywiście. Za łamanie konstytucji musi stanąć przed Trybunałem Stanu. W konsekwencji nie powinien sprawować funkcji publicznych. Ale jakie w Polsce może sprawować? Nie poradził sobie ze sprawowaniem tej najwyższej, to co jeszcze może robić? Co do pozostałych, np. członków rządu, widzę nawet możliwość postępowani karnych. Prokuratura winna zbadać np. kwestie nieruchomości premiera, wybory kopertowe, wydawanie pieniędzy z pominięciem budżetu...

Minister Czarnek brutalnie zaatakował pana, stwierdzając, że pańska krytyka prezydenta to podłość...
– Staram się nie odbierać tego personalnie. Jako jedyne wymienił moje nazwisko i to jest podle.

Rozważał pan pozwanie ministra?
– Tak mi nawet radzono, ale nie zrobię tego. Myślę, że bym wygrał, ale on i tak by mnie nie przeprosił. Tacy ludzie jak on nie przepraszają. Staram się być ponad tym. Myślę, że po takiej wypowiedzi powinien mieć wilczy bilet za swój stosunek do profesorów, że będzie bojkotowany. Dociera do mnie szereg głosów ze środowiska, od osób, które zapowiadają, że jak znajdą się z Czarnkiem w jednym pomieszczeniu, to natychmiast wyjdą. Jest protest profesorów, podpisało się pod nim ponad 100 osób, i to nie tylko prawników, ale naukowców z wielu dziedzin.

Była reakcja rektora UJ, dziekana Wydziału Prawa UJ. I mnóstwo dowodów sympatii od różnych ludzi, maile, telefony, od profesorów, kolegów ze szkoły, nawet od dziewczyny, z którą chodziłem pół wieku temu. Zachowanie Czarnka było haniebne, ale to nie pierwszy raz. Wcześniej w stosunku do kobiet, osób LGBT. Taki człowiek dla PiS to skarb, będzie na sobie kusił gniew, on jest od brudnej roboty, reszta będzie mogła się nie brudzić.

Czy widzi pan dziś pole jeszcze do rozmowy z Andrzejem Dudą?
– Ja o nic się nie obrażam. Jestem otwarty na każdą rozmowę, jeśli tylko będzie chciał. Co prawda osoba z jego otoczenia powiedziała mi, że rozmawiała z Andrzejem i zapytała, czy on się chce ze mną jeszcze pojechać. Odpowiedział: „jeszcze nie”. Nie wiem, co to znaczy. Ale gdzieś jeszcze we mnie siedzi jakiś element sympatii i on pewnie też gdzieś go ma. Zawsze jestem skłonny podać mu rękę. ●

*Jan Zimmermann

• ur. w 1949r. – wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2002-19 kierownik Katedry Prawa Administracyjnego na Wydziale Prawa i Administracji UJ. Promotor przewodu doktorskiego Andrzeja Dudy.

Andrzej Brzeziecki*

Obecna władza Wałęsy nienawidzi, Komorowskiego nie lubi, a mnie ledwo toleruje, więc i tak jestem w najlepszej sytuacji” – te słowa Aleksandra Kwaśniewskiego chyba najlepiej oddają zawirowania polskiej polityki ostatnich dekad.

Wałęsa i Komorowski byli przed 1990 rokiem w jednym obozie z liderami rządzącej dziś partii. Komorowski zresztą był nawet bardziej radykalny niż wówczas Jarosław Kaczyński. A Kwaśniewski stał po drugiej stronie jako reprezentant PZPR, czyli ówczesnej władzy.

Wielu ludzi dawnej opozycji mawia, że dziwna sprawa z tym Kwaśniewskim – gdy w 1995 roku, raptem sześć lat po upadku rządzącej przez cztery i pół dekady, znienawidzonej ponoć przez cały naród „komuny”, został prezydentem, to był powód do żaloby, dziś zaliczyłoby go do swego obozu. Jeszcze inni widzieli w nim politycznego lawiranta, który pierwszy sięgnął po disco polo, czyli schlebiał niskim gustom wyborców, by wygrać wybory. On zaś wiedział, że na potrzeby kampanii wyborczej zamiast Jackiem Kaczmarem, jak to robiła Unia Wolności, trzeba podeprzeć się zespołem Top One.

Jak to się stało, że „Kwachu”, z którego drwili Kazik Staszewski w „12 groszach” i Muniek Staszczuk, śpiewający o Kwaśnym Olu, umiał przenieść nas z PRL do czasów Unii Europejskiej? I stał się politycznym autorytetem dla ludzi z tylu różnych parafii?

Sam Kwaśniewski jako od dawna już „były” ma ten luz, że może swobodnie rozmawiać o swojej i Polski przeszłości. I to robi w wywiadzie rzece „Prezydent”.

Jego rozmówca, Aleksander Kaczorowski, wnikliwy dziennikarz i cierpliwy słuchacz, należał do tych właśnie, którzy mieli kwaśne miny po wyborach 1995 roku. A jednak, choć zadaje pytania o trudne sprawy czy wpadki Kwaśniewskiego, nie dociska prezydenta, nie łapie za słowa, nie dopytuje uparcie o finanse u początku SdRP, słynny „niedowład gołeni” podczas wizyty na grobach polskich oficerów pomordowanych przez NKWD pod Charkowem czy o udział urzędującej głowy państwa w reklamie mebli.

Jest wyrozumiały, bo wie, że nie można kilkudziesięciu lat działalności polityka sprowadzać do iluś tam przejawów słabości czy mijania się z prawdą (na marginesie Kwaśniewski całą winę za Charków bierze na siebie w taki sposób, że czytelnik nie ma wątpliwości, że spiritus movens popijawy był biskup połowy Leszek Sławoj Głódź), ale to nie jedyny powód. Otóż trudno dziś nie traktować wyrozumiale i z sympatią kogoś, kto w polityce uprawiał optymistyczny, pozytywny oportunizm. Zgodnie z zasadą: dogadywać się z każdym, nie dawać sprowokować, osiągać słuszne cele nie presją i uporem, ale koncyliacją.

Z przywódców PRL Kwaśniewski najlepiej chyba ocenia Edwarda Gierka – którego rządy przypadły na jego młodość, kiedy poznawał świat, co oczywiście ma znaczenie, bo młodość zawsze dobrze się wspomina, ale w Gierku fascynowała Kwaśniewskiego „jego zachodnia elegancja w postawie, w ubiorze, zwłaszcza na tle siemieżnego Gomułki”. Gierek był też typem polityka, który nawoływał do narodowej zgody, był gładki i biesiadny. Te cechy odnajdujemy w Kwaśniewskim.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o historii i polityce, wie jednak, że Wersal nie jest tu codziennością. Jeśli zaczynało się karierę w późnym PRL, budowało partię polityczną, walczyło się o najwyższe urzędy, miało do czynienia z politykami w Europie Środkowej, a zwłaszcza Wschodniej, ocierało o biznes i spore pieniądze, to nie zawsze było tak miło, jak wspomina Kwaśniewski. On sam



Biesiadny I GŁADKI

Przydałby się dziś taki Kwaśniewski

przecież musiał nieraz działać bez pardonu i nieelegancko.

Jednak, jak mawiał bodaj Bismarck, ludziom nie powinno się pokazywać, jak się robi kielbasę oraz politykę. Kwaśniewski hołduje tej zasadzie i sprawy nieprzyjemne odsuwa, o aferach epoki SLD, które doprowadziły tę formację do upadku, mówi tak, jakby po przeprowadzce do pałacu prezydenckiego otaczał się już wyłącznie ekspertami, naukowcami i dyplomatami, a z ludźmi postkomunistycznej lewicy nic go nie łączyło. Jego książka, jego prawo.

Ale przecież... czyta się to z przyjemnością i nostalgią. Kwaśniewski tak wspomina pierwsze lata III RP: „Wszyscy rozmawiają ze wszystkimi, bary żyją od rana do nocy, życie

towarzyskie kwitnie, wszyscy poznają się nawzajem. To jest okres pionierski dla polskiej demokracji, a w związku z tym trochę szalony, trochę nieodpowiedzialny”. Wtedy narodowo-chrześcijańska prawica, twardogłowe sieroty po PZPR, ale też co radykalniejsi moralnie postsolidarnościowi demokraci mieli to za dowód „zblatowania elit” i „porzucenia zasad”, a hasło Kwaśniewskiego „Wybierzmy przyszłość” za szczyt cynizmu. Dziś nazwalibyśmy to polityką kompromisu i dostrzegamy w tym wartości, które stały się w polityce towarem deficytowym i do których przywrócenia nawołują psychologowie społeczni.

A Kwaśniewski przez lata pokazał, że polityka przez spór i podział naprawdę nie jest w jego stylu. Że polityka to szukanie rozwią-

zań i usuwanie problemów, a nie ich prowokowanie, by zobaczyć, czy na awanturze da się coś więcej ugrać. Ta postawa przyjmowana była przez przeciwników politycznych z niedowierzaniem i krytykowana przez jego własny elektorat, któremu nie podobaly się przejażdżki w papamobile, przyniosła rezultaty. Rozwiązała kilka trudnych spraw w kraju – jak uchwalenie konstytucji w 1997 roku – i za granicą, choćby na Ukrainie, gdzie Kwaśniewski przyczynił się w 2004 roku do pokojowego rozwiązania właśnie dzięki temu, że mógł rozmawiać i z Leonidem Kuczmą, i przywódcami pomarańczowej rewolucji.

No i Kwaśniewski nie tylko zdobył sympatię wyborców, nie tylko ją utrzymał – przypo-

• Rok 1995, kandydat na prezydenta
Aleksander Kwaśniewski tańczy
z zespołem disco polo TOP ONE
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polska to nie Wielka Brytania, gdzie dokumenty z czasów średniowiecza zachowują ważność i nie trzeba wszystko co kilkadziesiąt lat budować od nowa. Dlatego kiedy Kwaśniewski oddawał władzę, zaprosił prezydenta elekta Lecha Kaczyńskiego do Pałacu Prezydenckiego na kolację – żeby budować ciągłość

śniewski, owszem, był pragmatykiem. To nie jest typ intelektualisty dzielącego włos na czworo. Nie jest też ideologiem i doktrynerem. Szukał – w czym przypomina dziś, zachowując proporcje, Angelę Merkel – rozwiązań, a nie sposobu wdeptania przeciwnika w ziemię, nie trzymał się kurczowo głoszonych poglądów. Nie można jednak powiedzieć – i znów kłania się analogia do Merkel – że było mu zawsze wszystko jedno, byle tylko się „dogadać”. W czasie rządów centroprawicowej koalicji AWS-UW, a potem samej AWS, był ostry recenzentem rządu, lecz nie wetował ustaw dla samej przyjemności wetowania. Rozumiał, że należy pozwolić większości sejmowej realizować jej program. Tym samym wyznaczał standardy ko-habitationi.

Albo weźmy jego postawę w sprawie Jedwabnego i udział w uroczystościach żałobnych oraz przeprosiny Polaków za zbrodnię sprzed lat. Z punktu widzenia czytelnika „Wyborczej” Kwaśniewski zachował się jak trzeba, ale wśród części jego wyborców, którzy lubią sielanki, nie była to postawa popularna, o elektoracie radiomaryjnym nie wspominając. A jednocześnie i tu znalazł złoty, co widać z perspektywy lat, środek: początkowo chciał przeprosić w imieniu Polski i Polaków, ale „wobec ostrych protestów przyjąłem formułę, która była rozsądniejsza: przeprosilem w imieniu tych, których sumienia zostały poruszone tak samo jak moje. Nie chciałem gwałcić sumień tych, którzy uważali, że tej zbrodni w ogóle nie było albo że nie naszymi rękami jej dokonano”.

Ciekawe, Kwaśniewski stara się pokazać, że wybył się też – jeśli je miał – kompleksów wobec dawnych tuzów opozycji w rodzaju Adama Michnika czy Bronisława Geremka. Cóż, nie ma on wiedzy i profesorskiej finezji Geremka ani humanistycznego rozmachu Michnika, a przede wszystkim wspaniałej dysydenc-kiej przeszłości. Jednak w warunkach demokracji to on – startujący z pozycji politycznego pariasa, jako lider skompromitowanych ludzi, których nazywano zdrajcami i pacholkami Rosji – okazał się skuteczniejszy. Jedynie gdy po raz kolejny podkreśla swą biegłą znajomość języków obcych albo kilkuletnie dobrze płatne wykłady na Georgetown University, prze-bija z tego chęć zaimponowania, a więc jakiś kompleks.

Czytelnik „Wyborczej”, dla którego bohaterami III RP są tacy ludzie jak Mazowiecki, Kuroń, Balcerowicz, Geremek, Michnik czy Frasniniuk, będzie za to musiał po lekturze wywiadu z Kwaśniewskim przyznać, choćby niechętnie, że także jego formacja budowała to państwo.

Widać to zwłaszcza w polityce zagranicznej. Polski ustrój akurat tu daje prezydentom spore pole do popisu, a Kwaśniewski położył olbrzymie zasługi w budowaniu wizerunku Polski jako kraju, któremu Zachód może ufać, choć ze swoim politycznym rodowodem miał pod górkę.

Może jego siłę negocjacyjną i wizerunkową wzmagał efekt zaskoczenia – że postkomunista, a jednak cywilizowany (zaś w kraju „giedroyciowa” postawa wobec Ukrainy i krytyka polityki Putina zyskiwały mu szacunek, a więc i akceptację, środowisk politycz-

nie odległych). Może liczne podróże na Zachód, które odbył jako student, sprawiły, że w miarę swobodnie czuł się wśród możliwych tego świata (a im bardziej był obecny i aktywny, tym lepiej rozumiał motywacje polityków z innych krajów). Na pewno pomagała jego postawa wyzbyta narodowej tromtadracji. „W regionie jak ognia unikałem tezy, że Polska jest liderem, która jak widzę, bardzo podobna się obecnej władzy. Uważałem, że Polska w naturalny sposób jest liderem, ale nie powinna o tym gadać. To powinno wynikać z naszej empatii regionalnej, z pomocy, której umiemy udzielić, działalności adwokackiej wobec innych krajów”.

Inna rzecz, że Kwaśniewskiemu ze wszystkim było łatwiej, bo jego prezydentura przypadła na czas dla Polski niebywale szczęśliwy. Trudne reformy zostały już przeprowadzone, PKB ogólnie rosło, inflacja malała, kraj miał trzy wyraźne cele – uchwalenie konstytucji, wejście do NATO i wejście do Unii Europejskiej. To był czas optymizmu. Przed atakami z 11 września, kryzysami finansowymi, wojnami na Bliskim Wschodzie, katastrofą smoleńską i wszystkim, co się wydarzyło później, z abójstwem Pawła Adamowicza włącznie. Konflikty takie jak na Bałkanach, w Czeczenii czy reżim Aleksandra Łukaszenki, wydawały się raczej spadkiem po zimnej wojnie, a nie zapowiedzią przyszłości.

Sam Kwaśniewski zresztą jakoś pasował do międzynarodowego otoczenia, młodego, optymistycznego i odmieniającego przez przypadki słowo „przyszłość”, w którym ton nadawali Bill Clinton czy Tony Blair.

Oczywiście nie było tak, że tamte lata były bezkonfliktowe i tylko przyjemne. Już zaraz po wejściu Polski do NATO zaczęły się schody. Najpierw dzieląca zachodnich sojuszników kwestia bombardowań Serbii, potem 11 września, walące się dwie wieże WTC, Afganistan i Irak. Kwaśniewski przyznaje, że ówczesne wybory nie zawsze okazały się trafne. Zwłaszcza jeśli idzie o wojnę w Iraku i jej następstwa w postaci tajnych więzień na terenie Polski. „Drugi raz bym się nie zgodził” – mówi Kwaśniewski o sprawie, którą w Polsce niesłusznie zlekceważono.

A wewnątrz kraju – wielka powódź 1997 roku, inflacja, bezrobocie – tliły się wciąż spore ogniska biedy, Polskę wciąż bez trudu dawało się opisać poprzez takie filmy jak „Cześć, Tereska”, „Edi”, „Pieniądze to nie wszystko” i „Dzień świra” – ale to ostatnia prosta, wejdziemy do Unii i wszystko się zmieni. Oraz ekscesy polityczno-kulturowe, w ówczesnym wyobrażeniu liberalnego mainstreamu wykraczające poza „zachodnie” normy: awantury o lustrację, dekomunizację, afera Olina... Lecz tego typu problemy miały być tylko przejściowymi zawirowaniami, etapami na bolesnej drodze do dojrzałej europejskiej demokracji, przeminąć, jak rządy Vladimíra Meciaru na Słowacji, które spowolniły reformy, ale ich nie powstrzymały.

Tak, tamte czasy wydają się bardziej niewinne od obecnych. Wtedy też się kłócono, ale ówczesne „kwasy” jakoś mniej zatruwały życie publiczne. Kwaśniewski: „Dawniej, mając różne życiorysy i oczywiście kłócąc się o wiele spraw, mogliśmy rozmawiać, działać koncyliacyjnie, budować współpracę. Inaczej nie zrobilibyśmy konstytucji, nie weszliby-

śmy do NATO ani Unii Europejskiej, nie rozwiązałibyśmy iluś tam problemów. Budowaliśmy korpus cywilny, który miał być elementem ciągłości i stabilności państwa”.

Właśnie wkład w tworzenie ciągłości państwa wydaje się jednym z największych osiągnięć Kwaśniewskiego. Polska to nie Wielka Brytania, gdzie ciągłość jest materialnie namacalna, a dokumenty z czasów średniowiecza zachowują ważność. Wojny i najazdy zmuszały Polaków, by co kilkadziesiąt lat musieli odbudowywać wszystko. Tu ciągle trzeba było zaczynać od nowa, zwłaszcza jeśli idzie o niepodległe i demokratyczne państwo prawa. Nie trzeba zresztą zewnętrznych zawirowań – w zasadzie od odzyskania niepodległości każda kolejna władza ma pomysł, by wszystko wywracać do góry nogami. Weźmy choćby same nazwy różnych państwowych instytucji.

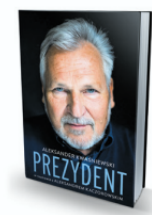
Dlatego samo przyzwyczajanie Polaków do idei ciągłości było tak ważne. Kwaśniewski wspomina, jak w 1995 roku obrażony nań Wałęsa nie zjawił się na inauguracji następcy, a nowego prezydenta w pałacu prezydenckim witali kucharz, jego pomoc i kelner. Dlatego dekadę później on sam zaprosił Lecha Kaczyńskiego na kolację, a potem odbył z nim rozmowę. Dziś ta ciągłość wydaje się zerwana.

Czy do końca? Kwaśniewski powiada: „Nawet w momentach, kiedy linie podziałów są bardzo silne, można utrzymywać pewne formy dialogu. I to jest myśl dla dzisiejszej Polski. Mam nadzieję, że nawet przy tych podziałach, jakie są teraz, chyba nawet głębszych niż wtedy, są jakieś grupy, które ze sobą rozmawiają. To jest ważne, żeby móc w zasadniczych momentach się porozumieć”.

Z tyloma rzeczami miał rację. Oby w tej się nie mylił. ●



***Andrzej Brzeziecki** – historyk i dziennikarz, autor książek „Czerniawski. Polak, który oszukał Hitlera” oraz – wspólnie z Małgorzatą Nocuń – „Białoruś – kartofle i dzinsy”, „Armenia. Karawany śmierci”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji” i biografii zapomnianego asa polskiego wywiadu „Wielka gra majora Żychonia”. Właśnie wydał biografię Krzysztofa Kozłowskiego, pierwszego ministra spraw wewnętrznych wolnej Polski po Okrągłym Stole. „Kocioł, Kozioł, senator. Biografia Krzysztofa Kozłowskiego” w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



„Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim”
wyd. Znak, książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

Wojciech Szot

I rudno wyzwolić kogoś wbrew jego woli. Wiedziała o tym już Lizystrata, tytułowa bohaterka komedii Arystofanesa.

– O, jakże jest bezwstydne całe nasze plemię! – grzmiała rozczerowana postawą tych, które nie chciały dołączyć do strajku kobiet. Tak przynajmniej głosi przekład Stefana Srebrnego opublikowany w latach 60. XX wieku.

– Kurwy! Wszystkie! – 60 lat później, w przekładzie filolożki klasycznej i teatrolożki Olgi Śmiechowicz, Lizystrata nazywa sprawę po imieniu.

Paweł Majewski, historyk kultury antycznej, krytykował tłumaczkę za to, że „Arystofanes został uczestnikiem »wojen kulturowych« z naszych czasów, które polegają już niemal wyłącznie na tym, że walczące strony wrzeszczą na siebie i wyzywają się od ostatnich”.

– Majewski źle rozpoznał sytuację – mówi „Wyborczej” Śmiechowicz.

Zdaniem dramaturżki „wojna o prawo do aborcji nie jest »wojną kulturową«”. – Podstawą krytyki Majewskiego było rozdrażnienie dosadnym językiem mojego przekładu. Komedie starożytne pełne są seksistowskich dowcipów wypowiedzianych wyjątkowo obraźliwym językiem. Żeby były komunikatywne – muszą zostać oddane językiem nam współczesnym.

MÓJ PRZEKŁAD
– MÓJ WYBÓR

Śmiechowicz pracowała m.in. z Janem Klatą nad „Trojankami” Eurypidesa. Pisała: „Wciąż powtarzamy, że rozterki Sofoklesowego »Króla Edypa« są ponadczasowe. Jakbyśmy wstydzieli się przyznać, że cechujemy się już zupełnie innym metabolizmem kulturowym. Nasze problemy i pojmowanie świata są całkowicie inne.

Jak zatem powinna kształtować się relacja dramaturżka – autor tekstu, gdy dzieło ich ponad 2500 lat? Śmiechowicz: – Eurypides napisał „Trojanki” w kontekście paacyfikacji wyspy Melos. Kogo to dzisiaj obchodzi?

W trakcie prób dużo rozmawialiśmy, czym jest wystawienie tekstu o upadku wielkiego, bogatego miasta, jakim była Troja, w bogatym, portowym mieście, jakim jest Gdańsk. O wojskach rosyjskich, które szły przez Polskę na Berlin, o zagrożeniu III wojną światową. Nie mogliśmy przewidzieć, że już po premierze rzeczywistość dopisze kontekst Strajku Kobiet oraz wojny w Ukrainie.

Po „Lizystracie” nakładem Biblioteki Śląskiej ukazują się „Żaby” Arystofanesa w przekładzie Śmiechowicz. – Szukanie współczesnych kontekstów dla utworów antycznych jest dla mnie szalenie interesujące – mówi Śmiechowicz. – „Żaby” to środowiskowa komedia o teatrze. Pełna odniesień do współczesnych Arystofanesowi twórców. Bez przypisów – praktycznie nieczytelnych. Dlatego w komentarzu do swojego przekładu podsunęłam czytelnikowi „Artystów” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Za 2500 lat ten serial też będzie nieczytelny.

ZNALEZIONE
W PRZEBIEGADZIEA CO, JEŚLI TO ISMENA
MIAŁA RACJĘ?

O czytelność i nowe interpretacje zadbał Daniel Chmielewski, autor komiksowej wersji „Antygony” Sofoklesa wydanej przez Instytut Teatralny. W efekcie międzynarodowego projektu „Klasyka w powieści graficznej” wydano również „Króla Ubu” w wersji słoweńskiego artysty Dr. Horowitza (Cirila Horjaka) i „Romea i Julię” narysowaną przez Słowaka, Juraja Martiška.

Chmielewski, który na swoim koncie ma m.in. komiksową wersję powieści Olgi Tokarczuk, „Anna In w grobowcach świata”, w swojej adaptacji dokonuje ciekawej reinterpretacji klasycznej tragedii, która odbywa się na płaszczyźnie ilustracji, a nie tekstu, przytoczonego w komiksie bez skrótów.

Ismena, która u Sofoklesa pojawia się jedynie na początku dramatu, u Chmielewskiego – jako niema świadkini – obecna jest aż do końca jego trwania. „Myśląc o obecnym klimacie politycznym i światopoglądowym w wielu częściach Europy, w tym w Polsce, bardzo aktualna wydała mi się przemiana Ismeny” – pisze Chmielewski w posłowie komiksu.

Ismena pojawia się między innymi jako świadkini w finałowej scenie „Antygony”, gdy razem z tłumem ludzi słucha finałowego dialogu Kreona i Chóru. Patrzy na poniżonego władcę z góry. Zatem czyżby w konflikcie między racjami Antygony i Kreona racje Ismeny okazały się zwycięskie?

– Uważam, że przyłożenie dawnego tekstu do obecnych realiów i rzeczy, które są istotne dla osób czytających współcześnie, pozwala zaciekać się tekstem, poczuć go, a potem – jeśli mamy na to ochotę i siły – badać w ujęciu historycznym – wyjaśnia Chmielewski.

KREON
TRUMPEN

To nie jedyne „współczesne” wstawki w komiksowej „Antygonie”. Komiksowy Kreon przypomina Donalda Trumpa, stroje Antygony i Hajmona zaczerpnięte są z projektów Coco Chanel przygotowanych dla opery Arthura Honeggera w 1927 roku, a w niektórych kadrach czytelnicy znajdą rekwizyty zupełnie nieprzystające do antycznych czasów, jak choćby samochody. Wszystko po to, by dramat Sofoklesa wciąż przemawiał do czytelników.

Podobne rozważania towarzyszyły Oldze Śmiechowicz podczas pracy nad „Żabami”. – Próbowalam sobie wyobrazić, czy komediopisarz oglądał swoje przedstawienia, czy stres był tak ogromny, że krążył wokół teatru, nasłuchując reakcji pu-

bliczności. Nie muszę znać odpowiedzi. Wystarczy, że dzięki nim otwieram sobie i czytelnikowi nową perspektywę myślenia o tym utworze.

KTO PRZEŁOŻY
„BOGURODZICĘ”?

Skoro starożytne teksty wymagają przekładów uwspółcześniających nie tylko język, ale też dopisujących nowe konteksty kulturowe, co z literaturą staropolską? Czy dzisiaj jesteśmy w stanie czytać dla codziennej przyjemności teksty Jana Kochanowskiego? Ile rozumiemy z „Bogurodzicy”? W serwisie Wolne Lektury czytelnicy znajdą tekst „Pieśni świętojańskiej o Sobótce” objaśniony 153 przypisami. Dużo krótsza „Bogurodzica” potrzebowała ich ponad 50. Kto dziś wie, co znaczy „prześpieć” czy „zaśmiernie”?

W 2015 roku Ministerstwo Kultury zapowiadało „serię przekładów dzieł staropolskich na współczesną polszczyznę”. Ministra kultury Małgorzata Omilanowska mówiła przy tej okazji: – Przykładem może być przedstawienie teatralne sprzed kilku lat, w którym spektakl oparty na wierszach Brzechwy zaczynał się od dźwięku stukania maszyny do pisania. Rodzice obecni na widowni wiedzieli, o co chodzi, ale wszystkie dzieci dopytywały się, co to za dziwny dźwięk.

Jak wspomina w rozmowie z „Wyborczą” Omilanowska, ministerstwo razem z kierowanym przez Grzegorza Gaudena Instytutem Książki planowało ogłosić konkurs na współczesne wersje dawnych utworów.

Omilanowska: – W finale chcieliśmy je wydać „dwujęzycznie”, żeby może ktoś z młodych ludzi dostrzegł urodę nie tylko współczesnych utworów, ale też tej dawnej polszczyzny. Ale to był jednak rok wyborczy i konserwatyści rzucili nam się do gardeł. Oskarżano nas o zakusy na niszczenie polskiej literatury. Opór był nie tylko wśród polityków, ale też w środowisku polonistycznym, wśród profesury. Z drugiej strony mieliśmy bardzo niewielu sprzymierzeńców. Projekt trzeba było odłożyć, a co się działo później – wszyscy wiemy.



**Szekspir „mówi” do czytelników
coraz bardziej współczesną polszczyzną i dlatego żyje. Czy nie czas
spopolszczyć Kochanowskiego?**

Jerzy Jarniewicz, przy okazji dyskusji o pomysłe ministerstwa i Instytutu Książki, ironizował z przeciwników pomysłu: – A więc: ręce precz od naszej pięknej, choć nieczytanej literatury. Niech nikt ze współczesnych nie tyka Reja, Szymonowica czy Sępa Szarzyńskiego. Niech stoją, jak do tej pory, na zakurzonych półkach szkolnych bibliotek. Nie, nie na półkach, a w muzealnych gablotach z napisem „Nie dotykać eksponatów!”.

SPOPOLSZCZENIE KOCHANOWSKIEGO

Eksponatu dotknął, ale nie naruszył i na jego podstawie utkał własny utwór Krzysztof Bartnicki, laureat Nagrody Literackiej Gdynia za „Myśliwice, Myśliwice”.

„Jesteś zdrowom zdrowom zdrowom / wsi, jesteś zdrowom zdrowom zdrowom / wsi, jesteś zdrowom zdrowom zdrowom” – tak Bartnicki proponuje zacząć „Pieśń XII” w wydanym przez Bibliotekę Śląską tekście „Garutko sobotniej ropy”, czyli „spopolszczeniu” „Pieśni świętojańskiej o Sobótce” Jana Kochanowskiego. – Spopolszczenie to neologizm – mówi „Wyborczej” Bartnicki. – Po pierwsze ma on zaznaczać, że jesteśmy po polsku, czyli nie Kochanowskiego. Po drugie – jesteśmy coraz wyraźniej po polsku, czyli medium książkowego. Pieśniom towarzyszą kody QR odsyłające odbiorcę do playlist w internecie. Nowoczesna literatura jest przecież zbiorem nie samych książek, ale dźwięków, linków, postów, interakcji.

**Spektakl oparty na wierszach
Brzechwy zaczynał się
od dźwięku stukania
maszyny do pisania.
Dzieci dopytywały się, co to za
dziwaczny dźwięk**

„Ty jesteś zdrowo zdrowo z dala od sodom, sodom”, nawija Bartnicki na melodię utworu „Jesteś kłoda” składu Futuryje. – Gdy Kochanowski pisał „Pieśń...”, chciał, żeby był to utwór popularny. Dlatego musiałem sięgnąć po to, co dzisiaj jest popularne – mówi Bartnicki. – Do wyboru miałem disco polo lub rap. To pierwsze – jak sama nazwa wskazuje – jest bardzo polskie, a że moim celem było jednak „spopolszczenie”, to rap okazał się idealny. Szczególnie ciekawy okazał się grime, gatunek, w którym szybkim beatom, elektronicznemu brzmieniu, towarzyszy często bardzo dobry tekst. W tym, co robiły Futuryje, jest coś innego, niż usłyszymy u większości wykonawców rapowych.

W wykorzystanej jako wstęp do „spopolszczenia” wypowiedzi Jarniewicza pada pytanie: „Dlaczego nikt z polskich tłumaczy nie sięga po literaturę staropolską?”. Jarniewicz zauważa, że Szekspir „mówi” do czytelników coraz bardziej wspól-

czesną polszczyzną, czego nie można powiedzieć o polskich twórcach. – Szekspir się nam na potęgę uwspółcześnia – i dlatego żyje – mówił Jarniewicz. Jego zdaniem wizja „Trenów” przepisanych przez Justynę Bargielską czy Andrzeja Sosnowskiego jest bardzo kusząca.

„NA GŁOSKA POLSKIEGO / JEST NASZ DOM”

Bartnicki, jak przystało na tłumacza legendarnego „Finneganów trenu” Jamesa Joyce’a – książki nieprzekładalnej, a jednak przełożonej – nie tyle uwspółcześnia język dzieła Kochanowskiego, co dokonuje całkowitej jego przemiany. Dzięki muzycznym inspiracjom ze świata hip-hopu przypomina czytelnikowi, że „Pieśń świętojańska...” była przede wszystkim nie wierszem do czytania, a pieśnią.

W końcu – o czym pisze w posłowniu do „Garutko...” historyk literatury Aleksander Nawarecki – „songi” Jana z Czarnolasu wciąż wybrzmiewają w polskich kościołach. Hymn „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary” to – jak uważa badacz – „»evergreen«, sakralny szlagier wzlatujący poza mury świątyni, na ulice, drogi i stadyony”.

– Trzeba celebrować „Pieśń świętojańską...” z taką pasją i ferworem jak na seansie „Saturday Night Fever” – pisze Nawarecki. I tak „Ojcu polskiej literatury” towarzyszy w „Garutko...” „ojciec polskiego hip-hopu”, czyli Liroy i melodia jego „Scyzoryka”. Na nią Bartnicki układa prolog swojego „spopolszczenia”. Brzmi on tak:

*brum-patyki bom-patyki
brum-styki brom
na głoska polskiego
jest nasz dom*

Każdemu wersowi nowych „Pieśni...” towarzyszą wspomniane kody QR, ale też spis nawiązań występujących w tekście. I tak fraza „brum-patyki bom-patyki” okazuje się miksem piosenki „Panie Janie” i utworu „Serce na patyku” Piotra Bukartyka. „Na głoska polskiego” to zaś nawiązanie do wiersza Stanisława Grochowskiego z początku XVII wieku. „Garutko sobotniej ropy” to poetycko-muzyczna wariacja wokół Kochanowskiego, rapu, poezji, ale też możliwości polszczyzny.

– To nie jest zupełnie swobodna wariacja na temat Kochanowskiego, heca dla hecy – mówi Bartnicki i dodaje: – Kochanowskiego cytuję gęsto, żeby „Garutko” można było nazwać adaptacją. A przy tym Kochanowskiego nie mogło być za dużo – bo wtedy zamiast przeróbki dokonałoby się przepisanie.

– Tekst „Garutko...” wciąż odnosi się do „Pieśni świętojańskiej...” , ale też stawia pytania o to, co to znaczy „uwspółcześnić”. Można uprościć pisownię, przerebować – choć przecież to pieśń – na prozę, ale to wszystko już mamy. Przecież cała literatura czytana w szkole została już dawno temu przepisana na bryki. Brykizacja polskiej literatury jest faktem. To, czego potrzebujemy, to zachęty do sięgnięcia po oryginał przez tych, którym wydaje się on zupełnie nieprzydatny do życia. Rapu słuchają miliony ludzi, Kochanowskiego czyta trochę mniej. Może takie „Garutko...” zachęci kogoś do sięgnięcia po to, co było przed Bartnickim? – pyta autor „spopolszczenia”.

Omilanowska: – Jestem babcią i widzę na co dzień, jak oderwane od potrzeb młodych ludzi jest myślenie o tym, że będą zachwycać się staropolszczyzną. Jeżeli mają zrozumieć, o co chodziło wtedy Polakom, jaką mieli wizję świata, człowieka, to trzeba ją opowiedzieć w nowoczesny sposób. Dzięki temu ta literatura ma szansę przetrwać. Warto wrócić do pomysłu przełożenia staropolskiej literatury, bo potrzebujemy dyskusji o tym, jak uczymy o literaturze i polskim języku. ●

Mocarstwo na kredyt

Ile Błaszczak pożyczył w Korei i na jakich warunkach? Tajemnica. Jak za Gierka.

5 czerwca południowokoreańska telewizja SBS (Seoul Broadcasting System) poinformowała, że Warszawa zaciągnęła pożyczkę 12 bln wonów (38 448 mld zł) na zakup uzbrojenia w Republice Korei i negocjuje kolejne zobowiązania o takiej samej wartości.

Informacji nie skomentował nikt z polskiego rządu. Nie wiemy nawet, czy pożyczka zostanie ujęta w statystykach długu finansów państwa cyklicznie prezentowanych przez Ministerstwo Finansów, czy też zostanie utajniona. Nie znamy jej warunków – oprocentowania, okresu spłaty, sposobu zabezpieczenia. Wszystko jest ukryte za tajemnicą wojskową.

Wydatki na obronę zapisane w ustawie budżetowej mają wynieść w tym roku 97 mld zł, czyli 3 proc. PKB, ale razem z finansowanymi poza budżetem wyniosą około 4 proc., co jest wzrostem skokowym. Przyjęty przez MON plan modernizacji technicznej na lata 2021-35 przewiduje, że w ciągu 15 lat wydamy na zakupy 110,3 mld euro. Polska, według marzeń Jarosława Kaczyńskiego ma mieć 300-tysięczną armię zawodową, jedną z największych w Europie.

Krytycy obecnego rządu, a zwłaszcza działacze ministra Błaszczaka, uważają, że kupuje on sprzęt wojskowy chaotycznie. Będziemy mieli na przykład kilka rodzajów czołgów, a każdy wymaga innego zaplecza serwisowego. Polska zamierza też kupić 500 zestawów wyrzutni rakietowych HIMARS, co ma kosztować 10 mld dol. – i jeśli pomysł zostanie zrealizowany, staniemy się największą potęgą raketową w Europie. Tyle że będziemy mieli zbyt mało rakiet do tych zestawów.

Szczegóły techniczne pozostawiam fachowcom, którzy mają różne poglądy na priorytety w obronności. Moje wątpliwości budzi ogromny wysiłek finansowy, a także rosnące zadłużenie polskiego państwa.

Ludzie, którzy pamiętają ostatnie dekady PRL, mają głęboko zakodowany lęk przed zadłużaniem państwa, zwłaszcza w obcych walutach. Czy grozi nam podobny scenariusz, który pogrążył polską gospodarkę w latach 80.?

Na pozór obecna sytuacja jest zupełnie inna. Obecny dług jest znacznie większy niż w ostatnim roku rządów Gierka – w 1980 roku dług zagraniczny PRL wynosił 24,1 mld dol. W 1989 – 46,1 mld dol. Według danych Ministerstwa Finansów w końcu 2022 roku zadłużenie sektora finansów publicznych wynosiło 1,2 bln zł, ale wielkość ta nie uwzględnia długu zaciąganego poza budżetem – przeszło 300 mld zł. Cały dług w stosunku do PKB wynosił w końcu ubiegłego roku 49,1 proc.

Lecz choć dług jest większy niż w końcu rządów Gierka i w ostatnim roku PRL, to znacznie większe są możliwości polskiej gospodarki. W końcu lat 80. nasz eksport za waluty wymienialne wynosił niespełna 10 mld dol., w roku ubiegłym wyniósł 363 mld dol. Nawet uwzględniając, że dolar ma mniejszą siłę nabywczą niż w latach 80., różnica w potencjale obecnej Polski i PRL jest ogromna. W 1989 r. potrzebowaliśmy czteroletnich wpływów z eksportu, by spłacić zadłużenie (ostatecznie część jego została Polsce umorzona), obecnie – kilku tygodni.

W 1989 roku rezerwy zagraniczne NBP były bliskie zera, fundusz stabilizacyjny w wysokości 1 mld dol. z pieniędzy przekazanych rzez USA i kilka innych krajów miał wielkie znaczenie. Dziś rezerwy zagraniczne NBP wynoszą 176 mld dol.

Nie grozi nam powtórka z lat 80., co nie znaczy, że nie musimy się niepokoić skokowym wzrostem wydatków zbrojeniowych i w efekcie wzrostem zadłużenia.

Przed wszystkim zapomnijmy o różnieniu długu na złotowy i zagranicz-



• **Wrzesień 2022, międzynarodowe targi broni w Kielcach, Andrzej Duda i Mariusz Błaszczak na stoisku Korea Aerospace Industries** FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ny. W PRL miało ono zasadnicze znaczenie, gdyż złotówki drukował bez przeszkód NBP, a o waluty było trudno. Dziś złoty jest wymienialny, więc cały dług państwa jest w pewnym sensie „długiem dolarowym” i wynosi 360 mld dol.

W stosunku do 745 mld dol. PKB – to wciąż umiarkowany poziom zadłużenia, ale nawet Ministerstwo Finansów przyznaje, że w najbliższych latach będzie dość szybko rosło i w roku 2026 przekroczy 55 proc. PKB. Te prognozy są obarczone sporym błędem, gdyż poziom długu w relacji do PKB zależy w dużej mierze od wysokości inflacji. Inflacja pomogła wielu krajom, w tym także Polsce, obniżyć relację długu do PKB (bo inflacja „nadyma” PKB), ale jeśli będzie spadała, czego możemy sobie wszyscy życzyć, dług stanie się problemem.

To, co najbardziej niepokoi i najbardziej upodabnia obecną sytuację do epoki Gierka, to tajemnica, jaka otacza zaciągane pożyczki. Gdy studiowałem ekonomię w latach 70., niektórzy profesorowie mający dostęp do poufnych informacji szeptem mówili, że „towarzysze z KC” są zaniepokojeni rosnącym długiem. Jego wielkość była tajemnicą państwową, podobnie jak bilans płatniczy, czyli zestawienie przyływów i odpływów walut. Wielkość polskiego zadłużenia znaly rządy zachodnie, a także międzynarodowe instytucje finansowe, ale polski obywatel nie miał dostępu do tych informacji.

Dziś o pożyczce koreańskiej dowiadujemy się z zagranicznych mediów. Ekipa Gierka nie była kontrolowana przez społeczeństwo, podejmowała decyzje w sposób, który określono później jako woluntarystyczny. Podobno Gierek żył dosyć skromnie, ale długów, które pozostawił, nie spłacał. One obciążały przez kilkadziesiąt lat Polaków.

Dziś kluczowe decyzje podejmuje Kaczyński, którego zakres władzy jest większy niż Gierka. I sekretarz KC PZPR musiał się liczyć z opiniami kilkunastu członków Biura Politycznego, prezes PiS takiego ograniczenia nie ma. To on wymyślił, że Polska ma stać się największą potęgą militarną w Europie, tylko z nim minister Błaszczak konsultuje zakupy czołgów, samolotów, rakiet i wysokość sum wydawanych na ten sprzęt.

Część wydatków obronnych finansowana jest poza ustawą budżetową z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, administrowanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego. BGK może zaciągać kredyty i pożyczki lub emitować obligacje na rynku krajowym i na rynkach zagranicznych. Wynikający z tego dług nie jest zaliczany do długu publicznego, który zgodnie z konstytucją nie może przekroczyć 60 proc. PKB, ale ma państwowe gwarancje, co oznacza, że też będzie spłacany przez podatników. Ten dług może rosnąć bez wiedzy społeczeństwa, aż stanie się dla wszystkich prawdziwym problemem.

Kaczyński podobno żyje równie skromnie jak Gierek, ale nie on będzie dług spłacał, tylko my, a być może także nasze dzieci i wnuki. ●

Witold Gadomski



FOT. RENATA DĄBROWSKA
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Co słyhać u Władimira?

– Mam kontakt tylko przez adwokata. Wołodia nie został jeszcze przewieziony do kolonii karnej o zastrzyżonym reżimie, przetrzymują go na razie w moskiewskim areszcie śledczym Wodnik, w najbardziej strzeżonej części, gdzie siedzą zabójcy, gwałciciele. Od ponad roku nie widział nieba, bo spacerować na świeżym powietrzu są tam zabronione. Spodziewam się jednak, że władze będą chciały szybko przewieźć go do jakiejś odległej kolonii karnej, np. w Mordowii. Jak to się mówi, co z oczu, to z serca. Dziennikarzom, obrońcom praw człowieka, przyjaciółom nie będzie tak łatwo dostać się na drugi koniec Rosji.

Ponoć w jego przypadku 25 lat odsiadki to w zasadzie wyrok śmierci.

– Wskutek dwóch prób otrucia u Wołodi rozwinęła się polineuropatia, choroba, która jest na liście dolegliwości uniemożliwiających odbywanie kary pozbawienia wolności w więzieniu, bo powoduje niedowład kończyn, utratę czucia. Od aresztowania w kwietniu 2022 roku choroba zaatakowała prawą stronę ciała. Więzienna lekarka zaleciła mu przebywanie na świeżym powietrzu i spacerować. Ich cynizm nie zna granic.

To stan fizyczny, a moralnie?

– Wołodia nigdy nie podupadał na duchu. Nawet w więzieniu nie tracił poczucia humoru. Bardziej martwi mnie to, że warunki, w których przyjdzie mu żyć, będą jeszcze trudniejsze niż teraz.

Wiele osób starało się przekonać Władimira, by po wybuchu wojny nie wracał do Rosji. Zważywszy na jego wcześniejszą działalność – najpierw współpracę z zamordowanym za budowanie realnej opozycji Borysem Niemcowem, potem współpracę z wypuszczonym z łagru, ale wciąż znienawidzonym przez Kreml Chodorkowskim – oraz na otwarty sprzeciw wobec wojny i nawoływanie na Zachodzie do sankcji, uwięzienie było nieuniknione. Dlaczego nie słuchał?

– Często słyszę: „Czy Wołodia oszalał, że wrócił do Rosji?”. On doskonale wiedział, co robi. Przecież władze dwukrotnie starały się go zabić. Ja od wielu lat śpię z telefonem pod poduszką. Nigdy nie wyłączam na noc dźwięku, pilnuję, by był naładowany.

W takim razie dlaczego to wszystko?

– Wołodia jest prawdziwym patriotą. Rosja jest dla niego domem, którego nie jest gotów oddać bandzie złodziei i morderców. Zawsze mówił, że emigracja wszystkich, którzy sprzeciwiają się obecnym władzom, byłaby dla nich największym prezentem.

Ale nie bez znaczenia był wpływ radzieckich dysydentów. Kiedyś Wołodia zrobił film „Oni wybrali wolność”, w którym opowiada o uczestnikach protestu z sierpnia 1968 roku. Siedmioro ludzi wyszło na plac Czerwony, by wyrazić sprzeciw wobec sowieckiej inwazji na Czechosłowację. I chociaż akcja trwała zaledwie pięć minut, po czym zostali aresztowani lub umieszczeni w szpitalach psychiatrycznych, zostali dostrzeżeni. W jednej z praskich gazet napisano, że „istnieje co najmniej siedem przyczyn, z powodu których nie możemy nienawidzić Rosjan”.

A dzisiaj takich „przyczyn” są dziesiątki tysięcy. Ludzie są aresztowani za zamianę metek z cenami na antywojenne ulotki, za wyjście na ulicę z „Wojną i pokojem” Tolstoja. Rodzice, którzy mówią dzieciom, że wojna jest czymś złym, lądują w więzieniu i tracą prawa rodzicielskie.

Wołodia wie, że jest rozpoznawalny i że jego losami świat będzie się interesował, więc korzysta z tego, żeby nagłaśniać historie tych anonimowych więźniów politycznych.

Mógłby robić to samo, i to skuteczniej, bo z dostępem do wpływowych mediów i polityków. Państwo od lat mieszkacie w Stanach Zjednoczonych, a Władimir ma brytyjskie obywatelstwo.

– W 2013 r., kiedy Michaił Chodorkowski zaproponował, by pomógł mu w otwarciu sieci regionalnych oddziałów organizacji Otwarta Rosja, Wołodia od razu zaczął pakować walizki. Choć przeżywał, że nie może nas zabrać ze sobą. To była rada Chodorkowskiego: nie sprowadzać rodziny do Rosji. „Żebyś mógł pracować, jak należy, twoje dzieci muszą być bezpieczne”.

Wołodia jeździł po kraju, spotykał się ze zwykłymi ludźmi. Kiedy wracał, opowiadał rozemocjonowany, jak wiele jest w Rosji osób, którym nie jest wszystko jedno i chcą zobaczyć ją wolną i demokratyczną.

Myszę, że w jego przypadku to także genetyczne. Dwóch jego pradziadków zostało zabitych przez NKWD za „zdradę stanu”, dziadka zesłali do góru za zdradę ojczyzny, ojciec był jednym z pierwszych niezależnych dziennikarzy radzieckiej Rosji.

CZY ON



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

OSZALAŁ,
ŻE WRÓCIŁ
DO ROSJI?

Władze popisały się przesadnym optymizmem, skazując Wołodię na 25 lat. System tyle nie wytrzyma

Z JEWGIENIĄ KARA-MURZĄ,
ŻONĄ SŁYNNEGO OPOZYCJONISTY, KTÓRY DOSTAŁ 25 LAT ŁAGRU,
ROZMAWIA WIKTORIA BIELASZYN

Wie pani, Wołodia studiował na Wyspach, ale od razu po obronie dyplomu spałował się i przyleciał do Moskwy. Powiedział, że „Wielka Brytania poradzi sobie bez niego”.

Domyślam się, że na jego życie wpłynęła znajomość z Niemcowem.

– Wołodia poznał go, będąc nastolatkiem, jako początkujący, młody dziennikarz przeprowadzał z nim wywiad. Zawsze podkreśla, że to Niemcow ukształtował go jako polityka, bo udowodnił mu, że można zajmować się polityką, zachowując czyste ręce.

Wołodia nigdy się z jego śmiercią nie pogodził. To również z jego inicjatywy w Waszyngtonie i innych miastach pojawiły się ulice i place imienia Niemcowa, często w pobliżu ambasad Rosji. Wołodia jest przekonany, że nadejdzie dzień, kiedy rosyjscy dyplomaci będą czuć z tego powodu dumę.

Trzy miesiące po zabójstwie Niemcowa agenci FSB usiłowali otruć pani męża. Obie próby przeszły bez większego echa.

– Długo walczyliśmy o oficjalne śledztwo. Bezskutecznie. Nie udało nam się uzyskać szczegółowych wyników badań, ale nawet te, które mieliśmy, pokazały, że w organizmie Wołodii stwierdzono wysokie stężenie metali ciężkich. Propaganda twierdziła rzecz jasna, że wypił za dużo dzień wcześniej z kolegami.

Dlatego przy drugim otruciu w 2017 roku, nauczeni doświadczeniem, wywieźliśmy z Rosji próbki krwi, by przekazać je FBI.

Sprawa, którą władze mu teraz wytoczyły, od początku była szyta grubymi nićmi.

– Oficjalnie powodem było pięć publicznych wystąpień, w których Wołodia wymieniał powszechnie znane fakty: mówił o represjach w kraju, o wojnie w Ukrainie, o cenzurze, o więzieniach politycznych. Ale zdaniem władz to stanowi „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego” i „szkodzi wizerunkowi Federacji Rosyjskiej na arenie międzynarodowej”. Po usłyszeniu tych zarzutów Wołodia napisał z więzienia tekst dla „The Washington Post”, w którym podkreślił, że czuje się zaszczycony taką uwagą władz, ale nikt nie jest w stanie zaszkodzić „wizerunkowi Federacji Rosyjskiej” bardziej niż Putin.

Nieoficjalną przyczyną jest zapewne lista Magnitskiego, czyli wymierzony w konkretne osoby system sankcji, o którego wprowadzenie walczył Wołodia po śmierci zakatowanego w więzieniu, a pracującego dla zachodnich inwestorów bankowca, który ujawniał gigantyczne przekręty ludzi związanych z FSB i Kremlm?

– Tak, ale nie tylko. Wołodia dwa razy ośmielił się przeżyć. Wyobraża sobie pani, jak to musi denerwować? Próbują raz, drugi, a tu nic nie wychodzi. A tak niewiele brakowało, w obu przypadkach lekarze dawali Wołodii 5 proc. szans.

Kiedy Wołodia zaczął pracować z Niemcowem nad listą Magnitskiego w 2010 r., wszyscy myśleli, że oszaleli. Że to niemożliwe, by Zachód przyjął taki system – nie jakichś tam abstrakcyjnych sankcji, ale konkretnych, bolesnych zakazów dla konkretnych ludzi reżimu. A dzisiaj ten przepis obowiązuje w 35 krajach! I utrudnia życie wielu osobom, które dopuszczają się łamania praw człowieka. Kilka dni temu pierwszą wiadomością, jaką przeczytałam rano, była ta, że Litwa objęła sankcjami 15 przedstawicieli reżimu biorących udział w prześladowaniu mojego męża.

A sędzia, który skazał Wołodię na 25 lat więzienia, a przed laty wtrącił do więzienia Siergieja Magnitskiego, od dawna jest objęty sankcjami w Wielkiej Brytanii i USA. Włożył wiele trudu i pieniędzy, by je z siebie zdjąć – bezskutecznie. Mam nadzieję, że wkrótce dowiemy się, że sankcje na sędziego Siergieja Podoprigorowa nałoży też Unia Europejska, bo ktoś taki nie powinien spokojnie wypoczywać na Łazurowym Wybrzeżu.

Władze USA wprowadziły ustawę Magnitskiego w 2012 roku. Do pierwszej próby

otrucia Władimira doszło w 2015 roku.

Trudno mi uwierzyć, że w tym czasie żyli państwo spokojnie.

– Po przyjęciu przez USA ustawy Magnitskiego Wołodia dostał wilczy bilet na działalność dziennikarską. Ambasada Rosji pozbawiła go akredytacji, a telewizja RTVI szybko go zwolniła. Później dowiedzieliśmy się od Niemcowa, że nieformalny zakaz wydała administracja prezydenta Rosji.

Było ciężko. Wołodia przez kilka miesięcy bezskutecznie szukał pracy. Bardzo go to frustrowało, i nie chodziło tylko o byt. Był rozczarowany, bo odmawiali mu ludzie, którzy wcześniej zabiegali o niego, oferowali zatrudnienie. Opuścił, kiedy usłyszał od dwóch redaktorów naczelnych różnych mediów wprost, że „chyba rozumie, że z jego bagażem...”.

Wie pani, dzisiaj myślę, że rosyjskie władze zrobiły wszystko, by Wołodia został politykiem. Nie dały mu innego wyjścia.

Ale on politykiem został już dużo wcześniej. Wszedł do polityki w wieku 19 lat, był członkiem Parnasu, partii Niemcowa, później ruchu Solidarność. Po co mu to

było, skoro mógł zmieniać Rosję i walczyć o prawdę jako wpływowy dziennikarz?

– W pewnym momencie informowanie o tym, co się dzieje, przestało mu wystarczać. Chciał realnie wpływać na sytuację.

Ale ten czas, kiedy stracił pracę, musiał być dla państwa trudny.

– Tak, bo nie miałam wtedy jeszcze zezwolenia na pracę w USA. A mieliśmy już troje małych dzieci.

To były już te lata po nieudanym „resecie”, kiedy Zachód już widział, kim tak naprawdę jest Putin, ale nadal wyrażał głównie „zaniepokojenie”.

– To, co dla nas już było oczywiste, czyli że w Rosji nie istnieją wolne sądy, ludzie są torturowani i zastraszani, a państwo dopuszcza się zbrodni wojennych, dla Zachodu okazało się oczywiste dopiero po inwazji na Ukrainę. Wcześniej, mimo wojen w Czeczenii, w Gruzji, w Syrii, w ukraińskim Donbasie, mimo aneksji Krymu, brutalnego zduszania protestów obywatelskich i niszczenia opozycji, Putin przyjmowany był na czerwonym dywanie, podpisywano z nim kontrakty na Nord Stream. Przez wiele lat utwierdzano go w przekonaniu, że może robić, co mu się żywnie podoba. Że Zachód pomrukuje, ale tylko na pokaz, a tak serio to macha ręką.

Często myślę i o pani, i o Julii Nawalnej. Co czuje się, kiedy najbliższy człowiek wybiera taką drogę, ze wszystkimi konsekwencjami dla żony, dzieci.

– Jestem z niego bardzo dumna. To ogromne szczęście dzielić życie z kimś, za kogo nigdy nie jest ci wstyd. Kogo możesz podziwiać za postawę, siłę, pryncypialność. Wołodia zza krat wspiera ludzi. Wspiera mnie. Ludzie pytają, czy nie mam żalu, nie jestem rozgoryczona. Nie mogłabym sobie wyobrazić życia z jakimkolwiek innym człowiekiem. My z Wołodią uzupełniamy się nawzajem. Jesteśmy jak puzzle w jednej układance.

Co jeszcze pani czuje?

– Wściekłość. Grupa zbrodniarzy zabija tysiące ludzi w Ukrainie, wtrąca do więzień

uczciwych Rosjan albo zmusza ich do emigracji, próbuje zniszczyć to, co z Wołodią od lat budowaliśmy. Nasz dom, nasze rodzinne gniazdo. Ten gniew mnie napędza.

Jak radzą sobie dzieci?

– Wołodia jest wspaniałym ojcem. Mimo że w ostatnich latach dzielił życie między Rosję a USA i w domu był rzadko, zawsze znajdował czas dla dzieci. Od samych narodzin aktywnie uczestniczył w ich życiu. Kiedy był w domu, robił wszystko, co powinien robić zaangażowany ojciec: karmił, kąpał, zabierał na place zabaw, woził na zajęcia pozalekcyjne, rozmawiał, dopingował podczas zawodów sportowych, czytał bajki przed snem... Nawet jeśli ze względu na pracę ciałem często był nieobecny, przez cały czas był obecny głosem w telefonie, połączeniem wideo.

Teraz nie ma nawet tego. Sąd odmawia mu z nimi kontaktu telefonicznego.

– Kolejna forma przemocy, jeśli nie tortury. Wołodia bardzo tęskni za dziećmi, a władze o tym wiedzą, więc odmawiają mu kontaktu od chwili zatrzymania. Przy czym odmowa zawsze przychodzi w szczególnych momen-

tach, np. tuż przed Bożym Narodzeniem albo na kilka dni przed ogłoszeniem wyroku.

Pytała pani, jak sobie radzą. Córkę mają 17 i 14 lat, syn – 11. Więc radzą sobie różnie. Mamy lepsze i gorsze dni. Dużo z nimi rozmawiam. Od zawsze zresztą mamy zasadę, że rozmawiamy z dziećmi na wszystkie tematy i nie ma pytań, których nie mogłyby nam zadać. Wiedziały o obu próbach otrucia taty, teraz wiedzą o jego uwięzieniu i wyroku.

Żyją w tym piekle od bardzo dawna, chociaż zawsze staraliśmy się, by miały normalne dzieciństwo. Co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że w 2015 roku najpierw zabito Borysa Niemcowa, chrzestnego Soni, a trzy miesiące później próbowano zabić Wołodię. Dzieci nie tylko wiedziały, ale i wiele widziały – ojca w śpiączce, potem, jak od nowa uczy się chodzić, jak noszę go na sobie, silnego dorosłego mężczyznę, bo nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach. Nawet nie chcę myśleć, jaką to było i jest dla nich traumą.

A w ostatnim roku dowiedziały się, że sędzia, który przyczynił się do śmierci Magnitskiego, skazał ich ojca, patriotę, który kocha Rosję, za zdradę stanu. Trudno znaleźć słowa, by wyjaśnić dzieciom, jak to możliwe, że na świecie dzieją się takie absurdalne rzeczy. A słów, by je w takich momentach uspokoić, zwyczajnie nie ma.

Co jest najtrudniejsze?

– Znalezienie słów, które pomogą zrozumieć dzieciom, dlaczego ktoś ciągle usiłuje zabić ich ojca. I dlaczego mimo to ich ojciec nie wycofuje się z polityki. Żeby zrozumiały, że ojciec ich w ten sposób nie zdradza, nie wyrzeka się, tylko walczy o przyszłość Rosji także z myślą o nich. Bo chce, by mogły przyjechać do swojej ojczyzny bez strachu.

Staram się im pokazywać, że takich ludzi jest więcej. Katia, nasza najstarsza, wygłosiła niedawno w Kongresie pierwsze przemówienie. Dziękowała za uwagę, jaką świat poświęca Wołodii, mówiąc, że dzięki temu udaje się zachować go przy życiu. 14-letnia Sonia jako temat pracy końcoworocznej w szkole wybrała więźniów politycz-

nych w Rosji, chociaż mogła przecież napisać o przyrodzie, o ulubionej muzyce czy filmie. Pozwoliła mi przeczytać to wypracowanie dopiero, kiedy je oddała i dostała za nie stopień. Nasz dziewięcioletni syn rysuje antywojenne rysunki.

Widzę, że one dorastają wcześniej, niż powinny, ale jednocześnie cieszę się, bo wiem, że mogą o tym wszystkim swobodnie rozmawiać, dzielić się z przyjaciółmi w szkole bez strachu. W przeciwieństwie do dzieci w Rosji nie muszą poznawać z doświadczenia, czym jest autocenzura w obawie, że zostaną zabrane do domu dziecka albo narażą mnie na niebezpieczeństwo. W przeciwieństwie do dzieci z Ukrainy nie muszą uciekać przed wojną w nieznane.

Państwo poznali się jeszcze w dzieciństwie, w piątej klasie podstawówki.

Pamięta pani moment, w którym zrozumiała pani, że będzie pani żoną nie tyle Wołodii Kara-Murzy, co człowieka, który zdecydował się zajmować w Rosji polityką, czyli czymś, co zawsze było bardzo niebezpieczne?

– Nie wychodziłam za mąż za polityka, historyka, dziennikarza. Pokochałam Wołodię Kara-Murzę, człowieka, którego poglądy zawsze dzieliłam, z którym zawsze dobrze się czułam i z którym zawsze, niezależnie od tego, jak długo byliśmy razem, było mi po prostu ciekawie. Wołodia jest „moim” człowiekiem. Oddychamy unisono. To, czym się zajmuje, to jego przedłużenie. Nigdy nie starałam się go przekonać, by zajął się czymś innym. Po pierwsze, bo to już nie byłby on, a po drugie, bo oznaczałoby to, że oczekuję, żeby wyrzekł się tego, w co wierzy. Jak można prosić ukochaną osobę, żeby wyrzekła się samej siebie? Kim Wołodia byłby wtedy dla samego siebie, dla naszych dzieci?

A kiedy Władimir po otruciu, chory i słaby, oznajmiał pani, że musi wracać do Rosji?

– Musiałam nauczyć się radzić sobie ze stresem. Zakładałam adidasy i chodziłam na wielogodzinne spacery po lesie. To nie znaczy, że ja to wszystko przetrwałam. Lęk, stres odkładają się we mnie. Wiem, że może mieć to poważne konsekwencje dla zdrowia, ale nie mogę pozwolić sobie na słabość. Dla dzieci, dla siebie, dla niego.

To perspektywa żony. A co z dziećmi?

– Boją się, ale Wołodia uczy je, że strach nie może paraliżować. Człowiek musi być w stanie nad nim zapanować, by walczyć nie tylko o tych, których kocha, ale i o siebie, swoje przekonania. O swój kraj.

Wie pani, co jest dla mnie najbardziej bolesne? To, że od ponad roku nie jestem ani tu, ani tam. Nie mogę pojechać do Rosji, by bliżej męża, bo mnie aresztują. Nie dlatego że jestem jakoś ważna dla rosyjskich władz, ale żeby móc wywierać presję na Wołodię. Nie mogę też być w domu z dziećmi, bo ciągle gdzieś jeżdżę, staram się kontynuować pracę Wołodii, nagłaśniać nie tylko jego historię, ale i innych więźniów politycznych. Naszymi dziećmi, domem i kotami opiekują się teraz moi rodzice. Nie jest łatwo, kiedy odbieram telefon od dziewięcioletniego syna, że dostał w szkole ataku paniki i potrzebuje mamy, a ja nie mam jak go przytulić.

Ale wiem, że oprócz tego, że one oczekują przytulenia, oczekują jeszcze czegoś. W roku 2015 i 2017 przywiozłam im tatę do domu. Teraz chciałaby tego samego.

Bierze pani pod uwagę, że Władimir może spędzić w więzieniu 25 lat?

– Nie. Władze popisały się przesadnym optymizmem. System zaczyna sam się zżerać i tyle nie wytrzyma. Inną kwestią jest to, że ten czas można skrócić tylko, jeśli będzie się wspólnie działać: należy wspierać wszelkimi możliwymi sposobami Ukrainę, pomagać rosyjskiemu społeczeństwu obywatelskiemu i więźniom politycznym.

Wołodia musi wrócić do mnie, do dzieci. Żywy. Mamy w domu dwie nastolatki ze swoimi dramatami i dorastającego chłopca. Jest mi – nam – potrzebny. ●

Adam Michnik poleca: **Przesłanie Tomasza Manna do Rosjan**

DLA SWOICH JESTEM ZDRAJCĄ

Dotąd nie docierały do nas, Rosjan, imperialistyczne nuty
wybrzmiewające w wielkich rosyjskich powieściach



„Rosjanie zniosą wiele – przywykli do tego. Skoro zaś nie kochają wolności, którą postrzegają jako zaniechanie i która w efekcie w pewnym sensie rzeczywistość nim się staje, będą mimo wszystko czuć się lepiej, prawdziwsi i »szczęśliwsi«, w nowym ustroju, prostackim i rygorystycznym ze wszystkimi związanymi z tym rozczarowaniami, niż w republice.

Dochodzi do tego nieograniczona zdolność reżimu do szerzenia kłamstw, oglupiania obywateli i wrzucania ich w stan odrętwienia. Ich poziom intelektualny oraz moralny już dawno temu upadł tak nisko, że po prostu nie potrafią wykrzesać z siebie iskry, która rozpalilaby w nich oburzenie”.

Przytoczyłem fragment listu Tomasza Manna do pisarza René Schickelego (z 2 kwietnia 1934 r.). Zastąpiłem w nim jednak Niemców Rosjanami. Historyczne paralele pomiędzy nazistowskimi Niemcami a Rosją Putina bowiem są uderzające, a najnowsza historia Rosji uczyniła klasycznego niemieckiego pisarza autorem nam współczesnym.

Tomasz Mann przez całe swoje życie prowadził dialog z literaturą rosyjską, a niedługo przed śmier-

cią napisał nawet tekst poświęcony Czechowowi. W młodości uczył się sztuki pisania od rosyjskich autorów, a teraz może nauczyć nas sztuki przetrwania w epoce faszyzmu.

•

Rosyjscy twórcy lepiej dzisiaj rozumieją, co czuli i czego doświadczali Tomasz Mann oraz inni niemieccy intelektualiści. Mowa Puszkina i Tolstoja przekształciła się w język zbrodniarzy wojennych i morderców. W najbliższej przyszłości świat będzie już kojarzył Rosję nie z muzyką i literaturą, lecz z bombami spadającymi na dzieci.

Bywa, że dwa pociągi mijają się na jakimś odcinku, pędząc przez chwilę okno w okno. Są blisko siebie, na wyciągnięcie ręki, tak że można dostrzec pasażerów w drugim pociągu: ktoś czyta, ktoś inny ucina sobie drzemkę, a jeszcze ktoś odwzajemnia nasze spojrzenie. Siedzimy tak właśnie teraz, rozdzieleni co prawda przez czas, ale w jakiś sposób nasza podróż jest jednoczesna – na pokładzie

równoległych pociągów historii, które wiozą nas ku katastrofie.

Hitlerowi udało się zatruć dusze Niemców, a teraz Putin zrobił to samo moim rodakom. W 1940 r. Tomasz Mann określił niemieckie zwycięstwa „krokiem w grzęzawisko bez końca”. Rosja obrała niemal identyczną ścieżkę – wprost ku otchłani. Jawnie rasistowska propaganda na modłę goebbelsowskiej. „Russkij mir” w miejsce Tysiącletniej Rzeszy. Krym zamiast Kraju Sudetów. Nienawiść do Ukraińców jak nienawiść do Żydów. Putin w roli Führera: „Bez Putina nie ma Rosji!”.

„Cierpię na Niemcy” – tak Mann zatytułował swoje dzienniki. W latach 30. XX wieku opublikował wiele tekstów, w których ostrzegał przed zagrożeniami, jakie niósł ze sobą reżim Hitlera. Jego rodacy pozostali jednak głusi na te ostrzeżenia.

„Cierpię na Rosję” – tak z kolei mógłby brzmieć tytuł niezliczonych pism rosyjskich autorów publikowanych na przestrzeni lat w opozycyjnych mediach. Pisarze ci przestrzegali przed rodzajem się w Rosji faszystowskim reżimem. W odpowie-

dzi z ust moich rodaków usłyszeli jedynie radosne okrzyki: „Krym nasz!”.

Wezwania do bojkotu igrzysk olimpijskich zlekceważono zarówno w 1936, jak i w 2014 r. Reprezentacje niemal 50 krajów przyjechały do Berlina, mimo że ustawy norymberskie uchwalono już rok wcześniej. Moment triumfu niemieckiego sportu Hitler wykorzystał na własny użytek. Putin natomiast przypisał sobie zasługi za godzinę triumfu sportu rosyjskiego. Miał zresztą prawo to zrobić, ponieważ to właśnie on wydał rozkaz rozpoczęcia operacji specjalnej, w której ramach agenci wywiadu podmieniali próbki moczu sportowców naszprycowanych środkami dopingującymi.

Tomaszowi Mannowi nie udało się wyrwać zmienionych w zombie Niemców z letargu. Musiał wyemigrować. Teraz jest podobnie: kultura rosyjska żyje tylko na wygnaniu. Ludzie, którzy zostali w Rosji, mają do wyboru śpiewanie patriotycznych pieśni albo milczenie.

„Czy kultura może istnieć bez swojego, skażonego faszyzmem, terytorium?” – pytał Mann, by wkrót-



• **9 maja, parada w Moskwie z okazji Dnia Zwycięstwa**

FOT. ALEXANDER ZEM-LIANICHENKO/AP

ce samemu odpowiedzieć. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych podczas wywiadu wyznał: „Gdzie ja jestem, tam są Niemcy. Kulturę niemiecką noszę w sobie”.

Na przykładzie Niemiec Mann mówi nam, dlaczego kultury nie można pogodzić z reżimem Putina: „W moim pojęciu te książki, które w latach 1933-45 mogły się w ogóle ukazać drukiem w Niemczech, są bardziej niż bezwartościowe i nie zasługują, by je wziąć do ręki. Przyłgnęła do nich woń krwi i hańby; powinno się je wszystkie oddać na przemiał. Nie wolno było, nie było można uprawiać w Niemczech »kultury«, podczas gdy wokół działy się sprawy, o których wiemy. Oznaczałoby to upiększanie degradacji, zdobienie bandytyzmu” („Dlaczego nie wracam do Niemiec?”, 1945, przeł. Wojciech Kunicki).

Wszystkie dyktatury wykorzystują kulturę do „upiększania” swoich zbrodni.

By trwać, każda dyktatura potrzebuje wrogów i wojen. W liście do dziekana uniwersytetu w Bonn

(z 1936 r.) Tomasz Mann opisuje reżim nie tylko hitlerowski, ale także putinowski:

„Sensem i celem narodowosocjalistycznego systemu państwowego może być tylko jedno: przygotować naród niemiecki do »przyszłej wojny« przy bezwzględnym wykluczeniu, zdławieniu, wytipieniu wszelkich odruchów, które mogłyby się temu sprzeciwić” (przeł. Wojciech Kunicki).

W okresie przedwojennym powodem cierpienia Manna były nie tylko Niemcy, ale też – w równym stopniu – tolerancja Zachodu wobec Hitlera oraz polityka appeasementu. Inwazja na Ukrainę z kolei nie byłaby możliwa bez podejmowanych przez lata wysiłków apologetów Putina z krajów demokratycznych. Zachodni politycy zignorowali desperackie wezwania rosyjskich pisarzy do bojkotu piłkarskiego mundialu w 2018 r.

Wojna w Ukrainie trwała wtedy już cztery lata, pochłonęła tysiące istnień, ale nie powstrzymało to żadnego państwa przed wysłaniem swoich reprezentantów do Rosji, by grali w piłkę przed siedzącym na trybunach Putinem. Dyktator odebrał to jako milczące przyzwolenie na agresję, które otworzyło drogę ku napaści 24 lutego 2022 r.

Rosyjska kultura jest unieważniana za granicą tak jak niegdyś kultura niemiecka. Gdy amerykańscy studenci odmówili zgłębiania kultury i języka kraju, który wydał z siebie nieludzką ideologię i rozpętał wojnę światową, Tomasz Mann stwierdził, że odrzucenie reżimu politycznego nie powinno przekładać się na niemiecką kulturę. Ta bowiem nie ma z nim nic wspólnego. To było w 1938 r.

Pisarz zmienił zdanie, gdy na światło dzienne wyszły nazistowskie zbrodnie. Jego zdaniem Hitler mógł uwieść niemieckie społeczeństwo, a następnie zadać mu gwałt na podwalinach położonych przez niemiecką kulturę i historię, przez niemiecki romantyzm: „Opadłszy na żaloszny poziom masowości, na poziom takiego Hitlera, romantyzm niemiecki eksplodował historycznym barbarzyństwem, upojeniem, skurczem wyniosłości i przestępstwem, który teraz w narodowej katastrofie, w psychicznym i fizycznym załamaniu, które nie mają sobie równych, koniec swój znajduje” („Niemcy i naród niemiecki”, 1945, przeł. Wojciech Kunicki).

Teraz my, Rosjanie, musimy poddać naszą klasyczną kulturę ponownej ocenie i odczytać naszą literaturę na nowo przez pryzmat wojny w Ukrainie. To będzie ważne doświadczenie, bo nigdy jeszcze nie patrzyliśmy na naszych klasyków z takiej perspektywy. Nie docierały do nas imperialistyczne nuty wybrzmiewające w wielkich rosyjskich powieściach.

Daliśmy się uwieść słynnym łzom dziecka w „Braciach Karamazow”, za nieistotne uznając fanatyczne wezwania Dostojewskiego do krucjaty przeciwko Zachodowi, jego nienawiść do wszystkich nie-Słowian, a także szczególną nienawiść do Słowian, którzy „zdradzili” Rosję. Nie traktowaliśmy poważnie naiwnych wynurzeń Tolstoja o prawdzie, której nośnikami mieli być analfabeci i rosyjskie chłopstwo, ale nie edukacja i kultura czy społeczne oraz techniczne zdobycze zachodniej cywilizacji.

A jednak to właśnie kultura jest naszą jedyną bronią przeciwko barbarzyństwu. W powieści „Lotta w Weimarze” Mann czyni Goethego swym port-parole i mówi o narodzie, który uległ degeneracji ku barbarzyństwu:

„Nie cierpią mnie – dobrze, ja ich też nie cierpię i jesteśmy kwita ze sobą. Ja dla siebie mam swoją niemieckość – niechże ich diabeł porwie razem z ich złośliwym filisterstwem, które nazywają mianem niemieckości. Zdaje się im, że Niemcy to oni, ale Niemcy to ja i choćby one do gruntu przepadły, trwałyby nadal we mnie” (przeł. Feliks Konopka).

Niemcy przepadły na oczach autora, zrujnowane przez Hitlera i jego wojnę. Teraz Rosja ginie na naszych oczach. Wtedy chodziło o ocalenie niemieckiej kultury, teraz stawką jest przetrwanie kultury rosyjskiej.

Mann każe Goethemu zdefiniować własną niemieckość: „niemieckość to wolność, kultura, wszechstronność i miłość – a że oni tego nie widzą, to rzeczy nie zmienia. Tragedia między mną a tym narodem?”.

To także definicja mojej rosyjskości: wolność, kultura, wszechstronność oraz miłość – nie mają one nic wspólnego ani z Niemcami, ani z Rosją, lecz składają się na nasze wspólne człowieczeństwo, które wykracza poza narodowe granice i tworzy globalną kulturę kształtującą nasze intelektualne współistnienie na ziemi.

Czy jednak symfonie i poematy są odpowiedzią na bomby i więzienia? Najwspanialsze literackie dzieła ludzkości mówią nie o nienawiści, lecz o miłości. Czy kultura w bitwie z barbarzyństwem skazana jest na klęskę?

Tomasz Mann odpowiada na to pytanie jednoznacznie: nie! Kultura, demokracja i cywilizacja muszą umieć się obronić: „Europa przetrwa tylko, jeśli humanizm odkryje w sobie męstwo, jeśli nauczymy się stawiać opór i działać, rozumiejąc, że wolność nie może równać się dawaniu wolnej ręki tym, którzy pragną ją zniszczyć” („Humaniora und Humanismus”, 1936).

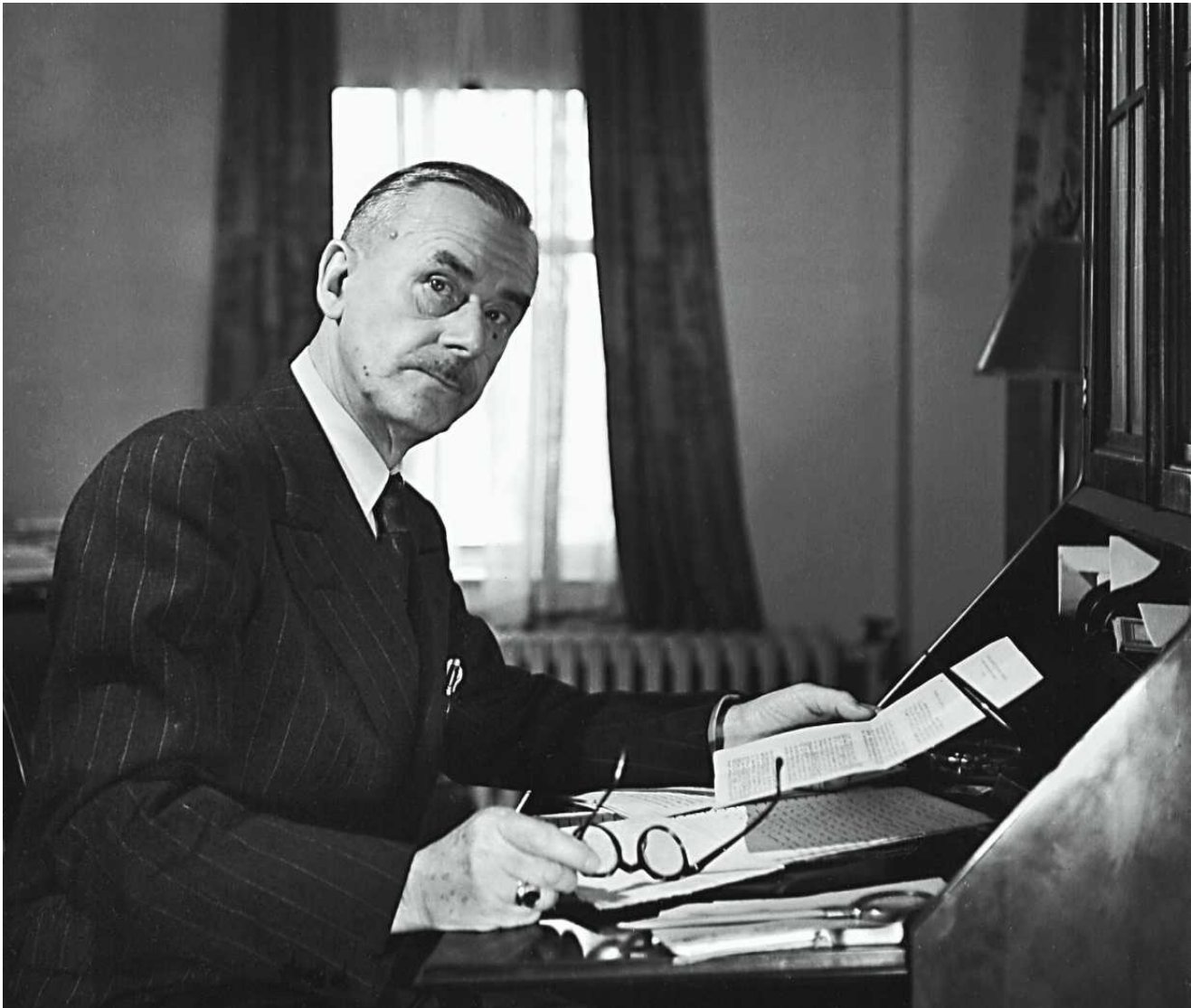
Tylko „humanizm walczący” może ocalić światową kulturę. Barbarzyństwo trzeba pokonać siłą, w wojnie. To być może najważniejsze przesłanie Manna skierowane do nas, Rosjan: jeśli kochamy nasz kraj, musimy życzyć mu dotkliwej porażki w niesprawiedliwej wojnie, którą sam rozpętał.

Tomasz Mann toczył swoją własną bitwę na falach radiowych w audycjach skierowanych do rodaków i zatytułowanych „Niemieccy słuchaczeli”. We wczesnych przemówieniach wyrażał nadzieję, że jego naród, prowadzony na manowce przez nazistów, opamięta się i powstanie przeciwko dyktaturze Hitlera. Żył naiwne przekonanie, że Niemcy tak samo jak on pragną klęski Hitlera. „Piekło nastąpi dla was, Niemcy, kiedy nastąpi ci przywódca. Do piekła z nimi i ich kompanią! Wtedy, wciąż jeszcze, może nadejść dla was ocalenie, może nadejść pokój i wolność” (listopad 1941, przeł. Małgorzata Łukasiewicz).

Jego wiara w istnienie sił dobra w niemieckim społeczeństwie wkrótce się załamała. W obliczu straszliwych zbrodni popełnianych przez reżim i niewzruszonego milczenia społeczeństwa Mann podniósł kwestię zbiorowej winy Niemców:

„Nie istnieją dwa narody niemieckie, dobry i zły, ale tylko jeden, którego najlepsze cechy za sprawą diabelskiego podstępów obróciły się w zło. Złe Niemcy to dobre Niemcy, które obrały błędną drogę, dobre w nieszczęściu, w winie i upadku. Dlatego umysł związany miejscem narodzin z Niemcami nie jest w stanie całkowicie wyprzeć się złych, obciążonych

Nie traktowaliśmy poważnie naiwnych wynurzeń Tolstoja o prawdzie, której nośnikami mieli być analfabeci i rosyjskie chłopstwo, ale nie edukacja i kultura czy społeczne i techniczne zdobycze Zachodu



winą Niemiec i zadeklarować: »Ucieleśniam dobre, szlachetne, sprawiedliwe Niemcy w białej szacie, złe wam oddaję, abyście je wytępili« („Niemcy i naród niemiecki”).

Zła Rosja Putina to dobra Rosja na manowcach, pechowa, zrujnowana i pełna winy. Jak to możliwe, że miliony rosyjskich kobiet i mężczyzn popiera zbrodnie własnego państwa i posłusznie rusza na wojnę, by zabijać Ukraińców? Gdzie przebiega granica między złym rosyjskim państwem a jego dobrymi obywatelami?

Czy Niemcy w ogóle słuchali Tomasza Mana, czy może jego audycje były jedynie desperackimi nawoływaniami skierowanymi w próżnię? Wielokrotnie mówił o pogromach Żydów, które miały miejsce wszędzie tam, gdzie pojawiły się niemieckie wojska – we Francji, w Austrii i w Polsce. „Według informacji polskiego rządu na emigracji gestapo już wymordowało albo zadreńczyło na śmierć ogółem siedemset tysięcy Żydów. (...) Wiecie o tym, Niemcy?” (27 września 1942). W 1945 r. odpowiedź brzmiała: „Nie wiedzieliśmy”.

Przypuszczam, że podczas wojny większość Niemców uważała Manna za zdrajcę, tak jak teraz Rosjanie widzą zdrajców w swoich proukraińskich pisarzach przebywających na emigracji. Książki i artykuły opublikowane w internecie przeze mnie oraz innych autorów krytycznych wobec reżimu nie dotarły do szerokiego grona rosyjskich czytelników, którzy podążają za swoim przywódcą wprost ku otchłani. Czy Tomasz Mann, posądzany przez swych rodaków o „zdradę”, również otrzymywał od nich groźby śmierci?

Latami wygłaszał w radiu przemówienia, nie wiedząc, czy ktokolwiek go słyszy. Jego słowa były przekleństwem dla „niemieckich słuchaczy”. Tzw. przestępcy radiowi podlegali surowym represjom i karom, a niektórzy z nich – również karze śmierci. Dla samego Manna te audycje stanowiły klucz do własnego przetrwania. To one były jego orężem w walce przeciwko Hitlerowi, to za ich pomocą brał w obronę niemiecką kulturę i język. „Przetrwanie oznacza zwycięstwo. Decydując się żyć, walczyłem z tymi bluźniercami człowieczeństwa, wyszydzając ich i przeklinając. Zatem jest to także moje osobiste zwycięstwo” („Historia powieści”, 1949).

Pisarz bronił swoich Niemiec i swoich niemieckich wartości: wolności, kultury, wszechstronności i miłości. Dał nam przykład tego, że pisarze, nawet odcięci od czytelników, zdradzeni i okryci niesławą we własnym kraju, nie powinni rezygnować z walki. Musimy teraz bronić naszego języka rosyjskiego przed Putinem i zbrodniarzami wojennymi, tak jak Tomasz

Mann bronił swojej mowy – osamotnieni, jako „zdracy” własnego kraju, przeciwko własnemu narodowi.

28 marca 1942 r. alianckie bomby, w rewanżu za zniszczenie Coventry, zrównały z ziemią Lubekę, rodzinne miasto Manna. W ogniu zginęły setki ofiar, a dom Buddenbrooków obrócił się w gruzy. Mann z trudem wypowiedział następujące słowa: „Myślę (...) o Coventry i nie mam nic do zarzucenia doktrynie, że za wszystko trzeba zapłacić” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Czy zamordowane niemieckie dzieci także ponoszą zbiorową odpowiedzialność? Czy musiały zapłacić własną krwią za krew dzieci angielskich?

Tomasz Mann z furii apeluje o bombardowanie niemieckich miast. „Dwa tysiące podniebnych gigantów każdego dnia nad tym bagnem kłamstw – nie ma innego sposobu. Trzeba położyć kres tej bezprzykładnej hańbie, temu odrażającemu, ohyd-nemu oszustwu, temu gwałtowi zadanemu słowu i idei, tej niezmiernie żądz mordu na prawdzie. Trzeba zniszczyć to wszystko za wszelką cenę i wszelkimi środkami” (28 marca 1944).

Mój ukraiński przyjaciel mówi: „Jeśli za każdą rakietę, która spadnie na Charków lub Kijów, inna rakietka uderzy w Moskwę lub Petersburg, wojna skończy się szybciej. To jedyna droga do pokoju”. Czy rosyjskie dzieci muszą teraz zapłacić własną krwią za krew dzieci ukraińskich?

Michaił Szyszkin

• ur. w 1961 r. znany pisarz rosyjski, od 1995 r. żyjący w Szwajcarii. Po polsku ukazały się jego powieści „Włot Wenery” i „Nie dochodzą tylko listy nienapisane”.

W 2013 r. odmówił uczestnictwa w delegacji pisarzy rosyjskich na międzynarodowe targi książki w USA, motywując to niechęcią reprezentowania reżimu Putina. W kolejnych latach apelował do społeczności Zachodu m.in. o bojkot olimpiady w Soczi, a także innych masowych imprez organizowanych przez Rosję. W tym roku ukazał się po angielsku jego zbiór esejów „My Russia. War or Peace?”, w których pisze o postawach Rosjan.

Artykuł Szyszkina ukazał się pierwotnie we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 10 stycznia 2023 r. Tutaj przedruk za miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Śląsk” nr 6/2023.

• **1943. To-masz Mann na wychodźstwie w Ameryce**

FOT. FRED STEIN/AP

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mieczysław Jastrun*

Dziady

*Powracają z pooranym czołem,
Z wyplutymi na gwiazdy zębami.
Szyje zgięte Polarnym Kołem,
W oczach mroźnej pustyni firmament.*

*Niby dziadom, białym wołopasom,
Długie rosną im brody śniegowe.
Tak rozeszli się ze swoim czasem,
Że stracili dawny wzrok i mowę.*

*Proszą tylko o chleb i o wódkę.
Zaszywają się w kąty mieszkania.
Słychać gulgot i dziąseł mlaskania.
Tak, historia długa, życie krótkie.*

***Mieczysław Jastrun** – 1903-83, poeta, eseista, prozaik, tłumacz. Autor licznych zbiorów wierszy, esejów filozoficzno-kulturowych i literackich oraz przekładów poezji francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Wiersz za jego rozrachunkowym tomem „Gorący popiół”, PIW, Warszawa 1956.

Tomasz Mann daje odpowiedzi, ale są to jego odpowiedzi na moje pytania. Czy emigrant żyjący daleko od wojennej pożogi ma jakiekolwiek moralne prawo, by ogłaszać, że cały naród ponosi zbiorową winę? Czy rosyjskie miasta również muszą zginąć, strawione „ogniem piekielnym”, jeśli taka właśnie jest cena pokoju? Jeśli mówimy, że za wszystko trzeba zapłacić, zgadzamy się, by dzieci, które dziś się śmieją, wkrótce poniosły zbiorową winę. Czy chcę wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

„Znajdzie się więcej ludzi z Lubeki, Hamburga, Kolonii i Dusseldorfu, którzy też nie wnoszą zarzutów i słysząc huk bombowców Royal Air Force nad głowami, życzą im powodzenia” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Czy moi rodacy będą w stanie życzyć powodzenia ukraińskim rakietom?

Tomasz Mann wierzył w przyszłość swojego kraju. „Łaska jest silniejsza niż wszelki cyrograf. Wierzę w nią i wierzę w przyszłość Niemiec, niezależnie od tego, jak rozpaczliwie wygląda ich teraźniejszość, jak beznadziejne jawi się zniszczenie. Przestańmy wreszcie mówić o końcu niemieckiej historii! Niemcy nie są tożsame z krótkim i mrocznym epizodem dziejów, który nosi nazwisko Hitlera” („Dlaczego nie wracam do Niemiec?”).

Mann upatrywał szansę w zniszczeniu państwa, które stało się narzędziem tyranii: „Goethe posuwał się – choć tylko w rozmowie – tak daleko, że życzył sobie niemieckiej diaspory. »Niemców – powiedział – rozproszyć należy po całym świecie jak Żydów!«. I dodawał: »aby rozwinęły tę masę dobra, jaka w nich tkwi, ku zbawieniu narodów«. Masa dobra – ona istnieje, nie mogąc się spełnić w tradycyjnej formie państwa narodowego” („Niemcy i naród niemiecki”).

Tomasz Mann miał prawo wierzyć w demokratyczną przyszłość Niemiec, bo właśnie taki jej kształt zagwarantowali alianci po zniszczeniu nazistowskiego reżimu. Jak wyglądałaby przyszłość Niemiec, gdyby gestapo pozostało przy władzy? Jaka będzie przyszłość mojego kraju? Kto zadba o demokratyczną przyszłość Rosji? Kto przeprowadzi deputinizację? Kolejny Putin? Kto zorganizuje „procesy norymberskie” przeciwko zbrodniarzom wojennym? Sami zbrodniarze wojenni? Czy wierzę w demokratyczną przyszłość dla Rosji?

Tomasz Mann swoją ostatnią audycję radiową, 10 maja 1945 r., zakończył następującymi słowami: „Mimo wszystko to wielka godzina, powrót Niemiec do człowieczeństwa” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz). Czy wielka chwila powrotu Rosji do człowieczeństwa kiedyś nadejdzie? ●

przeł. **Maciej Skrzypecki**



Raport: Ukraina, Unia Europejska, ekologia

WOJNA PUTINA TRUJE EUROPE

Alicja Gadomska, Danuta Pawłowska
infografika Katarzyna Korzeniowska

misje CO₂ i jego ekwiwalentów nie znają granic. Nie znają ich też zanieczyszczenia rozprzestrzeniające się do mórz. Inwazja Rosji na Ukrainę zmusiła państwa Unii do przyspieszenia planów związanych z odchodzeniem od paliw kopalnych. Ale konsekwencje tej wojny będziemy odczuwać jeszcze długo po jej zakończeniu.

Podczas wojen transporty ropy i infrastruktura związana z jej przechowywaniem są jednym z głównych celów ataków, jej wycieki i pożary są bardzo istotnym źródłem emisji gazów cieplarnianych. „Szacuje się, że pożary ropy naftowej podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r. przyczyniły się do ponad 2 proc. globalnej emisji CO₂ z paliw kopalnych danego roku, co miało odległe i długotrwałe konsekwencje” – czytamy w opracowaniu brytyjskiej organizacji Obserwatorium Konfliktów i Środowiska (CEOBS). Jedną z nich było osadzanie się sadzy i przyspieszenie topnienia tybetańskich lodowców. Duże ilości dwutlenku węgla uwalniane są do atmosfery także z płonących w wyniku ostrzałów lasów, trzcinowisk i torfowisk oraz w wyniku wzmożonego ruchu związanego z transportem uchodźców czy pomocy humanitarnej.

Z wyraźnym wzrostem emisji gazów cieplarnianych wiąże się też trwający konflikt w Ukrainie. Za jedną czwartą związanych z wojną emisji według raportu odpowiadają pożary, których dynamikę można na bieżąco i z dużą dokładnością obserwować za pomocą zdjęć satelitarnych, które wskazują obszary o bardzo wysokiej temperaturze.

Podczas wojny w Ukrainie największą emisję z pożarów stwierdzono na wschodzie kraju, w strefie najbardziej intensywnych działań wojennych. Ogień trawił tu zwłaszcza gospodarstwa i lasy. W sumie podczas pierwszych siedmiu miesięcy wojny w ogniu stało blisko 0,5 mln hektarów ukraińskich ziem. To prawie 40-krotnie większa powierzchnia niż rok wcześniej w analogicznym okresie.

Jak szacowali w listopadzie autorzy raportu Climate Damage Caused by Russia’s War in Ukraine, przeprowadzone do wte-

dy działania wojenne i z wojną związane były w sumie źródłem blisko 100 mln ton gazów cieplarnianych (CO₂ i ekwiwalentów). To ilość gazów odpowiadająca całkowitej rocznej emisji Holandii.

Za blisko połowę tej emisji odpowiada konieczna rekonstrukcja zniszczonej infrastruktury, głównie mieszkaniowej. W części miejscowości sprzątanie i prace budowlane rozpoczęły się bowiem niemal zaraz po wycofaniu się okupantów. Dramatycznie doświadczona ubiegłej wiosny Bucza do dziś zmienia się nie do poznania – w mieście położono nowe chodniki, naprawiono ulice, zamontowano oświetlenie, trwają prace nad rekonstrukcją budynków i ulic. W kraju odbudowano też wiele dróg i mostów. Jak tłumaczyła wiceminister infrastruktury Oleksandra Azarkhina, jest to konieczne w pierwszej kolejności, „aby zapobiec kryzysowi humanitarnemu w kraju, a po drugie, aby zapobiec globalnemu kryzysowi żywnościowemu. Przywrócenie głównych szlaków transportowych ma również kluczowe znaczenie dla dalszego zaopatrywania naszych linii frontu. Czy jesteśmy świadomi, że to, co odbudowaliśmy, może zostać ponownie zniszczone? Tak, ale jest to ryzyko, które musimy podjąć. I szczerze mówiąc, odbudowa jest również częścią naszego oporu”.

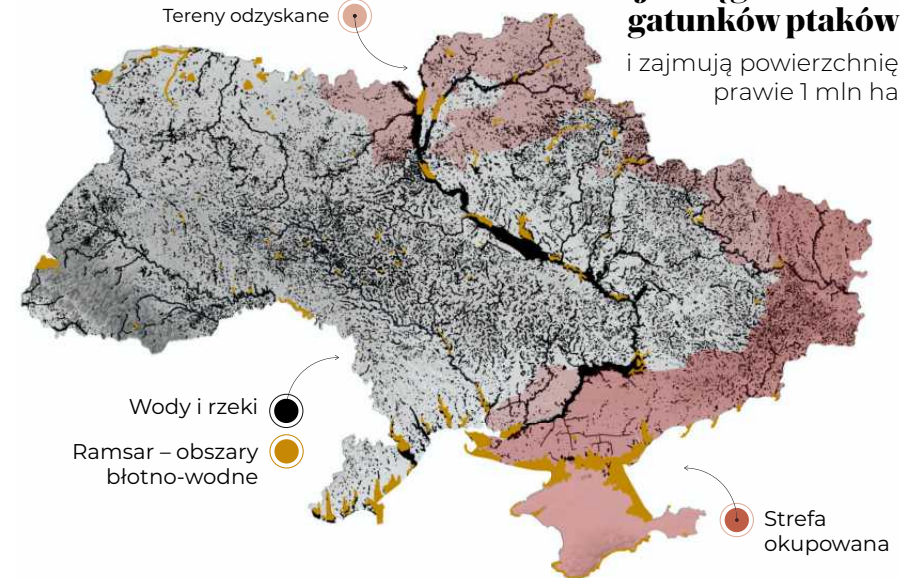
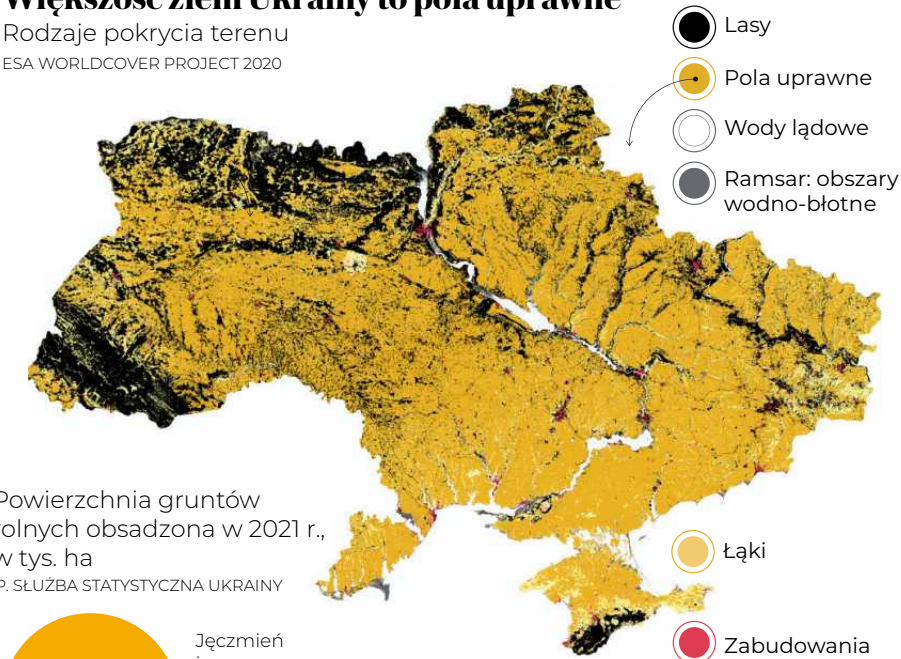
To dopiero początek. Choć wiele prac zostało już zakończonych, to jednak większość działań budowlanych w Ukrainie zacznie się dopiero wraz z końcem wojny. Nadal jednak ich koszt i wymagania energetyczne są możliwe do oszacowania już dziś. Są niezbędne, będą w nich zapewne pomagać europejskie firmy, ale nie pozostaną bez wpływu na klimat.

Tym mieszkańcom Europy, którzy nie potrafią sobie wyobrazić skutków wojny w dalekiej Ukrainie, może być łatwiej, kiedy przypomną sobie kolejne ważne źródło emisji tuż pod ich nosem – wycieki metanu po ataku nieustalonych wciąż ze 100-proc. pewnością sprawców na gazociąg Nord Stream 1 i 2 na Bałtyku. Wybuchy w pobliżu wybrzeży Danii i Szwecji spowodowały uwolnienie się ok. 300 tys. ton gazu. Emisja tak dużej jego ilości może mieć efekt porównywalny do jednej trzeciej efektu rocznej emisji CO₂ przez Danię.

Wycieki z gazociągu zostały zarejestrowane m.in. przez satelity. „30 wrze-

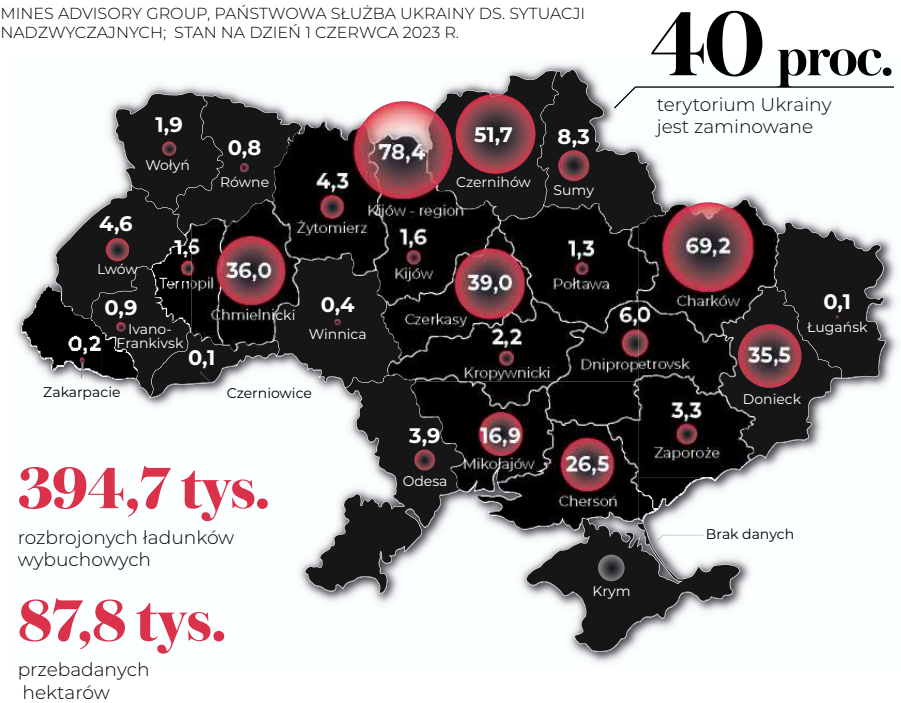
Większość ziem Ukrainy to pola uprawne

Rodzaje pokrycia terenu
ESA WORLDCOVER PROJECT 2020



Rozminowanie Ukrainy może zająć około 30 lat

MINES ADVISORY GROUP, PAŃSTWOWA SŁUŻBA UKRAINY DS. SYTUACJI NADZWYCZAJNYCH; STAN NA DZIEŃ 1 CZERWCA 2023 R.



O G Ł O S Z E N I E

Ukraińcy w Unii

pod tym hasłem opowiadamy o Ukrainie w Unii Europejskiej

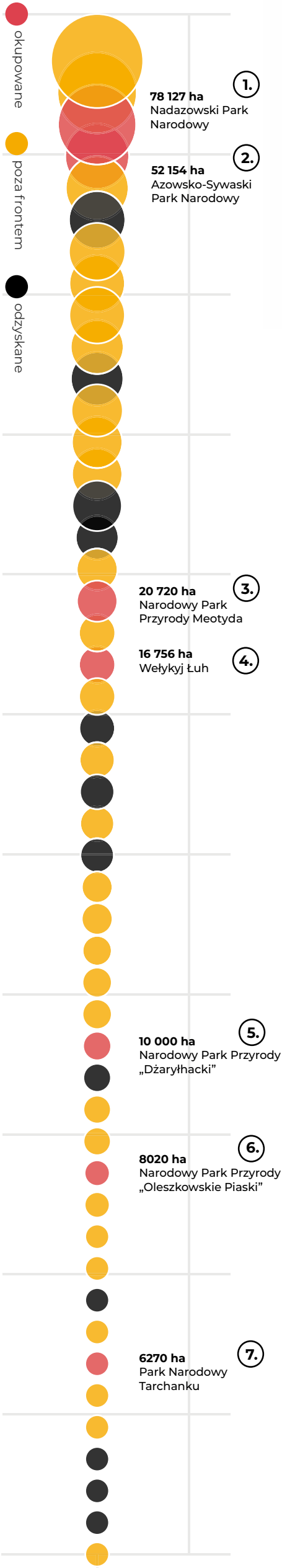
wyborcza.pl PARTNER: European Parliament

Projekt realizowany we współpracy z Parlamentem Europejskim

Powierzchnie parków narodowych

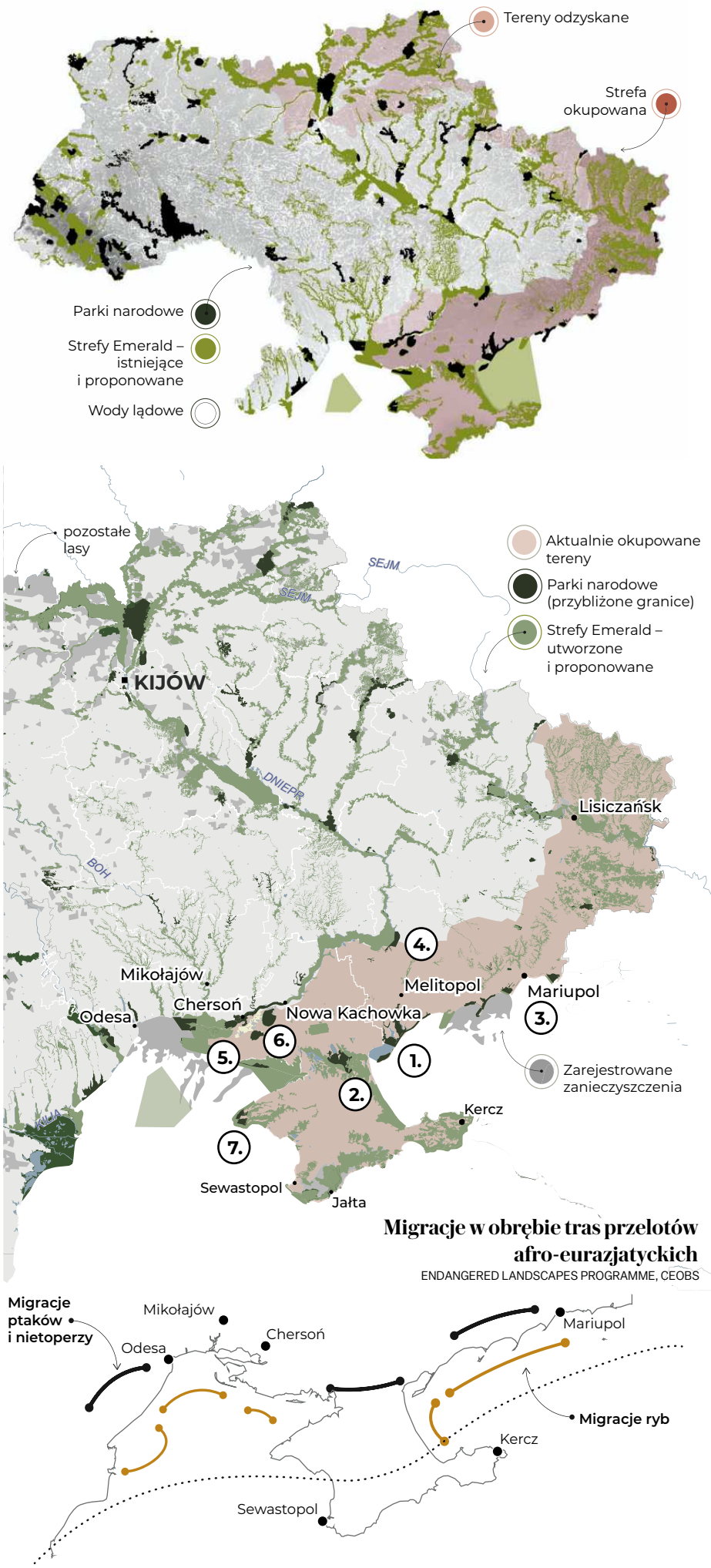
W hektarach

WIKIPEDIA ZA OFICJALNYM PORTALEM INTERNETOWYM PARLAMENTU UKRAINY



Parki narodowe i strefy Emerald

DANE OD UKRAINIAN CONSERVATION GROUP



śnia 2022 r. o godzinie 6.28 czasu EDT (10.28 UTC) satelita GHGSat o wysokiej rozdzielczości zmierzył największą jak dotąd emisję wykrytą przez konstelację firmy pochodzącą z wycieku Nord Streamu 2 na Morzu Bałtyckim w tempie 79 000 kg/godz. Jest to znaczna emisja odpowiadająca spaleniowi ponad 2 milionów funtów węgla (0,9 miliona kg) w ciągu godziny – poinformował portal GHGSat.

Jeśli chodzi o same działania wojenne, szacuje się, że do listopada wiązały się z emisją ok. 9 mln ton gazów cieplarnianych. Złożyły się na to ogromne ilości paliw zużywane przez lotnictwo, pojazdy bojowe, a także gazy powstające podczas produkcji amunicji. To też, jak wymieniają autorzy raportu Climate Damage

Caused by Russia's War in Ukraine, „emisje związane z przemieszczaniem się pojazdów z ich stałych baz do stacji kolejowych i ze stacji kolejowych do baz tymczasowych, emisje związane z działaniami szkoleniowymi, emisje związane z zapatrzeniem i utrzymaniem tymczasowych baz, przemieszczaniem się wojsk i sprzętu koleją oraz relokacją okrętów marynarki wojennej”.

Powstałe podczas wojny zanieczyszczenia to też gazy emitowane podczas wzmożonego transportu uciekającej ludności – w pierwszym etapie podróży samochodowego, kolejowego czy autobusowego, a dalej często lotniczego. Duży ruch generowała także potrzeba dostarczania do Ukrainy pomocy humanitarnej i medycznej. W sumie emisje związane

z tego typu działalnością i ucieczką ludności odpowiadają za kilka procent całkowitej towarzyszącej wojnie emisji.

Wraz z rozpoczęciem wojny 24 lutego 2022 r. Ukraina zamknęła swoją przestrzeń powietrzną dla samolotów cywilnych. Uchodźcy uciekali drogą lądową do sąsiednich krajów, a stamtąd często dalej samolotami. Rezerwacja lotów na Węgrzech, w Polsce i Rumunii w pierwszym miesiącu wojny wzrosła o 10-20 proc.

Jednak skutki wojny znacznie wykraczają poza podróże lotnicze do i z Ukrainy i nie kończą się na pierwszych miesiącach wojny. Zamknięcie przestrzeni powietrznej z powodu działań wojskowych i sankcji wojennych zmusiło linie lotnicze do poszukiwania alternatywnych tras. Przestrzeń powietrzna Rosji jest obecnie niedostępna dla przewoźników z 36 krajów, a loty, które wcześniej były nad jej terytorium, muszą się odbywać objazdami.

Na przykład loty między Helsinkami a Tokio oferowane przez Finnair trwają teraz nawet o 3,5 godziny dłużej, w wyniku czego emitują o 40 proc. więcej CO₂. Loty między Hongkongiem a Londynem, najbardziej ruchliwą trasą łączącą Azję i Europę, trwają teraz o 1,5 godziny dłużej i emitują o 12 proc. więcej CO₂.

Eksperti z International Transport Forum wyliczyli, że dodatkowe emisje CO₂ z samolotów spowodowane zamknięciem przestrzeni powietrznej stanowią około 10 proc. całkowitej emisji samolotów na trasach Europa – Azja.

Podobnie jak granice powietrze, również granice morskie nie zatrzymują zanieczyszczeń. Ukraina ma ponad 2,5 tys. km linii brzegowej ciągnącej się wzdłuż basenów Morza Czarnego i Azowskiego. W związku z uszkodzeniami infrastruktury, brakiem zasilania, atakami na zakłady przemysłowe, do wód rzecznych, a potem do mórz dostało się wiele wymywanych przez wody toksycznych związków pochodzących m.in. z resztek amunicji, a także znaczne ilości nieprzefiltrowanych ścieków.

Po II wojnie światowej w samej niemieckiej części Bałtyku i Morza Północnego zalega na dnie ponad 1,6 mln ton amunicji, która rdzewieje, uwalniając do wody toksyczne chemikalia. Trafiają one do organizmów ryb, innych organizmów, ptaków morskich i często także ludzi. Podobny problem dotykać będzie teraz Morze Czarne i Azowskie.

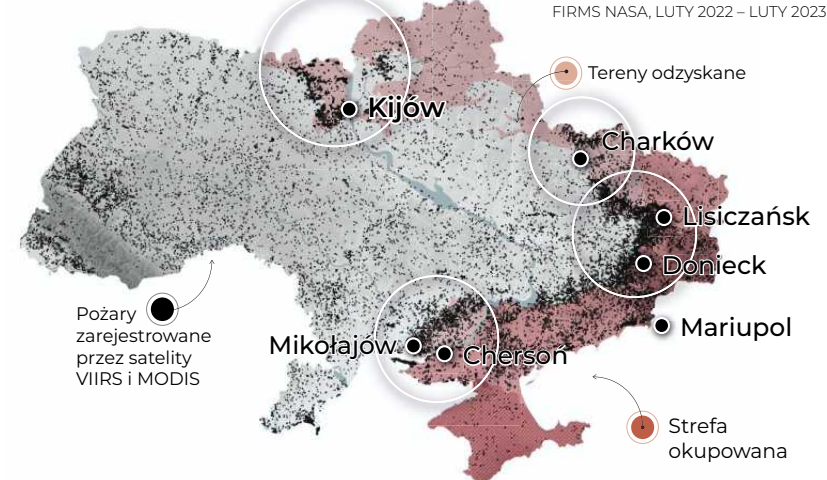
Już teraz zagrożenie stanowią dryfujące po akwenach miny, które urywają się z cum podczas sztormów czy w wyniku ich korozji. Tylko do września 2022 r. w zachodniej części Morza Czarnego zniszczono 28 min. Te niewychwycone wcześniej eksplodowały m.in. na plaży w Batumi w Gruzji, przy falochronach w Turcji czy na wodach Rumunii. Eksplodujące miny kaleczą zwierzęta morskie, wprowadzają do wody toksyczne substancje. Z uwagi na zagrożenie minami w ubiegłym roku wzdłuż części tureckiego wybrzeża rybakom zabroniono nocnych połowów.

Szukając jakiegokolwiek optymistycznego dla Europy efektu sytuacji wywołanej przez inwazję wojsk Putina, można wymienić chyba tylko stopniowe odchodzenie od kopalnych paliw importowanych z Rosji. Wojna przyspieszyła i wymusiła zmiany w naszym miksie energetycznym. W ubiegłym roku w Europie zarówno energia wiatrowa, jak i słoneczna dostarczyły więcej energii elektrycznej niż jakiegokolwiek inne źródło energii.

To pozwoliło nam przetrwać kryzys spowodowany ograniczeniami w dostawach rosyjskiego gazu, spadkiem energii wodnej spowodowanym suszą i nieoczekiwanymi przerwami w dostawach energii jądrowej.

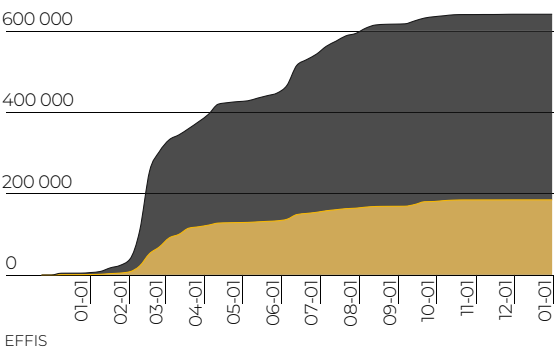
Ogień trawi Ukrainę

FIRMS NASA, LUTY 2022 – LUTY 2023



Skumulowana pow. obszarów płonących w kolejnych tygodniach roku

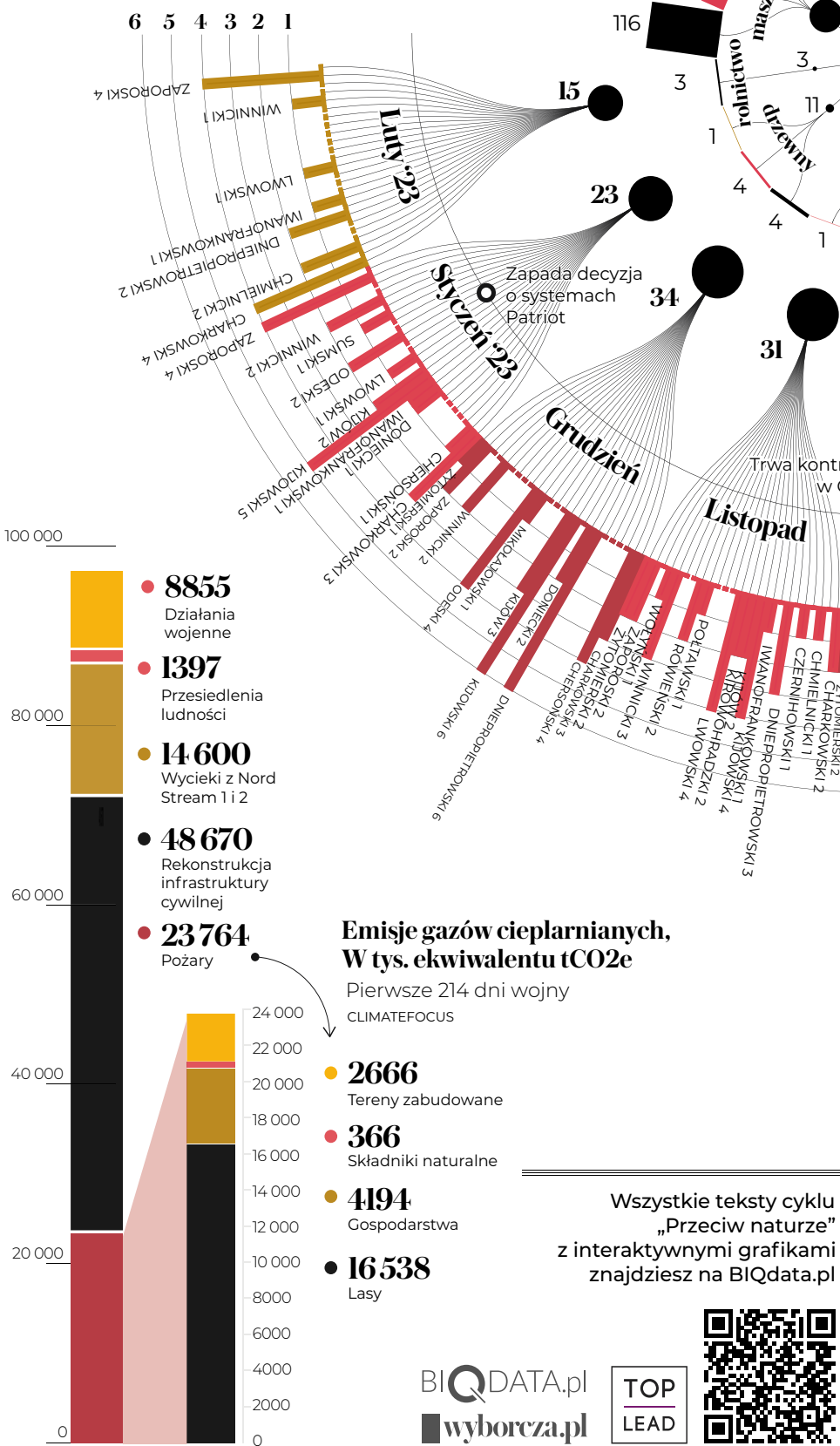
Średnia dla lat 2019-22 Dane dla roku 2022



Ataki na infrastrukturę przemysłową

STATISTA

- Zniszczenie infrastruktury
- Zakłócenia w pracy
- Braki w zasilaniu
- Demontaż



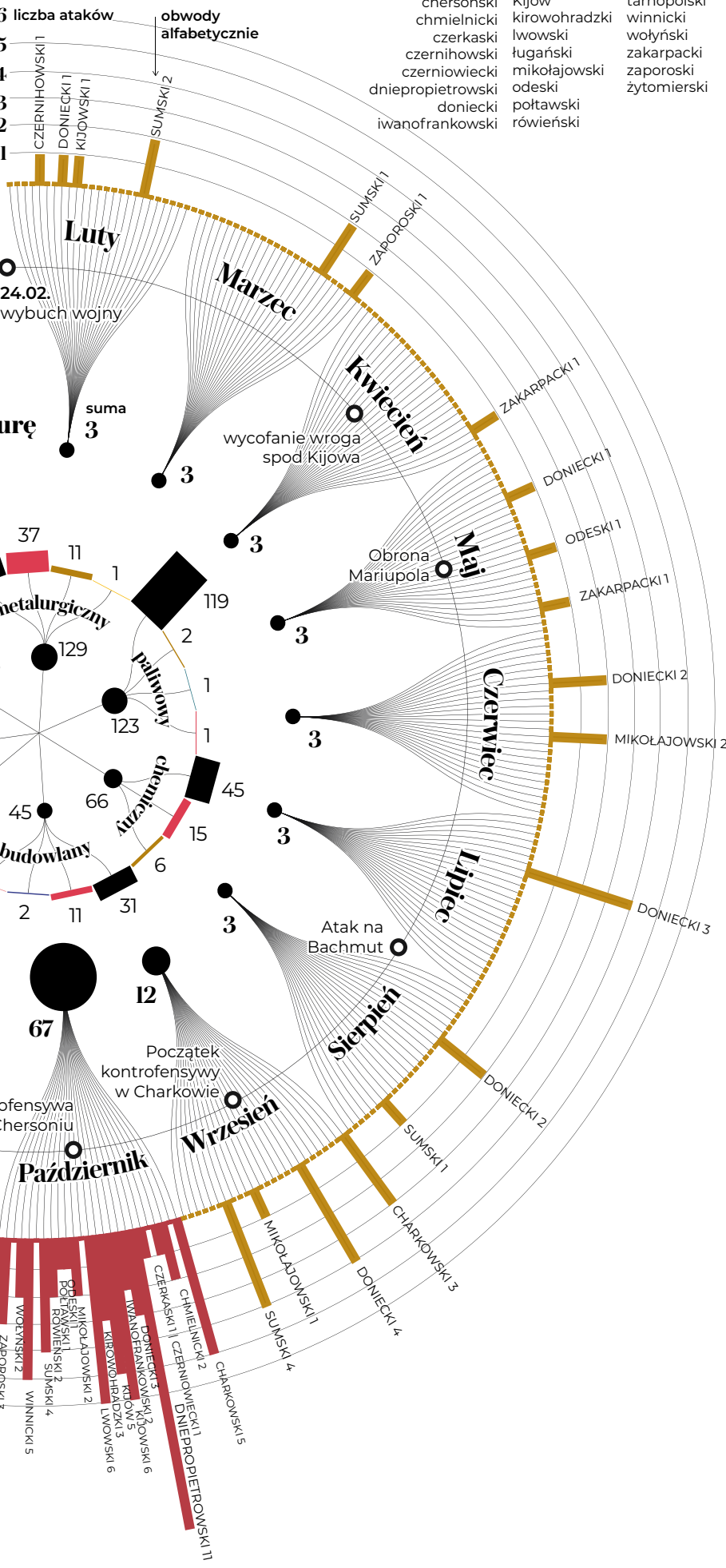
Ataki na infrastrukturę elektroenergetyczną

OSW, BIURO PROKURATORA GENERALNEGO W UKRAINIE

Kolor odnosi się do intensywności ataków

Obwody

- charkowski
- chersoński
- chmielnicki
- czerkaski
- czernihowski
- czerniowiecki
- dniepropietrowski
- doniecki
- iwano-frankowski
- kijowski
- Kijów
- kirowohradzki
- lwowski
- ługański
- mikołajowski
- odesski
- połtawski
- rówieński
- sumski
- tarnopolski
- winnicki
- wołyński
- zakarpaci
- zaporoski
- żytomierski



Emisje gazów cieplarnianych, W tys. ekwiwalentu tCO2e

Pierwsze 214 dni wojny CLIMATEFOCUS

- 2666 Tereny zabudowane
- 366 Składniki naturalne
- 4194 Gospodarstwa
- 16538 Lasy

Wszystkie teksty cyklu „Przeciw naturze” z interaktywnymi grafikami znajdziesz na BIQdata.pl

BIQDATA.pl
wyborcza.pl

TOP
LEAD



Według firmy badawczej Ember produkcja energii słonecznej wzrosła o rekordowe 24 proc. w 2022 r., co pomogło nam uniknąć 10 miliardów euro kosztów gazu. Było to spowodowane rekordowymi instalacjami o mocy 41 gigawatów (GW) w 2022 r. – prawie o 50 proc. więcej niż w 2021 r.

Od maja do sierpnia ubiegłego roku energia słoneczna dostarczała 12 proc. energii w UE.

A jeszcze w 2019 r. ponad połowa gazu importowanego do Unii Europejskiej pochodziła z Rosji, pod koniec 2022 r. – już tylko niecałe 13 proc.

Toksyczne śmieci, zrujnowane parki narodowe, spalone lasy, zatrute pola, przetrzebione zwierzęta – „Przeciw naturze”, jedyny w Polsce raport o konsekwencjach wojny Putina realizowaliśmy we współpracy z agencją TOP LEAD z Kijowa.

NASZA EUROPA

Japoński kryzys



• Każdego roku w kraju zamyka się ok. 500 szkół. Analitycy szacują, że w całej Japonii stoi dziś już ponad 10 milionów pustostanów. Duże obszary kraju ulegają atrofii z powodu wyludnienia

FOT. BLOOMBERG

NAJSZYBCIEJ KURCZĄCE SIĘ PAŃSTWO

Trzecia co do wielkości gospodarka świata znajduje się na skraju dysfunkcji z powodu starzenia się społeczeństwa.
Czy to da się zmienić bez rewolucji w tak konserwatywnym kraju?

Andrea Rizzi

EL PAÍS

Jest ta pora dnia, kiedy brama szkoły powinna być pełna wychodzących dzieci i rodziców lub dziadków odbierających je – ale wokół szkoły Imakumano w Kioto panuje wyłącznie cisza. Spotykam tam Hikari Yurugi, która kiedyś się tu uczyła, podobnie jak jej ojciec, ale dziecko, które niebawem urodzi, będzie chodziło już do innej szkoły, znacznie dalej.

Imakumano zamknięto kilka lat temu, ponieważ w Japonii jest coraz mniej dzieci. Kraj właśnie doświadcza załamania demograficznego. Do tego

stopnia, że premier Fumio Kishida oznajmił w styczniu, że Japonia jest „na skraju zdolności utrzymywania swoich funkcji społecznych”. „Teraz albo nigdy” – oświadczył, zapewniając, że odwrócenie tego trendu będzie najważniejszym priorytetem polityki jego rządu.

Yurugi ma 27 lat, należy jeszcze do pokolenia wyżu. Do połowy lat 90. w Japonii rodziło się każdego roku ok. 1,2 miliona osób. Ale wtedy, po dekadach niezwykłego wzrostu gospodarczego, kraj wchodził w długą fazę stagnacji gospodarczej. W 2022 r. urodziło się mniej niż 800 tys. dzieci, znacznie mniej, niż zakładały pesymistyczne prognozy. To dlatego premier oficjalnie podniósł alarm.

Rząd przewiduje, że jeśli trend nie zostanie odwrócony, obecna populacja Japonii wynosząca 125 milionów spadnie do 100 mi-

lionów w 2050 r. i do 60 milionów pod koniec wieku. Krzywa wykresu jest tak stroma, że stawia pod znakiem zapytania zdolność kraju do utrzymania ciężaru emerytur i opieki nad osobami starszymi, a zwłaszcza młodych ludzi o innowacyjnych zdolnościach w wystarczającej liczbie, aby napędzać gospodarkę.

Każdego roku w kraju zamyka się ok. 500 szkół. Analitycy korporacji Nomura szacują, że w całej Japonii stoi dziś już ponad 10 milionów pustostanów. Duże obszary kraju ulegają atrofii z powodu wyludnienia.

Problemy związane ze spadkami liczby urodzeń i szybkim starzeniem się społeczeństwa są powszechne w krajach rozwiniętych. Z podobnymi wyzwaniem borykają się na przykład Hiszpania i Włochy. W Japonii są one jednak szczególnie dotkliwe,

ponieważ jest to społeczeństwo o bardzo silnym przywiązaniu do tradycyjnego modelu i wartości, które m.in. utrudniają dążenie do równouprawnienia płci i otwartość na imigrację – obie te kwestie są zwykle uważane za kluczowe w przezwycięzeniu kryzysu demograficznego. To właśnie uwarunkowania kulturowe powodują, że to Japonia – wraz z Koreą Południową – są państwami o największych trudnościach. Konserwatyzm Japończyków znajduje także polityczne odzwierciedlenie – w niemal nieprzerwanym od 1955 r. rządach zachowawczej Partii Liberalno-Demokratycznej.

Aktualna sytuacja stanowi wyzwanie dla powojennej tożsamości Japonii także w innym sensie, dotyczącym zapisanego w powojennej konstytucji pacyfizmu. Niepokojący wzrost znaczenia coraz bardziej agresywnych Chin czy rakiety Korei Północnej

NASZA EUROPA

wymagają zmiany tradycyjnej polityki ograniczonej samoobrony.

Dostosowanie się do nowych czasów – zmian klimatycznych czy technologicznych – jest trudne dla wszystkich, ale dla Japonii oznacza to także daleko idące zakwestionowanie własnej tożsamości. Japonia nadal pozostaje trzecią co do wielkości potęgą gospodarczą świata. Jest też na dobrej drodze do stania się krajem o znaczącym potencjale militarnym, w związku ze skokowym wzrostem wydatków budżetowych na obronę. Jest to kraj wyposażony w liczne działające globalnie korporacje, o wysokim potencjale technologicznym; ponadto jest to bezpieczne, uporządkowane, wyrafinowane społeczeństwo, którego jakość życia jest godna podziwu pod wieloma względami. Wszystko to jest jednak zagrożone, co przyznał premier, przez egzystencjalne wyzwanie: depopulację.

Postanowiliśmy poznać perspektywy Japonii przez pryzmat osobistych historii i punktów widzenia grupy młodych ludzi, najszybciej kurczącego się skarbu tego społeczeństwa – w Tokio, Jokohamie i Kioto. Studenci lub młodzi pracownicy, z partnerem lub samotni, z dziećmi, bez dzieci lub oczekujący na nie, jak Hikari Yurugi, która w szóstym miesiącu ciąży, przed szkołą Imakumano i w pobliskiej kawiarni, opowiada, dlaczego – podobnie jak wielu innych z jej pokolenia – jest sceptyczna co do możliwości głębokich zmian w jej kraju.

Koszty życia, czyli na co stać obywateli zamożnego państwa

Hikari chodzi szybko mimo zaawansowanej ciąży i upału majowego popołudnia. W wąskiej uliczce mijamy dwójkę dzieci wracających z podstawówki w innej dzielnicy, a ich plecaki mają identyczny kształt, co jest jednym z wielu małych przejawów odgórnej unifikacji społeczeństwa rządzonego przez liczne kanony, struktury, zasady, hierarchie. Hikari chciałaby się od nich uwolnić.

Po ukończeniu studiów rozpoczęła pracę w lokalnej firmie Nissha specjalizującej się w produkcji materiałów medycznych. Zrobiła kolejny krok na kanonicznej ścieżce: znalazła pracę po studiach, a następnie pracuj przez większą część doby, z nielicznymi wakacjami. „Dokuczał mi kontrast między koniecznością spędzania tylu godzin przed komputerem a czysto fizycznymi potrzebami mojego ciała, wydawało mi się to marnotrawstwem” – mówi Hikari. Odeszła z firmy i zamieszkała na małym archipelagu Amami, na północ od Okinawy – sama rezygnacją z własnego otoczenia stanowi radykalny krok.

Przez jakiś czas wykonywała tam różne prace, aż ciężka choroba jej matki skłoniła ją do powrotu do Kioto. Matka zdążyła zobaczyć ślub córki w zeszłym roku, ale nie pozna już jej dziecka. „Rób, co chcesz – powiedziała mi”, mówi Yurugi.

Próbowała, ale jej doświadczenie przypomina o konsekwencjach wykraczania poza ramy konwensu. Teraz pracuje w niepełnym wymiarze godzin w małej firmie. „Po odejściu z pełnoetatowej pracy trudno jest znaleźć inną. Może nawet udałoby mi się to stopniowo, ale teraz macierzyństwo jest kolejną przeszkodą”.

Japońskie społeczeństwo oczekuje, że każdy jego członek będzie podążać ustaloną ścieżką. Ci, którzy tego nie robią, narażają się na trudności. Problem polega na tym, że nawet ortodoksyjne wypełnianie modelu wcale nie sprzyja posiadaniu dzieci, bo tradycyjny model oznacza długie godziny pracy, niewielką liczbę dni wolnych, wysokie koszty utrzymania w standardowo małej przestrzeni mieszkaniowej oraz system z niekompletnymi i niezadowolającymi usługami publicznymi.

„Uważam, że niski wskaźnik urodzeń jest przede wszystkim kwestią ekonomiczną. Koszty edukacji i opieki zdrowotnej są tu zbyt wysokie” – mówi Yurugi.

Badanie przeprowadzone przez National Institute for Population and Social Security Research w 2021 r. wykazało, że dla 53 proc. respondentów koszty życia to główna przeszkoda w posiadaniu dzieci.

Dlaczego w tak zamożnym społeczeństwie jak japońskie czynnik ekonomiczny jest tak istotny? Chodzi o to, że bezpłatna edukacja publiczna trwa tylko do 15. roku życia, a rodzice zwykle i tak wolą prywatne szkoły dla swoich dzieci, ponieważ uważa się je za lepsze. Instytucjonalna opieka nad dziećmi nie jest powszechnie dostępna. Premier Kishida przyznał, że istnieje potrzeba interwencji i właśnie ogłosił zamiar podwojenia wydatków publicznych na opiekę nad dziećmi, aby „osiągnąć poziom Szwecji”.

Yurugi zeszła ze standardowej ścieżki, ale wcale nie odrzuca tradycji w całości. Nie ma jednak wątpliwości, że kraj potrzebuje zasadniczych zmian w wielu aspektach. – Ale nie jestem pewna, czy do nich dojdzie. Liderzy polityczni są starzy i nie sądzę, by byli zainteresowani dużymi zmianami. Media nie prowadzą odważnych kampanii na rzecz głębszych zmian. Wydaje mi się, że młodzi ludzie się poddali. Ja głosuję, ale wielu nie robi nawet tego.

Nowe zjawisko: pragnienie emigracji

Hibiki Sugii ma 20 lat i pelen wdzięku uśmiech, urodził się w Fudzie, miasteczku między Tokio a Kioto, teraz studiuje w Kioto. Ale dla niego to pierwszy krok na drodze do większego celu: zamieszkać za granicą.

Tego typu pragnienie nie jest powszechne w Japonii, tradycyjnie bardzo zamkniętym społeczeństwie. Ledwie nieco ponad pół miliona Japończyków mieszka na stałe za granicą, co stanowi promil populacji. W 2022 r. kolejnych 700 tys. osób przebywało za granicą czasowo. Dla porównania: ok. 2,8 miliona Hiszpanów mieszka na stałe za granicą, co odpowiada 6 proc. jej populacji.

A jednak ostatnio liczba Japończyków wyjeżdżających z kraju rośnie i są to głównie młodzi ludzie. „Młodzi w Japonii nie są zbyt szczęśliwi” – mówi Sugi. Jego uzasadnienie jest proste: „Nie ma tu szans, by podążać własną drogą. Jesteśmy trochę jak stado. Idziemy z prądem, działamy zawsze z myślą o tym, co pomyślą o nas inni. Ja nie czuję się komfortowo z takim sposobem myślenia. Ciężar tradycji jest stresujący. Dlatego jestem zmotywowany, by wyjechać na stałe”.

Jung-Eun Lee, badacz migracji i wykładowca na Uniwersytecie Ritsumeikan, przyznaje, że widzi zmianę w ostatnich latach: większe zainteresowanie nauką języka angielskiego i wyjazdem za granicę. Uważa również, że nastąpiło tylko drobne przetasowanie w wartościach nowego pokolenia. „Niektóre detale się zmieniają, ale nie struktura. To społeczeństwo z silnymi korzeniami w historii. Ludzie wprowadzają drobne modyfikacje, ale nie kopią głębiej, nie dotykają fundamentów”.

Pasją Hibikiego jest tworzenie muzyki lo-fi, słucha również hip-hopu, którego teksty wyrażają wyraźny podział pokoleniowy. Uważa, że społeczeństwo powinno być bardziej feministyczne. Zarazem podoba mu się pomysł odejścia od pacyfizmu: „Zgadzałem się ze zwiększeniem wydatków wojсковych. Nie chcę, by jej używano, ale myślę, że ma to sens, by odstraszać innych i nie być tak zależnym od USA”.

„Rozważam model szczęścia bez rodziny”

„Kiedy myślę o swojej przyszłości, wydaje mi się, że jestem na rozdrożu. Idealem byłoby mieć karierę i rodzinę. Ale trzeba będzie zdecydować”, mówi 32-letnia Akiho Kobakayama. Urodziła się w prefekturze Hiroszima, a dziesięć lat temu przeniosła się do

Tokio na studia. Pracuje w stolicy w agencji reklamowej Shinto Tsushin.

Odsetek kobiet w rynku pracy wzrósł w Japonii z 60 proc. na początku wieku do 74 proc. obecnie. Dzieje się tak, bo brakuje rąk do pracy.

Jednak praktyczne okoliczności tego z pozoru pozytywnego trendu mają liczne skazy, z utrzymującymi się nierównościami na stanowiskach kierowniczych i różnicami w wynagrodzeniach. Ponadto macierzyństwo nadal stanowi przeszkodę dla perspektyw zawodowych.

Kobokayama: „Myślę, że w Japonii w porównaniu z przeszłością kobietom jest łatwiej. Ale tylko do czasu małżeństwa i urodzenia dziecka. Wtedy mężczyźni zyskują jeszcze większą przewagę” – mówi w siedzibie swojej firmy w tokijskiej dzielnicy Ginza.

Rząd przewiduje, że jeśli trend nie zostanie odwrócony, obecna populacja Japonii wynosząca 125 milionów spadnie do 100 milionów w 2050 r. i do 60 milionów pod koniec wieku

Większość jej znajomych z Hiroszimy jest w związkach małżeńskich, a niektórzy mają już dzieci. Natomiast wszyscy znajomi z Uniwersytetu Tokijskiego to nadal single. „Rozważam możliwość bycia szczęśliwą bez małżeństwa i dzieci”, mówi – i to stanowi radykalną różnicę w porównaniu z poprzednimi pokoleniami.

Miejsce pochodzenia Kobokayamy, prefektura Hiroszima, symbol nuklearnego horroru, wyznacza jej pogląd na zmiany geopolityczne, przed którymi stoi kraj. „W Hiroszimie mamy stosunkowo silną świadomość wartości, jaką jest unikanie wojen. W Tokio młodzi nie są zbyttnio zainteresowani tymi kwestiami ani perspektywą ewentualnej zmiany konstytucji. Rozumiem, że niż demograficzny stanowi problem, jeśli w przyszłości trzeba będzie rekrutować do armii. Ale uważam, że nie można skupiać się wyłącznie na zwiększaniu potencjału militarnego i że młodzi ludzie powinni w szkołach dowiadywać się więcej o wartości pokoju i złu wojny” – mówi.

Pytam, czy jest szczęśliwa. – Chciałabym wiedzieć, czym jest szczęście. Czuję się usatysfakcjonowana. Nie mam większych żmartwień.

Dystans do cudzoziemców

„Jako obcokrajowiec nigdy nie poczujesz się tu doskonale zintegrowany”, mówi Laura Pano. 30-letnia Włoszka mieszka w Kioto, gdzie pracuje dla firmy z branży gier wideo. Zaczęła uczyć się języka i kultury japońskiej podczas studiów we Włoszech i zafascynowana zdecydowała się przenieść do Japonii krótko przed pandemią.

Pano jest jedną z 2,7 miliona obcokrajowców mieszkających w Japonii. Stanowią oni nieco ponad 2 proc. populacji, bardzo mało w porównaniu z innymi zaawansowanymi demokracjami. Ale ta liczba odzwierciedla japońską niechęć do zaakceptowania imigracji.

Rząd próbował w ostatnich latach delikatnie łagodzić przepisy, aby przyciągnąć siłę roboczą, ale nadal obwarowuje to licznymi warunkami. W latach pandemii liczba obcokrajowców dodatkowo spadła. Trudność języka japońskiego, silne idiosynkrazje kulturowe, sztywne ustawodawstwo i inne, mniej wymierne czynniki hamują przyciąganie i pełną integrację cudzoziemców.

„Na studiach jest jeszcze łatwo. Trudności pojawiają się, gdy decydujesz się na

długoterminowe życie tutaj bez małżeństwa z Japończykiem” – mówi Pano. Jej obraz Japonii: bardzo zorganizowane, ale jednocześnie bardzo sztywne społeczeństwo, z zasadami i zwyczajami, które generują masę przeszkód dla obcokrajowców w różnych aspektach życia, od wynajmu domu po dopasowanie się do lokalnego etosu pracy.

Pano zauważa pewne oznaki ewolucji, np. pozycja kobiet na rynku pracy poprawiła się, więcej mówi się o plagach takich jak molestowanie. „Myślę jednak, że jeśli wkrótce nie dokonamy tu zdecydowanego zwrotu, ten kraj nie będzie miał przyszłości” – mówi.

Równość płci: długa droga

W zacisnej części Jokohamy znajduje się liceum Seiko Gakuin. Ta szkoła jest nadal pełna uczniów. Ale to prywatne, katolickie, całkowicie męskie liceum, którego absolwenci dostają się na najlepsze japońskie uniwersytety.

Profesor Seichi Kudo, lat 68, jest dyrektorem szkoły od dwóch dekad. Kiedy zaczynał uczyć ponad 40 lat temu, w Japonii rodziło się dwa razy więcej dzieci niż obecnie, a gospodarka kwitła. Zwraca uwagę, że w ciągu ostatnich dwóch dekad przedmiot, który ma na celu podkreślenie znaczenia równości płci zyskuje na popularności w japońskim systemie edukacyjnym. „W Seiko Gakuin uważamy, że jest to ważne dla szkoły, której uczniowie będą częścią przyszłej klasy przywódczej. Liderzy powinni być świadomi sytuacji społecznej i potrzeby – również w makroekonomicznym sensie – równego dzielenia się obowiązkami domowymi między kobietami i mężczyznami”.

Te słowa to symbol rosnącej świadomości potrzeby korygowania reguł życia w Japonii. Ale dzieje się to zbyt wolno.

Anna Kurokawa ma 35 lat, jest dziennikarką prywatnego nadawcy TBS i matką Ariego, który ma rok i dwa miesiące. Obecnie przebywa na urlopie macierzyńskim. Jej mąż, producent w tej samej sieci, nie wziął ani jednego dnia urlopu, gdy urodziło się ich dziecko. Oficjalnie nie mógł: przy jego obciążeniu pracą było to niemożliwe. Kolejny dowód, że stara kultura pracy nie zmienia się bez zdecydowanych działań ze strony ustawodawcy.

Kurokawa i jej mąż prezentują przy tym nowoczesne, raczej liberalne poglądy. Wskazują na nadmierny kult rywalizacji, w którym wielu rodziców wychowuje swoje dzieci i który pogłębia problemy, m.in. rozwarstwienie społeczne. Jednak zapytani o wzorcowe wartości, które należy zachować w przyszłości, wskazują – bardzo tradycyjnie – na „kulturę dobrego rzemiosła”, standard dążenia do doskonałości z żelazną dyscypliną.

Armia nadal tabu

Wspólna kolacja we wspólnej kuchni rezydencji Oak House w Kioto, budynku oferującym połączone usługi komunalne mieszkańcom, z których większość to młodzi ludzie. Przy posiłkach Japonia, jej przyszłość i tożsamość, to regularny temat.

32-letnia Yoko Watanabe, szefowa kuchni, jest zdecydowanie przeciwna zbrojeniom. Mówi, że jej dziadek był żołnierzem podczas II wojny światowej i nigdy w pełni nie pozbierał się psychicznie po tej traumie, która w jakimś stopniu przekazał potomkom. Rikuto Fukuda, 25 lat, architekt miejski, zauważa, że za mało mówi się o tych kwestiach w debacie publicznej. Bo przez dekady był to temat tabu.

Fukuda mówi, że chciałby mieć dzieci. Watanabe, która ma pięcioro rodzeństwa, chciałaby mieć troje dzieci. Na razie oboje są bez partnerów.

Premier Kishida oświadczył, że „misją Japonii jest stworzenie gospodarki „przede wszystkim dla dzieci”. Ale musi się z tym pospieszyć. ●

Berlin

Marzenie polityków Zjednoczonej Prawicy: gdyby wszyscy przeciwnicy rządu wyprowadzili się do Niemiec, pozostałymi Polakami rządziłoby się łatwiej.

Michał Rusinek



Nad maszerującymi 4 czerwca w Warszawie latał samolot PZL 101 Gawron, ciągnąc za sobą baner z napisem: „Do Berlina!”. Latał wprawdzie nieprzepisowo nisko, ale dojrzeli go głównie — cóż za koincydencja! — dziennikarze mediów rządowych. Kilkoro nielicznych przeciwników marszu stojących na jego trasie trzymało tabliczki z tym samym napisem. TVP poinformowała, że „podobne hasło skandowali między innymi posłowie Prawa i Sprawiedliwości do lidera Platformy Obywatelskiej Donalda Tuska, gdy ten pojawił się na sejmowej galerii podczas debaty nad powstaniem komisji mającej zbadać rosyjskie wpływy”. Sprezyjmy jednak: hasło nie tyle podobne, ile takie samo, do skandowania — łatwe. Tak czy owak jest ono zastanawiające.

Nie użył go wprawdzie dosłownie przewodniczący „Solidarności” Piotr Duda w rozmowie z Danutą Holecką, ale powiedział coś podobnego, a mianowicie: „Wczoraj WSA w Warszawie podjął skandaliczną decyzję dotyczącą de facto zamknięcia kompleksu Turów, czyli kopalni, elektrowni i kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy” — z nie do końca zrozumiałych powodów rezygnując pod koniec zdania z dopełniacza. I dodał: „Nie wiem, jak nazwać pana sędziego — że to była głupota, nieodpowiedzialność [...]”. Dlatego pan sędzia niech sobie swoje postanowienie wysyła do Niemiec i niech zamyka tam kopalnie niemieckie [...]. Nie pozwolimy na to, żeby Niemcy w kompleksie turowskim sadzili szparagi czy ogórki”. Pomijając freudowskie konotacje wymienionych warzyw, przewodniczący Duda zasugerował, żeby sędzia swoje postanowienie wysłał do Berlina — rozumianego, zgodnie z poetyką „dobrej zmiany”, jako synekdocha Niemiec. Pamiętamy przecież paski w „Wiadomościach” TVP krzyczące kilka lat temu: „Bruksela, Berlin i opozycja przeciwko Polsce” i zdanie Tomasza Terlikowskiego z „Frondy”, że polska władza (za czasów PO) to „utrzymanka Berlina”.

Tak czy owak nie do końca wiadomo, kto miał być adresatem wezwania: „Do Berlina!” fruwającego nad marszem 4 czerwca. Być może Donald Tusk, który jednak przez pięć lat był przewodniczącym Rady Europejskiej, prawicowi politycy i publicyści sugerowali więc zwykle, by wracał nie do Berlina, a do Brukseli. Z drugiej jednak strony polityk ten wszystko robi nie dla Polski, ale „für

Deutschland”, o czym wiemy dzięki ambitnemu montażyście TVP. Tusk jest nie polskim politykiem, ale niemieckim agentem, więc jego miejsce jest w Niemczech. Czyli w Berlinie.

Być może jednak adresatem hasła „Do Berlina!” byli wszyscy maszerujący 4 czerwca i było ono rodzajem drogowskazu: do Berlina? Tam, na zachód! Niewykluczone, a nawet wielce prawdopodobne, że jest to marzenie polityków Zjednoczonej Prawicy: gdyby wszyscy przeciwnicy rządu wyprowadzili się do Niemiec, pozostałymi Polakami rządziłoby się łatwiej. Kilka miesięcy temu minister klimatu Anna Moskwa żaliła się, że rząd nie może odbierać paszportów jego krytykom, którzy „kłamia i działają przeciwko Polsce”, ale obiecała też, że przekaze ministrowi Ziobrze: „żeby przemyślał jakieś instrumenty dla tych, którzy szkalują Polskę”. W tym dość pokracznym zdaniu metaforyczne instrumenty pobrzękują jak realne narzędzia tortur, o których skrycie fantazjuje pani minister.

Być może samolotowy baner stanowi jednak swoiste wezwanie do walki. „Do Berlina!”, czyli „nach Berlin!”, czyli „na Berlin!”. Hasło dobrane znane wszystkim miłośnikom powieści (i serialu według powieści) Janusza Przymanowskiego „Czterej pancerni i pies”. Autor tak na przykład opisuje salę balową w kamienicy w wyzwolonym Gdańsku, udekorowaną plakatami: „Ściany nosiły jeszcze ślady walk — tu nad oknem jezor sadzy po stłumionym pożarze, tam skośny ścieg serii na murze, nadpęknięty tynk, ale wszystko odchędożone, po żołniersku uprzątnięte, a gdzie nie można, to zasłonięte wojennym plakatem — był tam zielony żołnierz porucznika Włodzimierza Zakrzewskiego wołający: »Na Berlin«, śmieszne hitlery Kukryniksów, siwy, bijący w dzwon chłop Mikołaja Żukowa z napisem: »Bracia Słowianie!». Gdzie nie starczyło plakatów, naczepili kawałki artyleryjskich sieci maskujących, upięte płaszczy-pałatki ozdobione zielonymi kockami leśnymi, rozkwitła biała tarninową gałęzią albo hasłem pospiesznie wypisanym na płótnie: »Gdańsk polski na wieki!«, »Wpieriod na Berlin!«, »Ruszał do tańca, jak na Germańca«, »Hitler świński cycek, biorą w... fryce«. W co biorą fryce, nie było widać, bo kapelan brygady kazał zielenią przesłonić”. Przymanowski władał niegdyś naszą dziecięcą wyobraźnią i — jak widać — władza nadal wyobrażnia niektórych dorosłych. Komiksowa wizja wojny z Niemcami, odwiecznymi wrogami polskości i słowiańszczyzny, no i przecież — cóż za kolejna koincydencja! — Rosji, napędza retorykę prawicy. Jest to zarazem wizja czysta i nieskalana wulgaryzmami, do których zdolna jest tylko druga strona współczesnego politycznego sporu, strona o wykrzywionej antypolskim grymasem twarzy Andrzeja Seweryna. Po dobrej stronie znajdzie się natomiast zawsze jakiś ksiądz kapelan, który w razie potrzeby zasłoni (zielenią) to, co wulgarne.

Przypomnijmy, że samolot niosący nawiązujący do Przymanowskiego baner „Do Berlina!” miał na kadłubie wypisany numer 101, różniący się tylko jedną cyfrą od numeru na czołgu czterech pancernych zwanego „Rudym”. Przypadek? Nie sądzę. ●

Nieświadomi nosiciele boreliozy

Chcę, żeby moi doktoranci walczyli, a nie, żeby się poddawali.

Marcin Matczak



W finale biegu na 100 m mężczyzn na olimpiadzie w Tokio różnica między pierwszym a ostatnim zawodnikiem wyniosła 18 setnych sekundy. Tyle lat trudu i przegrywa się medal nie tylko w mgnieniu oka, ale też o mgnienie oka. W boksie o nokaucie może zdecydować chwila nieuwagi — jeden cios i jest po wszystkim. Czy sport to loteria? A może szczęście sprzyja lepszym?

Te pytania powracają nie przy okazji kolejnej wygranej Igi Świątek (ta to ma szczęście!). Powraca dyskusja o finansowaniu polskiej nauki. Prof. Ireneusz Sadowski polemizuje z moim tekstem, w którym sprzeciwiam się tezie, że konkurs grantowy Narodowego Centrum Nauki jest jak totolotek: o wygranej decyduje nie jakość, ale ślepy los. Profesor tłumaczy, że jeśli pieniądze dostaje niecałe 7 procent wniosków, a proces ich oceny jest subiektywny (?), to różnica między wnioskiem numer 7, który finansowanie dostaje, a wnioskiem numer 8, który go nie dostaje, jest pomijalna. A więc jednak los. Dlatego pieniędzy powinno być więcej.

To, że pieniędzy powinno być więcej, jest jasne. Tak samo jak to, że ich nie będzie, bo minister Czarnek nie wyda ich na badania, które nie w pełni kontroluje. Wpływ na ministra mamy ograniczony. Wpływ na młodych naukowców większy. Dlatego sednem mojego tekstu była walka z defetyzmem, który wypowiedź profesora szerzy: „Porzućcie wszelką nadzieję! Jak będziecie się nie starali, na końcu i tak sprawę rozstrzygnie coś podobnego do rzutu monetą”.

Ta teza zniechęca do konkurowania jakością i wpisuje się w myślenie dużej części kadry akademickiej, wśród której — jak wszędzie na świecie — dominują osoby o poglądach lewicowych. Konkurencyjność jest podejrzana, bo jest kapitalistyczna i liberalna. Trzeba więc ją zdekonstruować i pokazać jej bezsens. To właśnie robi wpis profesora o totolotku, mimo że jest ironiczny. Nie ma lepszego narzędzia dekonstrukcji niż ironia.

Przyjrzyjmy się argumentom — kasy jest mało, wszystkie wnioski są dobre, odcięcie na poziomie pierwszych siedmiu jest właściwie arbitralne. To argument, który da się pociągnąć dalej. Czy gdy finansowano kiedyś na poziomie 32 proc., nie 7, to losowości nie było? Skoro wszystkie wnioski są dobre, to kiedy różnica między nimi przestaje być „pomijalna”? Czy odcięcie między wnioskiem 64. i 65. nie będzie arbitralne, a tym samym losowe? Czy gdyby medali było więcej niż trzy, wtedy warto by było się ścigać, a ponieważ jest ich mało, to nie warto? Nielosowe byłoby przyznanie finansowania wszystkim?

Po drugie — skąd wiadomo, że wnioski jakościowo są podobne. Ocenia się je me-

rytorycznie w dwóch etapach, w drugim robi to trzech recenzentów, często zagranicznych, potem jeszcze decyduje panel. Profesor pisze, że oceny ludzkie są subiektywne i gdyby zmienić oceniających, byłyby inne („niska replikowalność”).

Zaraz! Przecież to oznacza, że o wszystkim w akademii decyduje los. I o publikacjach, i o awansach, które oceniają recenzenci. W tym ujęciu także prof. Sadowski został profesorem na podstawie zrządzenia losu. Wszak i jego awans (jak mój i każdego innego) był oceniany przez ludzi.

Teza, że nie indywidualne staranie, ale coś ponad nami decyduje o powodzeniu lub klęsce, jest elementem myślenia lewicowego. Jak człowiek ukąszony przez kleszcza nosi w sobie nieświadomy boreliozę, tak najwyraźniej część akademii ukąszona przez Hegla nosi w sobie wizję świata, w którym wszyscy jesteśmy „w łapach siły nierozumnej i okrutnej”, która ponad głowami jednostek decyduje o ich, nomen omen, losie.

Taka narracja wychowuje do lenistwa — sprzeciwia się wysiłkowi i zniechęca do konkurencji. Młody naukowiec musi zapytać prof. Sadowskiego: „To mam się starać czy nie, jeśli NCN będzie dalej finansował tylko 7 procent wniosków?”. Po takim wpisie zamiast usiąść do książki, poszedłby pewnie do kasyna. Czy o to chodziło?

Uniwersytet znam od wewnątrz, ale także jako osoba funkcjonująca przez wiele lat poza nim. To w wielu wymiarach mentalnie nadal przedsiębiorstwo państwowe. Broni się rękami i nogami przed konkurencyjnością. A bez niej jest miejscem, gdzie wielu osobom nie chce się starać, gdzie marnuje się czas, gdzie toleruje się przez lata uczonych, którzy nic nie robią, a blokuja miejsce młodym i bardziej zdolnym.

Niektórzy wierzą, że konkurencja to zagrożenie. Słyszę często, że ewaluacja niszczy ducha nauki, że wprowadza do niej wysięg szczurów. A konkurencyjność daje lepszą jakość: w pracy lekarza, prawnika czy inżyniera. Widzimy wartość w otwarciu zawodów prawniczych na konkurencję, ale jako problematyczną widzimy ją w nauce?

Zanim dostałem grant NCN, moje wnioski były kilka razy odrzucane. Poprawiałem je i składałem ponownie. Być może ten wysiłek dał mi te kilka setnych sekundy przewagi? Chcę, żeby moi doktoranci walczyli, a nie, żeby się poddawali. Czy zachęca ich loteria prof. Sadowskiego, czy raczej to, że widzą, jak po kolejnym odrzuceniu wniosków udoskonalam i wreszcie się „udaje”?

Pisze pan trochę kpiąco, że prof. Kamiński, którego projekt zwyciężył w tegorocznym konkursie, podziela pana zdanie co do losowości decyzji. Czy właściwy jest przekaz prof. Kamińskiego do młodych naukowców: „Mnie się udało, ale wy raczej nie próbujcie, bo to loteria?”. Krytykujmy system za to, że finansuje za mało, bez zniechęcania do tego, by o granty się starać. Bo inaczej nigdy tej czwartej bądź piątej setki rankingu szanghajskiego nie opuścimy.

Mogli Panowie poprzestać na apelu o zwiększenie nakładów, pogratulować tym, którym się udało, innych zachęcić do dalszej pracy. A zachowujecie się jak dyrektor szkoły, który ogłaszając wyniki olimpiady przedmiotowej, mówi uczestnikom, że była to jedna wielka loteria. Że i wygrana, i przegrana były przypadkiem. A potem chcecie, żeby do kolejnej olimpiady pilnie się uczyli.

Gdybym był panów studentem i w tym rozdaniu nie dostałbym grantu, wniosku bym nie poprawiał. Po co, skoro mój profesor mówi, że o wszystkim i tak decyduje ślepy los? Uznałbym, że lepszą strategią jest żarliwa modlitwa albo złożenie jakiejś ofiary, żeby przekonać do siebie opatrność. Chyba nie o to chodziło, prawda? ●

Tego chcą nie tylko katolewaczki

Katolicka kobieta faszeruje jajka szynką.

Magdalena Czyż

Chwaliliam już nieraz redakcję „Gościa Niedzielnego” za widoczne odejście od linii katobetonu ciasno związanego z rządzącą partią. Nieraz też oberwało mi się po niewymownej za te pochwały od czytelników „Wyborczej”. Oczywiście, że ta zmiana odbywa się w tempie lodowca, może nawet wolniej, ale się odbywa. A zmiany na dobre zawsze warto odnotować.

Szkoda, że lodowiec ani drgnie w jednym z działów „Gościa”. A konkretniej: u redaktorek z „4 stron kobiety”. Ręce mi opadają, gdy przy lekturze dochodzę do tego działu.

Katolicka Agencja Informacyjna doniosła, że od 1 sierpnia rzecznikiem, właściwie: rzeczniczką słowackiego episkopatu (Konferencji Biskupów Słowackich, KBS) będzie kobieta. Przytoczę obszernie depeszę, bo warto. „Po raz pierwszy kobieta i osoba świecka obejmuje stanowisko rzecznika prasowego biskupów. Mgr Katarína Jančíšinová, z d. Chudová, jest absolwentką Uniwersytetu Komeńskiego (FiFUK) w Bratysławie, gdzie studiowała język niemiecki i literaturę (specjalizacja nauczycielska). Później studiowała język i literaturę włoską. W Instytucie Teologicznym Jana Pawła II Studiów nad Małżeństwem i Rodziną w Rzymie uzyskała tytuł magistra.

Pracowała jako lektor języka niemieckiego, a następnie jako nauczyciel w Gimnazjum Kościelnym św. Jana Chrzciciela w Trebiszowie. Od 2016 roku współpracuje z portalem, czasopismem i wydawnictwem Nové mesto. Jednocześnie pracowała jako osoba samozatrudniona, koncentrując się na tłumaczeniach z języka niemieckiego i włoskiego. Jest dyrektorem zarządzającym MUNDO plus s.r.o., firmy zaj-

**Za naszą południową miedzą
twarzą Kościoła katolickiego
będzie twarz młodej,
uśmiechniętej szatynki**

mającej się tłumaczeniami pisemnymi i ustnymi. Odbyla kilka pobytów we Włoszech (na potrzeby Ruchu Focolare). Mówi po włosku, niemiecku i angielsku. Jest mężatką i ma troje dzieci” – tyle (aż tyle, bo szerokie doświadczenie zawodowe rzeczniczka ma imponujące) ze strony KAI i tygodnika „Niedziela”.

„Gość Niedzielnny” zapewne coś o tym bezprecedensowym wydarzeniu napisze. Może już przedrukowuje notatkę z KAI. Tylko raczej nie w dziale „4 strony kobiety”.

Bo tam czytelniczki znajdują jedynie przepisy kulinarne na jaja faszerowane szynką, odchudzające napary ziołowe i sugestie, jakie kwiatki posadzić w ogród-

ku albo na balkonie. Oto odpowiedź redakcji „Gościa Niedzielnego” na pytanie, co powinno zajmować śliczną kobiecą główkę. Po co ta śliczna główka ma się męczyć lekturą tak trudnych tematów jak miejsce kobiety w Kościele.

Tymczasem za naszą południową miedzą twarzą Kościoła katolickiego będzie twarz młodej, uśmiechniętej szatynki.

Próbuję sobie wyobrazić podobną sytuację w Polsce. Kandydatki aż wyskakują mi z rękawa. Nie będę zdradzać ich nazwisk, bo obawiam się o efekt „pocałunku niedźwiedzia”.

Niemniej, o ile nie wierzę w taki rozwój wypadków na żadnym z przyszłych posiedzeń Konferencji Episkopatu Polski w ciągu najbliższych dekad, o tyle wierzę, że zostałoby to odebrane w polskiej owczarni jako siedmiomilowy krok w dobrą stronę. Wiele nie tylko katolewaczek czy katofeministek, ale zwykłych polskich katoliczek z prowincji chciałoby takiej zmiany. I dobrze by było, gdyby redakcja najpopularniejszego tygodnika konfesyjnego tę potrzebę wreszcie zauważyła. ●

ILUSTRACJA HANNA PYRZYŃSKA



wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wjeliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Dorota Nowacka

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Barłowski
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy jest zabronione.



**OLŚNIEWAJĄCY
POWIEŚCIOWY POWRÓT**

Grażyny Plebanek

Od pytania „kto zabił”
ważniejsze bywa:
„Dlaczego wcześniej nie zrobił
tego ktoś inny?”

JUŻ W SPRZEDAŻY

W „Madmuazelce” Grażyny Plebanek jest wszystko, co lubię: opowiedziana z wprawą i pasją mała historia zwyczajnych ludzi, przez których losy poznajemy także wielką historię Polski, Europy i świata.

Joanna Bator

„Madmuazelka” porusza kwestie związane z tożsamością, życiem między kulturami, ale jednocześnie jest bardzo wciągającą opowieścią z zagadką kryminalną w tle.

Justyna Sobolewska

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



SZTUKA JEST NIEBEZPIEC

Z **KRYSTIANEM LUPĄ**
ROZMAWIA **EWA KALETA**

**Na jakim pan jest teraz etapie w życiu?
Ma pan prawie 80 lat.**

– 79... do 80 jeszcze parę miesięcy. Rzeczywiście w tych wiekowych granicach czai się coś nieubłaganego, czasem przerażającego, dla niektórych przerażającą granicą jest 20 lat, później 40, później 50 i tak dalej.

I co to jest za moment?

– Pamiętam z dziecięcej lektury, jak Maćko z Bogdańca mówi: „O, już mam siedem krzyżyków”. Zrobiło to na mnie wtedy wrażenie, te „siedem krzyżyków”, a on wybierał się przecież na bitwę. Czyli na bitwę pod Grunwaldem już jestem za stary.

A na jakieś inne bitwy pan się wybiera?

– Wybieram, każda realizacja spektaklu jest bitwą. Bitwą o odradzające się wciąż kolejne marzenia. I to nawet nie o to marzenie, które jest na początku, tylko marzenie, które się rodzi w trakcie pracy z zespołem, marzenie wspólnego procesu. To byt niezależny i nikt nie jest właścicielem ani kreatorem tego marzenia aż do końca. To jest fantastyczne, kiedy zaczyna wyrażać własne żądania, jesteś wtedy jego sługą, niewolnikiem. Ktoś we Francji ostatnio porównał to do porodu, powiedział, że poród nie jest ani piękny, ani przyjemny, ani bezpieczny, może być rozkoszny, może być fascynujący, ale nie jest przyjemny, wielu chciałoby, żeby wszystko było przyjemne.

Rozkosz to idealne słowo.

– Ten twór, któremu się służy, powstaje w grupie, która jest zmotywowana i „porwana” do tego procesu, oddana mu i uczestniczy w tej podróży, i traktuje ją jak seans spirytystyczny, w którym to powstaje, i zgadza się na to, żeby mu oddać coś z siebie, trochę krwi utoczyć, tak jak przy porodzie bywa przecież, zaryzykować i tak dalej... Więc to jest bitwa.

A kto jest przeciwnikiem w tej bitwie?

– Nie zawsze to jest jasne i wiadome. Idealnie, kiedy to tylko opór materii... A w ludziach? Również opór, inercja, obojętność.

Byłam na próbach do pana spektaklu „Persona. Ciało Simone”. Pamiętam tę energię i zaproszenie do słuchania i bycia, wydawało się, że naprawdę jesteśmy akuszerami jakiegoś wielkiego wydarzenia. Przyjeżdżał pan z Krakowa w zacerowanych wielokrotnie spodniach i bluzie z kapturem. Udało się panu wytworzyć niepowtarzalną więź pomiędzy nami, nazywam to geniuszem. Obok geniusza chce się być, chce się być przez niego zauważonym. I ostatecznie można chcieć go też zniszczyć.

– Każdy z nas, kto aspiruje do tego, żeby być artystą, stwarza sobie geniusza. Bo to

**Czy młodzi artyści
głoszący nowy,
bezbolesny sposób
pracy denerwują się
tylko w słusznej
sprawie,
podczas gdy ci „starzy”
denerwują się
z potrzeb
sadyistycznych?**

jest konieczne, stwarza sobie kogoś lepszego od siebie, ponad swoje możliwości. Sztuka tego wymaga, żebyśmy stawiali sobie zadania ponad swoje możliwości. Najczęściej podczas zmagania się z materią, zwłaszcza samotnie, nie czuję się geniuszem, 95 proc. czasu nie czuję się geniuszem, tylko wręcz przeciwnie, czuję się kimś ułomnym. Czuję, że ktoś lepszy ode mnie wie, o co chodzi, a ja tego nie umiem. Zarodek geniuszu jest chyba w każdym człowieku. Traktujesz to jako zarodek czegoś, co nie jest twoje, przybysza z niewiadomych krain. I ty albo w to uwierzysz, albo uznasz, że to jest niemożliwe. Ludzie albo nie decydują się na takie ryzyko, albo spotykają się w życiu z takimi okolicznościami, które to uniemożliwiają. Natomiast kiedy powstaje grupa wspólnej wiary, celu... Ba... Ale cel, dziś to właśnie się dzieje, cel zanika. W tej chwili bardzo dużo mówi się o prawach jednostki, o tym, że we wspólnej pracy musimy coraz większą uwagę na to zwracać, tak zmieniają się czasy, zmienia się człowiek i myślę, że to jest dobry rozwój...

Powiedział pan, że cel zanika.

– Za mało mówi się o etosie czy etyce celu. Niektórzy uważają, że to przebrzmiała idea należąca do bardziej radykalnych systemów wartości, które w tej chwili nie cieszą się powodzeniem. Myślę, że etyka celu jest niesłuchanie ważna. Jesteśmy w społeczeństwie, w którym etyka celu jest w głębokim zaniedbaniu. Co to znaczy – etos celu? Wyraziście wyartykułowanie, jaki cel spaja daną społeczność, i tworzenie z nim i wokół niego relacyjnych norm i wartości. Na przykład teatr to miejsce, gdzie ludzie spaja cel tworzenia przedstawienia, jego żywotnej energii i i duchowych (treściowych) przekazów, prawda?

Na próbach często pan mówił o tym, czego artysta od nas oczekuje. Dziś chyba w niewielu przestrzeniach takie pytanie

powstaje. Jest raczej: co nam artysta da do oceny.

– Różnie bywa z oczekiwaniami artystów. Pewnie zależą od motywów i często dla niego samego niejasnych powodów jego artystycznej wypowiedzi. Jeśli jednak, upraszczając, założymy, że akt twórczy wynika z opętania artysty tym, co w świecie i człowieku go przerasta, przeraża itd., to artysta oczekuje od odbiorcy wspólnoty, podjęcia drogi, własnej drogi, choćby to była droga przeciwnym tropem. Zadawaliśmy sobie z aktorami w Genewie pytanie, czego oczekuje Sebald, prowokując nas, czytelników, narracją, którą sam nazwał mową milczenia. Centralny motyw człowieka unicestwionego utratą celu jest niemożliwy do wypowiedzenia bez zafalszowania go, więc go przemilcza, w ten sposób, żeby czytelnik mógł wczytać się w to milczenie i podążyć dalej własnym tropem, niekoniecznie nazywając, a raczej podróżując w nienazwanym, być – czytając – pisarzem własnej opowieści. To może ciekawa próba odpowiedzi na pytanie – czego oczekuje artysta. To jest niesłuchanie głębokie i niesłuchanie chytre u Sebald, on w ten sposób zwabia czytelnika do bardzo ryzykownych podróży. I to było niezwykle szczęście, że po podobnej podróży, którą odbyliśmy z aktorami w Wilnie, pojawiała się grupa, która podjęła ten seans spirytystyczny, i staliśmy się grupą ucieleśniania tego niewypowiedzianego i nie do wypowiedzenia.

Pamiętam, że jeden z aktorów powiedział, iż czuje się, jakby był balonem wypełnionym ciepłym powietrzem. Pamiętam to, bo miałam wrażenie, że my wszyscy tak się czuliśmy, wypełnieni czymś wspólnym, ciepłem i ulgą. Pomyślałam wtedy o pana bezbronności, był pan kompletnie odsłonięty-emocjonalnie.

– Ach, więc widać to gołym okiem... Nie chcę za wszelką cenę się bronić, bo często ludzie bronią się niepotrzebnie. Boją się dotknięcia jakichś sfer, w które nie chcą innych dopuścić. Zazwyczaj w relacjach i rozmowach istotnych dopuszczam ludzi do tego wszystkiego, co leży w człowieku niezakryte i nieuzbrojone.

Dlaczego?

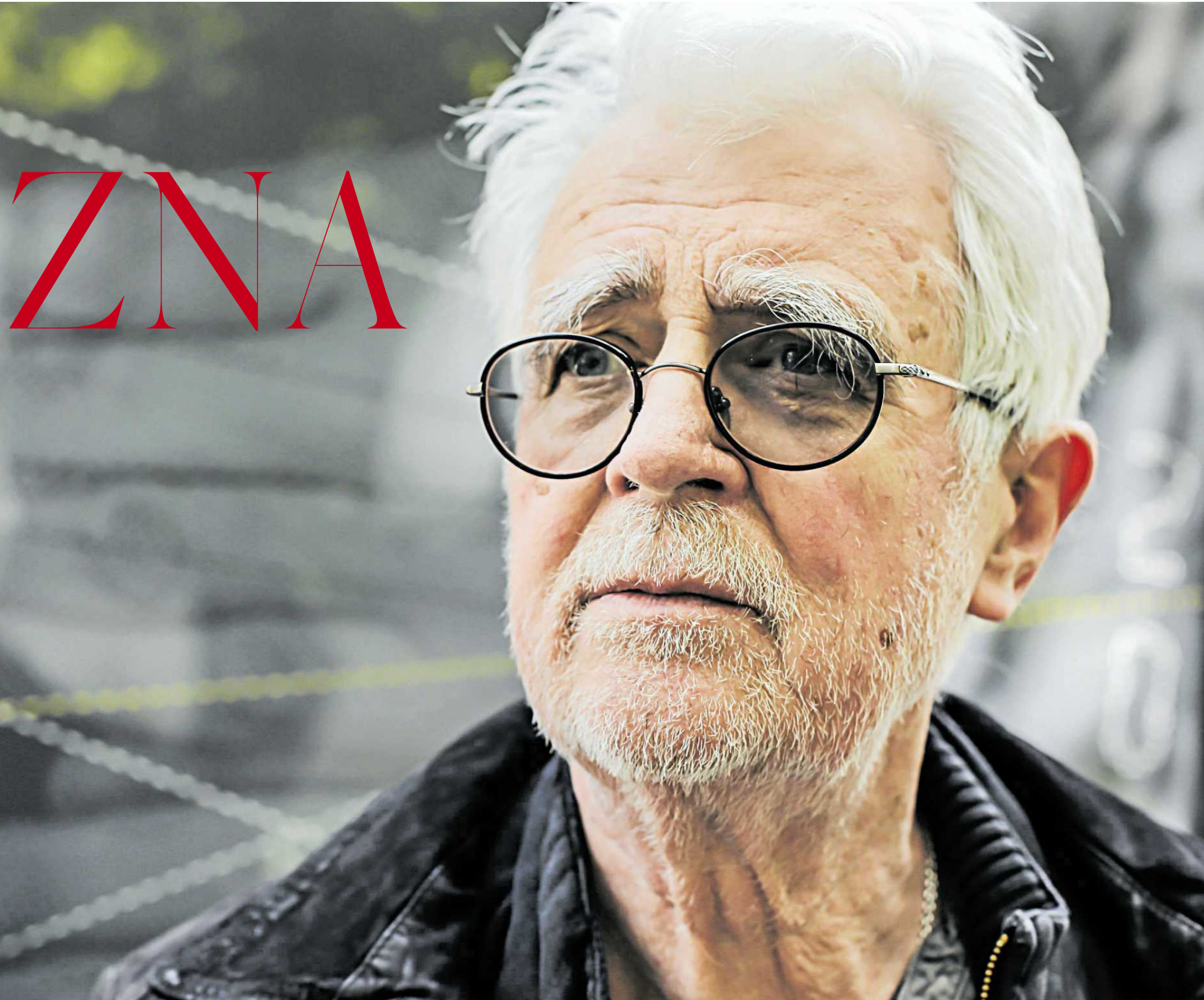
– Bo może mnie to fascynuje, bo ta bezbronność jest częścią widzenia, częścią jakiejś perspektywy życia. Bo nie widzę powodu zatajania tak zwanych rejonów wstydliwych, często jak patrzę na innych ludzi, zastanawiam się, po co się tak strasznie broni. Dlaczego nie chcesz dopuścić do siebie refleksji drugiego człowieka, może on wcale nie chce cię zniszczyć, może chce ci pomóc. Często ludzie bronią się nie tylko w relacjach, nazwijmy to: wrogich, często ludzie bronią się w relacjach bliskich, przyjacielskich, ważnych. Wystarczyłoby nacisnąć na guzik: „otwórz się”. Ale nie na-



ciskamy na ten guzik. Albo go tam nie ma... Możemy mieć większe zaufanie do tego, na co sobie pozwalamy wzajemnie. To jest jedna część tej bezbronności: „Ja chcę być bezbronny”. A druga część jest taka, że czuję się bezbronny w pasywny sposób. To obszar bardziej zamazany i smutny. Nie jestem człowiekiem zaradnym życiowo ani przebojowym, idącym po swoje, chociaż niektórzy mnie za takiego uważają. I oczywiście nie rozpoznają się w tych wizerunkach czy portretach, które maluję.

Upomnieli się już o pana

– Tak, w imię racji przemiany kulturowej. W imię rozmaitych racji przemian kulturowych działo się wiele złego i wiele przesady. Wiele jest z jednej strony poczucia (może raczej uzurpacji) świętości, że „jestem rycerzem nowej sprawy”, a to daje mi poczucie jakiegoś uświęcenia czy nobilitacji. Z drugiej strony w tym dyskursie o przemocy w rozmaitych miejscach, wspólnotach, w teatrze... Ba, teatr to jest skomplikowany przykład, bo teatr jest miejscem wspólnego tworzenia, ze wszystkimi jego sprzecznościami i absurdami. Jeśli chcesz sobie stawiać cele ponad swoje możliwości... Uważam, że jest to jedna z definicji sztuki, że sięgamy tam, gdzie nie wiemy, gdzie nie widzimy wyraźnie albo w ogóle przestajemy widzieć. Sztuka jest tym najbardziej niebezpiecznym czy najbardziej ryzykownym obszarem. A więc jeżeli sobie chcesz stawiać wymagania ponad swoje możliwości, to rób to sam. Maluj, pisz, komponuj muzykę,



bo wtedy masz spokój i wolność w tym, co ze sobą robisz. Co również nie jest do końca prawdą, bo to, co człowiek robi sam ze sobą, też może być ryzykowne i drażnić innych ludzi. Można powiedzieć, że Thomas Bernhard sam sobie pisał i jak na tym wyszedł, wszyscy wiemy. I to nie jedynie ze względu na treści tych pisań.

Jeśli podejmujemy zainicjowanie wspólnej drogi twórczej – czyli podróż w stronę nieznanego – to nasz wspólny akces spotkania musi się jednak radykalnie różnić od zasad współpracy w zakładzie produkcyjnym. Tu właśnie znowu dochodzimy do etosu celu albo etosu marzenia, jak kto woli.

To zarażanie, ta energia, to rodzenie i podjęcie pewnego niebezpieczeństwa, na które się wspólnie piszemy, to podróż, w której zgadzamy się na to, że nie wszystko będzie można ująć w bezpieczne formułki relacyjnej higieny. Ta stosowana higiena zresztą niekoniecznie idzie w parze z szacunkiem do drugiego człowieka.

Pomówmy o higienie i bliskości.

– Przyjaźń (na przykład) jest rejonem bolesnych walk i powinna być rejonem bolesnych walk. Po to mamy przyjaciół. Bo my sami sobie ze sobą nie radzimy.

Jeśli jesteśmy otoczeni wyłącznie ludźmi higienicznymi, to jesteśmy otoczeni chłodem i zamierzamy w tym niby-poszanowaniu i w tej higienie. Nie mówimy sobie nic ludzkiego, nie dotykamy się.

Bo człowiek jest istotą, która chce dotykać i chce być dotykana. Nie mówię o do-

tyku seksualnym, ale nasze poczucie życia, poczucie prawdy, bo czasami szczęście daje nam chwile prawdy, które są bardzo ryzykowne dla stereotypowo obcujących ze sobą ludzi, jest związane właśnie z dotykiem drugiego człowieka. I teatr jest miejscem, gdzie takie rzeczy się odbywają, bo te dotyki są materią twórczą. Oczywiście na to się zgadzamy, mamy wielki problem, kiedy praca się poszerza, tak jak w ostatnim momencie, kiedy pracowaliśmy nad spektaklem w Genewie, i napotykałyśmy opór ludzi, którzy nie chcą być dotknięci ani nie chcą w niczym uczestniczyć.

I co wtedy robić? W jaki sposób doprowadzić do tego, żeby z ich udziałem zbudować konstrukcję, która już zaczyna żyć? Nie

moją konstrukcję, lecz wspólną. Urodzić to dziecko, które nie jest moją własnością, tylko jest tworem autonomicznym, który ma swoje wymagania i którego ruchy i wymagania czuję, podobnie jak czują je aktorzy? Co zrobić, kiedy praca nad strukturą wideo, dźwięku, światła, nad tą strukturą, która daje przestrzeń dziecku, daje mu oddychać, w przeciwnym razie ono się nie urodzi, to co zrobić, kiedy powietrze się nie pojawia? Co zrobić, jeśli akustyk nie ma ochoty zaakceptować ani respektować, że start i kondycja generowanego przez niego dźwięku jest ściśle związana z bardzo konkretnym impulsem w ciele aktora? W przeciwnym razie nie wykreuje wspólnej fizjologicznej prawdy, czyli magii i tajemnicy stwarza-

nego momentu? Co zrobić, jeśli praca nad montażem struktury, nazwijmy to: technicznej, trwa z powodu nieustannych błędów dwa razy dłużej niż we wszystkich dotychczasowych, porównywalnie skomplikowanych projektach, a partnerzy techniczni są totalnie obojętni na motywację: DAJMY JUTRO AKTOROM SZANSĘ NA ZAGRANIE. I kiedy buduje się harmonogramy pracy na podstawie dotychczasowych doświadczeń przy innych projektach, a tu nagle okazuje się, że jesteś w malinach, bo montaż zabiera tyle czasu, że już nie ma szans na powołanie do życia tego dziecka?

Dlatego się pan awanturował w Genewie?

Jeśli jesteśmy otoczeni wyłącznie ludźmi higienicznymi, to jesteśmy otoczeni chłodem i zamierzamy w tym niby-poszanowaniu i w tej higienie. **Nie mówimy sobie nic ludzkiego, nie dotykamy się**

– W liście publikowanym w „Libération” przeprosilem za dwie awantury, dwa nieopanowane, niepotrzebne incydenty w trakcie realizacji. Przeprosilem zresztą na jutro po każdym z nich. Spektakl nie został zerwany z powodu awantur, tylko dlatego, że egzekwowałem wykonanie tego, co miało być wykonane. Na początku naszej pracy na scenie spotkałem się z akustykiem. Powiedziałem, że traktujemy się jako grupa celu i wspólnego marzenia. I oczekuję od niego partnerskiego udziału dźwięku w tym, co będzie powstawało, oczekuję, żeby siedział za aktorem, żeby był kreatorem energii, żeby miał dźwięk w swoich rękach. Głucha cisza była odpowiedzią i nigdy to wyzwanie nie zostało podjęte. Kiedy zapytałem, dlaczego milczy, odpowiedział: „ja nie jestem artystą, jestem wykonawcą”. Była w tym pogarda do słowa „artysta” i niechęć do tego wszystkiego, co mu proponuję. Skoro jest „wykonawcą”, niech „wykonuje”. Ale ja już wiem, że to nie będzie to powietrze, którym oddycha aktor. To nie będzie ta przestrzeń dźwiękowa, która daje życie postaci. To będzie martwe miejsce zrobione z wejść, zejść, z zapisanego timingu, z rzeczy zrobionych przez komputer. Więc przynajmniej musi to zostać zrobione precyzyjnie. Zatrzymuję, mówię: „stop, stop, jeszcze raz, musimy to powtórzyć”. Egzekwowanie wykonania pracy okazuje się przemocą. Pracowałem z poczuciem, że czas mija, że jesteśmy w połowie drogi, że nikt z ekipy technicznej nie bierze pod uwagę tego, aby wspólnie dążyć do tej premiery.

Coś się dla pana okazało? Czy już pan potrafi to zinterpretować?

– Okazuje się, że twórca nie ma prawa oczekiwać od współpracownika projektu twórczego zaangażowania ani nawet precyzyjnego wykonania, bo to przemoc, bo on ma inne standardy, on jest przyzwyczajony, że dźwiękowiec jest od puszczenia muzyki o określonym poziomie na podaną końcówkę tekstu, a nie od bycia zaangażowanym w aktora i procesy, i energię na scenie. I reżyser ma mu powiedzieć, kiedy ma nacisnąć klawisz. I kropka. To są jego standardy pracy. Ja nie mogę tych standardów zaakceptować, bo zabiję to wszystko, co się tworzy w żywym aktorskim ciele, ten spektakl będzie trupem, tak jak szereg innych trupów objeżdżających sceny świata.

Jeśli zaprasza się reżysera za granicę, to chyba w tym celu, żeby miał szansę zrobić coś innego niż to, co się tu stale robi?

Zaraźliwa jest przygoda, ale i opór wobec niej.

– W naszych spektaklach dźwiękowiec jest w kontakcie z aktorem i idzie razem z nim, w jego emocjach, buduje falę. Często to jest muzyka subiektywna, czyli muzyka postaci, powinna być organiczną częścią ciała aktora, jego rytmu. Oni nie mogli tego pojąć, że traktuję muzykę, czyli to, co przynosi kompozytor, jak pewne barwy z palety, które kładzie się na powstającym obrazie, ścięra, zmienia... Ta czerwień nie nie sie tego, ona tego nie wyraża, tu trzeba coś zmienić, poszukajmy razem... Że nie jest tak, że kompozytor przynosi gotowy produkt,

który wkłada się w odpowiednie miejsca na próbie technicznej, i koniec. Pojawilo się wielkie zdziwienie, że ingeruję w to, co przyniósł kompozytor, i że na próbie aktorskiej szukamy dźwiękowej materii. I wspólnie z kompozytorem i za jego przyzwoleniem, bo on jest moim partnerem, kreujemy na żywo tę muzykę.

A ten dźwiękowiec jaką odgrywa rolę?

– Jaką powinien odgrywać?

Dźwiękowiec jest kreatorem teatralnego powietrza, dźwięk jest duszą zdarzenia. I to chodzi nie tylko o to, jaki to dźwięk, ale też z jaką czułością wchodzi, w którym momencie wchodzi, z jakim ruchem aktora, z jakim spojrzeniem, jaką myślą. Moje sugestie na temat związku startu dźwięku z ciałem aktora były uznane za fanaberię reżysera. Twierdzili, że nie widzą ruchów aktorów, które wszyscy inni widzieli. Fanabe-

zonego świata, mówiłem im, że dla aktorów ważne są rzeczy, które otrzymują od dźwięku, i że muszą z dźwiękiem współpracować, więc dźwięk musi współpracować z nimi...

Okazywało się, że oni tych rzeczy nie słuchali. I znowu trzeba było powtarzać ustalenia. Jestem człowiekiem monologu, w ten sposób buduję świat i to jest narzędzie mojego porozumienia z aktorami. Zapewne dla wielu niezaangażowanych w te sprawy może to być nie do zniesienia, budzić niechęć, irytację. Ale życie powstającego spektaklu to jest aktywność wszystkich organów, w żyjącym ciele nie może być martwego elementu, martwy element powoduje śmierć całej reszty.

Już się panu to zdarzyło.

W spektaklu „Persona. Ciało Simone” spotkał się pan z tym samym oporem ze strony

Ludzie uważają, że mam ogromną potrzebę kogoś upokorzyć. Zupełnie nie mam w sobie potrzeby lekceważenia nikogo, natomiast mam wielką nadzieję, że ktoś, z kim będę pracować, da się zaprosić do wspólnoty podróży

rią jest, że szukamy określonej tonacji szczekania psa, określonego zgodnego z ambientem chwili, specyficznego deszczu, zimowego wiatru, w którym nie ma szumu liści, i tak dalej. Akustyk nie był skłonny szukać. Aktorzy, którzy ciężko przeżyli odwołanie, mówili mi: „Ty, Krystian, nie zetknąłeś się z tym bliżej, bo nie jesteśmy wspólnocie języka francuskiego, ale my tak”. Odczuwali wrogość wobec powstającego spektaklu. Zastanawiali się dlaczego, czy chodzi o „lewackie” tematy jak antysemityzm czy homofobię, które poruszaliśmy w spektaklu? Ten konflikt był każdego dnia. Zespół techniczny przestał odpowiadać aktorom na „dzień dobry”. Rozmowy dyrekcyj z zespołem technicznym odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie wie, o czym tam mówili.

Co wygrało w tej bitwie?

– Pod pretekstem idei poszanowania człowieka wygrało coś bezdusznego. Przecież w buncie wobec mnie wrzucono do kosza ogromną pracę, twórczy akt aktorskiego zespołu. Założmy, że ich obraziłem, ja tego nie chciałem, nie robiłem niczego specjalnie. Może sposobem pracy kogoś irytuję. Być może mogłem irytować tym, że bardzo długo rozmawiałem z aktorami i zespół techniczny musiał przy tym być. Często mówiłem: „Macie teraz przerwę”, a oni nie wychodzili, bo taki mieli dyscyplinarny przykaz, a czasami bywały długie momenty, kiedy próbowałem wprowadzać ich w mechanizmy tego współtwo-

Joanny Szczepkowskiej, która nie miała zgody na sposób pana pracy – podczas premiery pokazała publiczności gołe pośladki. To to samo?

– Szczegółne pamiętam ostatnie próby Joasi Szczepkowskiej, które mnie bardzo wzruszyły, odnalazła mocno tę postać, natomiast jej wystąpienie było happeningiem, z góry zaprojektowanym, a nie spontaniczną reakcją na finał prób, jak twierdziła. Dyrektor Teatru Dramatycznego ostrzegł mnie dwa tygodnie przed premierą, że dostał wiadomość, że Joasia zaprasza wszystkich na spektakl, na którym zrobi swój happening. Widocznie uznała to za lepszy dla siebie pomysł niż rola u boku Małgosi Braunek. Na potrzeby tego pomysłu musiała wyrzucić z siebie wszystko, co zrobiła w roli, całe to ofiarowanie swojej bohaterki Simone Weil. To było dla mnie jakieś bardzo smutne, wręcz przerażające.

Jak pan rozumie ten opór?

– Często nie rozumiem, zatopiony w marzeniu powstającego, nie dostrzegam i nie rozumiem, że powstaje coś odwrotnego.

Nie dostrzegam znudzenia i irytacji, tych nierozpędzonych i nieporwanych hazardem stwarzania. Cała moja koncentracja jest w tym stwarzaniu, może w jakiś sposób bezwiednie lekceważę wówczas odczucia innego człowieka, który jest wtedy ze mną... Nie chcę nikogo ranić ani upokarzać.

Ponieważ nie prowadzę walki o swoje ego, jestem raczej marzycielem niż wojownikiem.

Nie mam potrzeby władzy. Może w tym tkwi również jakaś moja niepodatność na ten opór, która również może irytować? Pewne ciosy, które zabijają ludzi z potrzebą władzy, mnie, człowieka bezbronnego, nie zabijają. Akceptuję to, że cierpienie jest nieodzownym elementem w procesie tworczym i trzeba inwestować w to cierpienie i je wykorzystywać. O! Można powiedzieć, że każde cierpienie zapisuję jako temat do penetracji, jako temat do szukania, co tam się jeszcze kryje, jakie są warstwy. Jest pani inicjatorką tego penetrowania teraz, jeszcze nie otworzyłem dziennika i nie zrobiłem pierwszego wpisu na temat tego, co się stało w Genewie.

Jaka jest więc pierwsza warstwa?

– Jest taki myślowstręt, chcieliby się tylko spać, niczego nie podejmować. Są takie stany hiberna-

kowej higienie, w utopijnym porządku.

Czy wszyscy młodzi artyści głoszący nowy, bezbolesny sposób pracy nigdy się nie denerwują, czy też może denerwują się tylko w słusznej sprawie, podczas gdy ci „starzy” denerwują się z potrzeb sadystycznych?

Gdy spojrzymy z perspektywy, widać, że nastał nowy duch.

– Tak, jest to konfrontacja z nowym duchem rzeczywistości. Jestem całą duszą za tym, żeby człowiek zamienił się z człowieka przemocowego w człowieka, który rozumie i chce rozumieć drugiego człowieka, w człowieka empatii. Pytanie tylko, czy empatia to jest proces relacji całkowicie bezbolesnej. Czy przyjaźń to jest proces relacji bezbolesnej? Każda słusna idea ma pierwszy powiew świętych fanatyków i polowania na czarownice. Następnie idea ogarnia społeczności i być może ludzie zaczynają wtedy celniej i trafniej jej używać. Na początku wyrzucane są cenne rzeczy, w imię nowego poszanowania człowieka. Ja nie uważam, że to jest naprawdę poszanowanie człowieka. To, co się teraz dzieje, może to jest poszanowanie samego siebie?

Może ciekawe jest patrzenie na upadek autorytetu.

– Uważam, że artystów trzeba atakować. I uważam, że artyści nie są świętymi krowami. I wiele bardzo okrutnych i przykrych rzeczy, które mi powiedziałano, na które reagowałem oburzeniem i poczuciem krzywdy, później doceniłem i wziąłem do siebie. Nie mam nic przeciwko temu, że ludzie, którzy są w pewnym momencie emblematyczni, podejmują jednocześnie zobowiązanie społeczne. To musi podlegać stałemu ruchowi, nie chodzi o to, żeby stać na pomniku. Chodzi o to, żeby żyć. Jestem dostatecznie stary, żeby zobaczyć, w jaki sposób te święte rzeczy stają się problematyczne i niepotrzebne. Jeśli chcesz żyć, to musisz spotkać tego szydercę, który ci zada trochę bólu.

Miałam na myśli to: głębokie motywacje i głębokie potrzeby, które zostają spełnione przez zadawanie śmierci cywilnej. Co można wtedy w takim upadającym człowieku zobaczyć pana zdaniem?

– To jest też quasi-erotyczne, to jest corrida.

Chcę zobaczyć, jak pan wygrywa, jak pan walczy, jak pan umiera. Zna pan jednozdaniowy wiersz Krystyny Miłobędzkiej? „Kocham cię razem z twoją śmiercią”. Czyli też z twoim upadkiem, chorobą, słabością, tym wszystkim, co się dzieje przed samą śmiercią i co się w niej zawiera.

– Mnie to dotknęło w Chinach, było dla mnie przerażające, do jakiego stopnia oni są samotni. Nie masz tam przyjaciela, nawet w małżeństwie, nie ma człowieka, z którym możesz być słaby.

Być artystą to być może ekshibicyjnistyczna potrzeba posiadania wielu ludzi, z którymi możesz być słaby.

Piszesz książki po to, żeby rząd czytelników obcował z twoją słabością. I to nie od razu jest przekute w siłę i sławę. Cieszy cię, jeśli za ofiarę twojej słabości przy-

chodzi jakaś sława, a w gruncie rzeczy traktujesz to jak zabrudzenie tego głębokiego aktu, który był ważniejszy niż to, że dostaniesz nagrodę.

Pan chce się przytulić do ludzi w swojej słabości.

– Tak. Myślę, że życie ludzi, którzy w żadnym momencie nie odważają się na pęknięcie, musi być straszne. I czasami przerażająco puste i często prowadzące do samobójstwa. Może ludzie, którzy przez swoją naturę są skłonni do pokazania słabości, są dalsi od samobójstwa, od totalnego krachu i pustki. Pamięta pani z prób pewnie, jak bardzo fascynowała mnie Simone Weil, klóciłem się z nią, była dziwaczną osobą, której nie sposób zaakceptować. Ona powiedziała, że po płaczu przychodzi zrozumienie i pogodzenie z prawdą.

Nieważne, czy prawda jest krzywdą. Uczmy się być słabymi. Bardzo się czułem szczęśliwy w pracy przy „Imagine”. Po konfliktowym i trudnym etapie, kiedy robiliśmy „Capri”, konfliktowym również w relacjach z zespołem technicznym. Podczas pracy nad „Imagine” w zespole aktorskim wiele o tym mówiliśmy, mieliśmy też do tego powody, bardzo dotykający kontekst wojny w Ukrainie. Zrobiliśmy wtedy rachunek sumienia, wojna dała nam wiele refleksji bardzo osobistych i mogliśmy wyciągać wnioski na temat widzenia drugiego człowieka i empatii. I byliśmy wszyscy szczęśliwi, że zrobiliśmy ten spektakl harmonijnie. Ja się czegoś nauczyłem i oni się czegoś nauczyli, nauczyliśmy się wzajemnie siebie rozumieć. Ludzie nie-zaangażowani mają zawsze błędne rozumienie wszystkiego. Mają błędne widzenie wszystkiego i to jest dramat. I są urażeni tam, gdzie nie powinni. Są urażeni tam, gdzie spotyka ich coś serdecznego.

A może obserwowanie pana upadku jest chęcią zbliżenia się. Zadanie rany jako forma zbliżenia.

– Być może gdybyśmy umieli coś dalej z tym zrobić. Gdybyśmy kontynuowali tak rozpoczęty dialog... Ale nie umiemy jeszcze kontynuować dialogu po zranieniu, najczęściej zamykamy się na siebie. Te doświadczenia ciągle się kończą, urywają się w połowie drogi, pozostaje żal niedokończonego doświadczenia relacji z człowiekiem, którego nie potrafiliśmy zrozumieć albo którego nie potrafiliśmy do siebie przekonać. Albo pozostaje po tym mściwie niepodjęta praca, żeby coś

w sobie zmienić. Często odczuwam tęsknotę za ludźmi, którzy w moim poczuciu mnie zranili albo odrzucili... Taki wielki mamy lęk przed odrzuceniem. I boimy się tej śmierci w odrzuceniu.

Pamiętam, słuchałem tego w osłupieniu: Joasia Szczepkowska opowiadała w telewizji Monice Olejnik o swoim geście na premierze „Ciała Simone” i dowodziła, że miałem jej potem powiedzieć: „Będziesz coraz bardziej martwa i niepotrzebna” jako dowód na to, że jej groziłem po tym incydencie. Czyli: „Zniszczę cię i mam na to sposoby”. Powiedziałem prawdopodobnie coś podobnego na ostatnim wspólnym spotkaniu z aktorami, na którym próbowaliśmy z Joasią o tym rozmawiać. W intencji, że takie gesty, jak ten wobec Małgosi Braunek na premierze, może spowodować, „że będziesz coraz bardziej martwa i niepotrzebna” – samotna w swoim egoizmie. Teraz widzę, ile w Joasi było lęku przed drugim człowiekiem, że to tak rozumiała, ile lęku przed klęską, przed śmiercią i tak dalej. I z kolei, że tak łatwo, tam w sobie wewnątrz, odpowiedziałem niesmakiem na tę jej paniczną fantazję...

Kiedy mi pan tak o tym opowiada, dziwnie się czuję. Przypominają mi się pana spektakle, próby, które były dla mnie takie ważne, pokazujące, że jest jakiś inny świat. A teraz, kilkanaście lat później, opowiada mi pan o swoich upadkach. To najuczciwsza droga, jaką można przejść z autorytetem.

– W tych naszych autorytetach jest coś nadmuchanego kulturowo, pojawiła się więc też konieczność rewizji autorytetów. Kiedy mówię to słowo, to ono traci swoją prawdę, myśli skręca. W naszym spektaklu była taka dopisana myśl do Sebalda: „nie mówię tego, chcę coś powiedzieć, nagle mówię: nie, nie nie. Nie dlatego, że nie chce, tylko dlatego, że nie umiem”. Ja mam to samo z sytuacją, o której rozmawiamy obecnie, chcę coś powiedzieć o sobie najprawdziwiej, jak umiem szczerze, ale pewnie gubię się w czymś do tej pory nierozpoznanym. ●

*Krystian Lupa

- jeden z nawiąbitniejszych polskich reżyserów teatralnych, dramaturg, scenograf, pedagog. Laureat m.in. Europejskiej Nagrody Teatralnej. 2 czerwca odwołano jego premierę w La Comédie de Genève w Szwajcarii z powodu konfliktu z zespołem technicznym teatru.

OSTROŻNY JAK POLSKI KRYTYK LITERACKI

Julian Przyboś udziela korepetycji

Jak żyć, kiedy światowej sławy eseistka wszystkich zachwyca, a ty wzruszasz ramionami.

Edyta Zielińska-Dao Quy

W „Krytyce Politycznej” przeczytałam tekst Aleksandry Kumali „Rebecca Solnit – matka prostych pytań”. Autorka prześwieśla w nim eseistykę ikony amerykańskiego feminizmu (czy raczej – popfeminizmu), punktując jej infantylizm, banal, efekciarstwo, a nawet nierzetelność.

Przeczytałam tekst z wypiekami, a po lekturze odetchnęłam z ulgą, myśląc: „No wreszcie!”.

Sama mam do eseistyki Solnit ogromny dystans. Nie przyłączam się do unisonowych zachwytyów przy okazji premiery jej kolejnej książki, uważam jej eseistykę za dość wtórną, ale doceniam jednocześnie wkład Solnit w popularyzowanie feminizmu. Z tekstu Kumali ucieszyłam się nie dlatego, że się z nim zgadzam, ale dlatego, że przełamała afirmatywną dyskusję.

Bo Solnit wzbudza niemal wyłącznie zachwyty, a każda premiera jej książki jest prawdziwym wydarzeniem. Paulina Małochleb w „Przekroju” diagnozowała to tak: „W płytkim stawie polskiego życia intelektualnego pisarstwo Solnit nie wzbudza żadnych emocji sprzecznych – z tego prostego powodu, że konserwatyści jej u nas nie czytają. Budzi więc wyłącznie zachwyty, daje język i nazywa uczucia wielu osób pokrzywdzonych, które nie bardzo potrafią same sobie opowiedzieć o własnym doświadczeniu upokorzenia, wykorzystania seksualnego, ale też intelektualnego umniejszania”.

Pytanie, czy problemem w dyskusji o Solnit jest spektrum jej czytelników, czy może raczej wąska perspektywa krytyków literatury. Na Zachodzie dyskusja wokół klasyczki nie jest już tak ostrożna – Jennifer Wilson w „Critical Mass” zarzuca eseistce swego rodzaju koniunkturalizm, Viviane Fairback z „The Walrus” punktuje jej naiwność i „popfeminizm”, a Dwight Garner na łamach „The New York Times” pisał o jej okazjonalnej powierzchowności, niezrozumieniu i banalizacji niektórych produktów kultury popularnej.

Trudno któremuś z tych mediów zarzucić konserwyzm. To w spuściźnie polskiej krytyki literackiej ostatnich lat odłożyła się ostrożność, a jej wykwyty zbyt często sprowadzają się do prostych rekomendacji książkowych. ●

A przecież nie zawsze tak było. U szczytu swojej kulturowej sławy krytyka nie była służebnicą literatury; była dla niej równym partnerem, dorównywała jej treścią i stylem i znacząco przewyższała wyobraźnią i zdolnością wejścia w świat poza stronicami książek. Julian Przyboś, o którego pochlebnej recenzji marzyły rzesze pisarek i pisarzy z pierwszej połowy XX wieku, pisał: „Zły w krytyce to znak strach przed sądem ujemnym, wiedzy do rezygnacji z ambitnej twórczości krytycznej. Z krytyków robi grzecznościowego sekretarza autorów”. Tymczasem jej dzisiejsze ograniczenia sprawiają, że rodzi się we mnie niejasne podejrzenie, czy nie istnieje przypadkiem jakiś tajny generator blurbów książkowych i czy nie przeczytałam jakiegoś uniwersalnego wzoru na recenzję literacką.

Krytyka przygotowuje się w jednym kotle z promocją literatury. Przymiotnikowa, która opanowała rekomendacje książ-

kowe, być może sprawnie odwołuje się do odruchów konsumenckich i przyczynia się do sukcesu komercyjnego, ale niestety nie sprzyja powstawaniu przestrzeni kulturotwórczego sporu.

Media wciąż z pokpiwaniem spoglądają na Bookstagram, BookTube i BookTok. Problem w tym, że czy nam się to podoba, czy nie, jeśli istnieje w Polsce żywa literacka szermierka, to właśnie tam. Na pogardzanych social mediach książkowych z przyjemnością przyglądam się zacięłym dyskusjom literackim, o których żywotności, zaangażowaniu i kolorycie media głównego nurtu mogą tylko pomarzyć. Z zapartym tchem obserwowałam ożywioną (chwilami wręcz wrogą) dyskusję wokół głośnej powieści young adult „Babel, czyli o konieczności przemocy” Rebekki F. Kuang.

Media z pokpiwaniem spoglądają na Bookstagram, BookTube i BookTok. A jeśli istnieje w Polsce żywa literacka szermierka, to właśnie tam. Na pogardzanych social-mediach książkowych

Autorka stawiała sobie za zadanie pokazać walkę z nierównościami, opresję systemu kolonialnego i dążyła do pokazania drogi w walce z nim. Publicyście i redaktorce przykro to stwierdzić, ale powieść nie potrzebowała uwagi sprofesjonalizowanego środowiska, żeby wzbudzić pełną parę dyskusję i przy okazji świetnie się sprzedać. Część czytelników piała z zachwyty nad realizacją tematu, prawdziwie utożsamiała się z bohaterami ubranymi w historyczne kostiumy. Druga strona zarzucała Kuang łopatologię, uproszczenia, ahistoryczność i fasadowość postaci. Chwilami spór wytracał merytorykę, argumenty przeradzały się w uwagi ad personam, ale te tarcia pokazały mi jedno – literatura wciąż rezonuje i jest po prostu ważna. Niestety, nie wśród krytyków. ●

Na cóż więc te utyskiwania, skoro pisze się dla czytelników, nie zaś dla recenzentów? Przed literaturą trzeba stawiać oczekiwania. Inaczej książka, zamiast żywą przestrzenią dyskusji, jest niczym więcej jak kolejnym fabrykatem kapitalizmu, który należy dobrze sprzedać. Zadając niewygodne pytania, stawiając wysoko poprzeczkę, nie obchodząc się z autorami jak z jajkiem, wyświadcza się literaturze największą przysługę – czyni się ją ważną i pozwala wzrastać. ●

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 8 czerwca 2023 roku, w wieku 96 lat odeszła od nas ukochana Mama, Babcia i Prababcia

ŚP
Maria Głuszc

dr n. medycznych

Uroczystości żałobne odbędą się 24 czerwca 2023 roku (sobota) o godzinie 12.00 w kościele pw. Nawiedzenia NMP w Suchej Beskidzkiej po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego na cmentarzu parafialnym.

Pograżeni w smutku

Córka i Syn z Rodzinami



17 czerwca 2001 roku niemal cała Polska zasiadła przed telewizorami – nooo dobrze, 10 milionów naszych rodaków włączyło wówczas TVN, by przekonać się, kto z trójki Janusz Dzieciół, Manuela Michalak i Małgorzata Maier wygra pierwszą polską edycję programu „Big Brother”. Ale to wystarczyło, by był to najchętniej oglądany program telewizyjny w tamtym roku, a przecież to był początek małyszomanii...

Codzienne życie wspomnianej trójki, a prócz nich także m.in. Piotra Gulczyńskiego „Gulczasa”, Klaudiusza Ševkovicia, Sebastiana Florka czy Moniki Sewiolo (tej ostatniej dwójki nieco krócej, bo wcześniej opuścili program), w domu Wielkiego Brata w Sękocinie Starym pod Warszawą śledziliśmy uważnie od marca 2001 roku. Podglądaliśmy ich za pomocą kamer, którymi naszpikowana była willa, odwiedzaliśmy specjalnie stworzoną stronę internetową, wysyłaliśmy SMS-y, kto z nominowanych uczestników powinien pozostać, a kto opuścić program. I to w takich ilościach, że blokowały sieć.

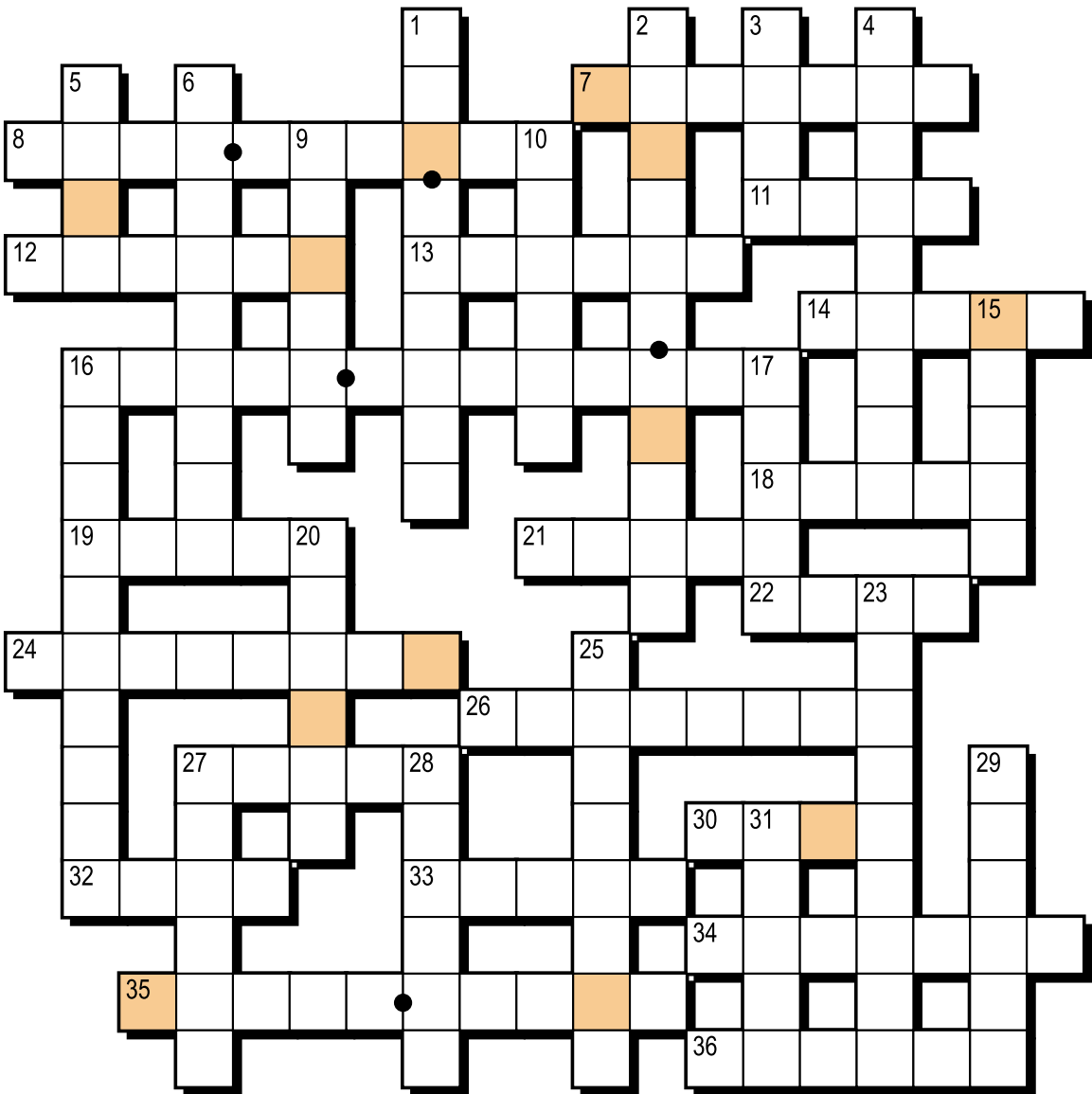
Zwroty „Gulczasa, a jak myślisz?”, „zapraszam do pokoju zwierzeń”, „spakuj się i opuść dom Wielkiego Brata” weszły do języka codziennego, a już po zakończeniu show jego uczestnicy próbowali, z różnym skutkiem, zdyskontować gigantyczną popularność, jaką zyskali. Niektórzy poszli w politykę (Sebastian Florek czy zmarły tragicznie Janusz Dzieciół dostali się do Sejmu), inni robili karierę w telewizji (Manuela Michalak, Małgorzata Maier, Klaudiusz Ševković), zaś Monika Sewiolo próbowała sił na muzycznej estradzie, pozowała też dla „Playboya”.

Oczywiście były kolejne edycje „BB”, ale choć wypromowały kolejne gwiazdki, w typie Frytki i Kena czy Joli Rutowicz, to żadna już nie powtórzyła tego gigantycznego sukcesu debiutanckiej odsłony.

Dlatego wspominając tamtą premierę, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcimy rodzinnym reality show. A o pomoc w ułożeniu pytań poprosiliśmy Dorotę Szymborską, redaktorkę „Wyborczej TV”, osobę niezwykle biegłą w telewizyjnych meandrach, wielką miłośniczkę dawnych programów, filmów i seriali oraz skarbnicę cytatów z tychże.

No to miłych wspominków! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 56 z 10.06:

- Poziomo:**
2) komodor 8) władca 10) ziemia 11) rumby 12) Nóż w wodzie 13) Trafalgar 14) Gang Marcela 15) Zofia 18) stęga 20) łajba 23) jachtklub 25) gniew morza 26) Młodzież 27) wieszanie 28) wioślarz 31) Nowicki 32) hamak 33) szpinak 34) wilk morski 35) sznury

- Pionowo:**
1) Gdzie ta keja 2) kapitan 3) marynarz 4) odbijanie 5) szanta 6) Hej żeglujże żeglarzu 7) siewka 9) łódzie 16) słona woda 17) karmazyn 19) astrokompas 21) Baranowski 22) łupina 23) James Cook 24) cumowisko 29) linki 30) rekin 32) hals.

HASŁO:
MORZE NORWESKIE

REALITY SHOWS

Hasła Doroty Szymborskiej oznaczono inicjałami (D.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7)** „... do wzięcia”, show z ceremonią róż
8) reality show z podtytułem „Wyspa miłości”
11) talent show, dzięki któremu karierę zrobił Kuba Wojewódzki (w przeciwieństwie do większości jego uczestników) (D.S.)
12) ukryta ..., niejedna w domu Wielkiego Brata
13) rozmowa dziennikarza z uczestnikiem programu
14) Klaudia El ..., prowadząca 8 poziomo

- 16)** gospodynii programów „Rolnik szuka żony”, „Sanatorium miłości”
18) uznawany za pierwszy polski reality show
19) „Twoja... brzmi znajomo”, talent show z udziałem celebrytów
21) ocenia w „Mam talent!”, „Project Runway”, „Must Be the Music. Tylko muzyka”
22) ... Osbourne, gwiazda rocka i bohater amerykańskiego reality show
24) nazwisko agenta z pierwszej edycji „Agenta”
26) rozpiska z godzinami emisji, która może się zmienić po wystąpieniu gazety do druku (a to nie nasza wina) (D.S.)
27) „Top ...”, od lat z Joanną Krupą wśród oceniających

- 30)** właśnie ich – najlepiej w postaci klików lub foliowców – pragnie każdy uczestnik show (D.S.)
32) „... Boyard”, francuski program rozrywkowy, w którym drużyna walczyła o skarb
33) rozgłos, uznanie
34) niezbędna, by widzowie nie zobaczyli zbyt dużo...
35) dziennikarka i prezenterka, prowadziła 18 poziomo
36) wygodne meble w salonie domu Wielkiego Brata

Pionowo:

- 1)** reality show emitowany w Polsce w 2001 r. (a w nim dom luksusowy i dom wiejski)
2) reality show z podtytułem „Ekipa z Warszawy” (był

- nadawany w stacji MTV Polska)
3) „Perfekcyjna ... domu” (czas na test białej rękawiczki)
4) są i kuchenne (nierzadko z latającymi talerzami)
5) piosenkarka, która była „12 kroków do miłości”, a jako nastolatka wystąpiła w „Barze”
6) niejedyn jest znany z tego, że jest znany
9) Agnieszka Woźniak-..., jedna z prowadzących „Big Brothera”
10) Katarzyna Kojarżona z programem „Nasz nowy dom”
15) Winston, bohater powieści Orwella, w której występuje Wielki Brat

- 16)** tu dorośli lub dzieci boją się, że zabiorą im fartucha (D.S.)
17) Wojciech Modest, rządził i dzielił w „Hell’s Kitchen”
20) panowały w domu Wielkiego Brata
23) pierwszym w „BB” był Janusz Dzieciół, który pokonał Gulczasa oraz Manułę (D.S.)
25) Szymon, nim został politykiem, współprowadził „Mam talent!”
27) imię Piróga („Top Model”) i Prokopa
28) weneckie – w domu Wielkiego Brata
29) Jim, odtwórca roli tytułowej w filmie „Truman Show”
31) ... Glam-Kurp, celebrytka z reality show „Żony Miami”

Leszek Rydz

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play